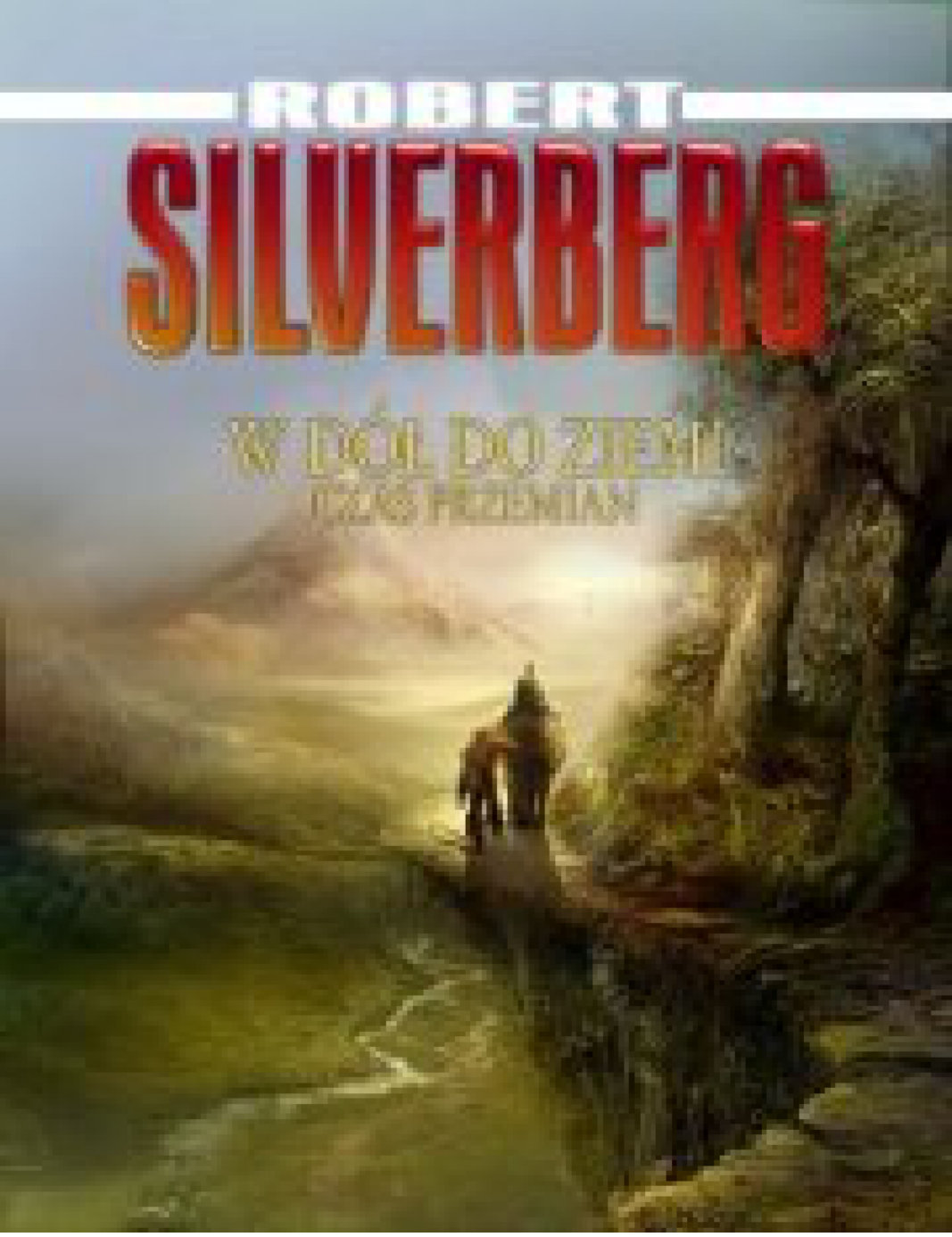
ROBERT
SILVERBERG
W DÓŁ DO ZIEMI
CZAS PRZEMIAN

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Świat Holmana to planeta eksploatowana przez wielkie korporacje. Do czasu, gdy okazuje się, że wykorzystywane do niewolniczej pracy tubylcze gatunki: nildory i sulidory są inteligentne. Na planetę zostaje nałożona kwarantanna, władza wraca do rąk tubylców. Gundersen, były pracownik korporacji, wraca na Świat Holmana gnany ciekawością i obsesją na punkcie miejscowej cywilizacji i religijnego obrządku ponownych narodzin. Spotyka wielu swoich dawnych przyjaciół i odkrywa wielką tajemnicę nildorów.

- Robert Silverberg
  - I
  - II
  - III
  - IV
  - V
  - VI
  - VII
  - VIII
  - IX
  - X
  - XI
  - XII
  - XIII
  - XIV
  - XV
  - XVI
  - XVII
  - O AUTORZE

Robert Silverberg
W dół, do Ziemi

Któż pozna, czy siła życiowa synów ludzkich idzie w górę,
a siła życiowa zwierząt zstępuje w dół, do ziemi?

Księga Kaznodziei Salomona 3,21

I

A jednak wrócił do Świata Holmana. Nie umiałby dać jasnej odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Może działała nieodparta siła przyciągania, może uczucia, a może głupota. Gundersen nigdy nie planował, że kiedyś znów odwiedzi to miejsce, a mimo to znalazł się tutaj. Czekał na lądowanie. Tuż za osłoną wizjera, był świat niewiele większy od Ziemi, świat, który zabrał mu najpiękniejsze lata życia, gdzie dowiedział się o sobie rzeczy, których raczej wolałby nie wiedzieć. Zapaliło się czerwone światło sygnalizacyjne. Statek będzie wkrótce lądował. Jednak wbrew wszystkiemu wracał.

Widział całun mgły zalegający nad strefą o umiarkowanej temperaturze, nieregularnie rozrzucone szczyty pokryte lodowymi czapami i pas tropików wijący się jak ciemnobłękitna wstęga. Pamiętał jazdę przez Morze Piasku w oślepiającym blasku o świcie, pamiętał jak płynął milczącą czarną rzeką pod baldachimem drżących liści zakończonych ostro jak sztylety i pamiętał cocktaile na werandzie stacji w dżungli z Seeną tuż przy sobie i stadem nildorów ryczących w zaroślach. Było to dawno. Teraz nildory znów zostały panami Świata Holmana. Gundersenowi trudno było się z tym pogodzić. A może właśnie dlatego wrócił. Chciał zobaczyć, co też nildory potrafią zdziałać.

— Prosimy pasażerów o uwagę — rozległo się z głośnika wezwanie. — Za piętnaście minut znajdziemy się na orbicie Belzagora. Proszę wrócić do kołysek, zapiąć siatki zabezpieczające i przygotować się do lądowania.

Belzagor. Teraz tak nazywała się ta planeta. Nazwa miejscowa, własne słowo nildorów. Gundersenowi kojarzyło się to z mitologią asyryjską. Oczywiście była to wymowa „uszlachetniona", u nildorów brzmiało to bardziej jak „Blizgrr". A więc Belzagor. Będzie tak nazywał tę planetę, skoro teraz nosi takie imię i skoro tego po nim oczekują. Zawsze starał się nie obrażać bez potrzeby obcych istot.

— Belzagor — powiedział. — Ten dźwięk zawiera jakąś zmysłowość, prawda? Przyjemnie się go wymawia.

Para turystów, siedząca obok niego w przedziale na statku, zgodziła się ochoczo — potakiwali wszystkiemu, co Gundersen powiedział. Mąż, pulchny, blady, ubrany z przesadną elegancją, dorzucił: — Nosiła nazwę Świat Holmana, kiedy pan tu był ostatnio. Nie mylę się, prawda?

— Och, tak — odparł Gundersen. — Ale było to w dawnych dobrych czasach imperialistycznych, kiedy Ziemianin mógł nazwać każdą planetę, jak mu się podobało. Teraz to wszystko już się skończyło.

Żona turysty zacisnęła wargi we właściwy sobie sposób, w cienką, żałosną kreseczkę. Gundersen odczuwał przewrotną przyjemność w dokuczaniu jej. Przez całą podróż odgrywał wobec tych turystów rolę jakiegoś bohatera z powieści Kiplinga, pozując na dawnego urzędnika kolonialnego, który jedzie popatrzeć jakiego to bigosu narobili krajowcy, wykrzywiony obraz jego rzeczywistego stanowiska, ale czasem dobrze było nosić maskę.

Turyści — było ich ośmioro — patrzyli na niego z mieszanymi uczuciami podziwu i wzgardy, kiedy tak paradował pomiędzy nimi, wielki mężczyzna o jasnej skórze, z blichtrem światowca na twarzy. Nie podobał im się, a jednocześnie wiedzieli, że cierpiał i że ciężko pracował pod obcym słońcem.

— Zatrzyma się pan w hotelu? — zapytał mąż — turysta.

— Och, nie. Jadę wprost do buszu, w stronę Krainy Mgieł. Proszę spojrzeć, widzicie państwo na północnej półkuli ten zwał chmur? Bardzo stromy gradient termiczny — tropiki i arktyka praktycznie tuż obok siebie. Mgła. Mżawka. Zabiorą tam państwa na wycieczkę. Ja, niestety, mam interesy.

— Interesy? Sądziłem, że te niezależne już światy pozostają poza sferą penetracji ekonomicznej, że …

— To nie interesy handlowe — powiedział Gundersen. — Osobiste. Niedokończone sprawy. Coś, czego nie zdołałem rozwiązać w czasie służbowego pobytu.

Światło sygnalizacyjne rozbłysło bardziej intensywnie. Poszedł do kabiny, by przygotować się do lądowania. Otuliła go pajęcza tkanina z przędzarki. Zamknął oczy. Statek opadł w kierunku powierzchni planety, a Gundersen kołysał się zawieszony, zabezpieczony przed niemiłymi skutkami zmiany prędkości.

Jedyne lotnisko międzyplanetarne na Belzagorze zbudowane zostało przez Ziemian przeszło sto lat temu. Leżało w tropikach, u ujścia wielkiej rzeki wpadającej do jedynego na Belzagorze oceanu. Rzeka Madden, Ocean Benjamini — Gundersen nie znał nazw nildorskich. Lotnisko, na szczęście, było samoobsługowe. Trudno było spodziewać się, by nildory potrafiły kierować portem międzyplanetarnym, a niemożliwą rzeczą było utrzymywanie załogi Ziemian. Gundersen wiedział, że na Belzagorze pozostało jeszcze ze stu Ziemian, ale ci nie mieli kwalifikacji do kierowania lotniskiem. A poza tym obowiązywał przecież traktat, w myśl którego wszystkie funkcje administracyjne miały być przejęte przez nildory.

Wylądowali. Zwoje pajęczej tkaniny otulającej rozwiały się i pasażerowie opuścili statek.

W powietrzu wisiał ciężki odór tropików: mulistej gleby, gnijących liści, odchodów dzikich zwierząt i zapach kremowych kwiatów. Był wczesny wieczór, na niebo wypłynęły już dwa księżyce.

Zanosiło się na deszcz, lecz zagrożenie ulewą było raczej nikłe — w tej strefie tropikalnej rzadko kiedy występowały obfite opady, cały czas natomiast mżyło i na wszystkim osadzały się krople dżdżu.

Gundersen dostrzegł, że za drzewami Hullygully otaczającymi lądowisko zalśniła błyskawica. Stewardesa sprawowała nadzór nad dziewięcioma osobami, które wysiadły.

— Proszę tędy — zawołała i poprowadziła je w stronę jedynego widocznego budynku.

Z lewej strony spoza zarośli wychynęły trzy nildory i z zaciekawieniem przypatrywały się przybyszom. Zdumieni turyści pokazywali je sobie.

— Popatrz! Widzisz je? Zupełnie, jak słonie! Czy to te, te nili… nildory?

— Tak, nildory — powiedział Gundersen.

Ostry zapach zwierząt niósł się poprzez polanę. Wnosząc z wielkości kłów był to samiec i dwie samice. Wszystkie były prawie tej samej wielkości: ponad trzy metry. Miały ciemnozieloną skórę, co wskazywało, że pochodziły z półkuli zachodniej. Ślepia, wielkie jak płyty gramofonowe, wlepiały w Gundersena z niechętną ciekawością. Stojąca na przodzie samica, o krótkich kłach, podniosła ogon i spokojnie wydaliła górę dymiącego purpurowego łajna. Do Gundersena doszły niskie, niewyraźne dźwięki, ale z tej odległości nie mógł zrozumieć, co mówiły nildory. To niemożliwe, żeby obsługiwały lotnisko międzyplanetarne — pomyślał. — To niemożliwe, żeby rządziły planetą. Wiedział jednak, że to robią, że tak się dzieje.

W budynku portowym nie było nikogo. Kilka robotów naprawiało szare plastykowe płyty pokrywające ściany budynku. Prędzej czy później tę część planety opanuje dżungla i wszystko zbutwieje. Jedyną widoczną tu działalnością była praca robotów. Nie istniał żaden urząd celny. Nildory nie są biurokratami, nie interesuje ich, co kto ze sobą przywozi. Dziewięciu pasażerów poddano odprawie celnej tuż przed podróżą — na Ziemi przywiązywano wagę i to znaczną, do tego, co się wywozi na mało rozwinięte planety. Nie było też kontroli paszportowej ani kantoru wymiany pieniędzy, ni nawet kiosków z gazetami czy innych udogodnień dla pasażerów. Był to właściwie wielki goły hangar, w którym w dawnych czasach kolonialnych, gdy Świat Holmana był własnością Ziemi, kipiało życie. Gundersenowi wydawało się, że wokół niego pojawiły się duchy tamtych odległych dni: postacie w tropikalnych ubiorach khaki przenoszące różne polecenia, urzędników pogrążonych w rachunkach i papierach, techników uwijających się przy komputerach, tragarzy nildorskich obładowanych towarami eksportowymi.

Teraz panowała tu martwota i cisza.

— Zaraz powinien przybyć przewodnik. Zaprowadzi państwa do

hotelu — poinformowała stewardesa.

Gundersen też miał zatrzymać się w hotelu, ale na jedną tylko noc. Miał nadzieję, że rano załatwi sobie jakiś środek transportu. Nie posiadał wyraźnych planów dotyczących podróży na północ. Miała to być improwizacja, zagłębienie się we własną przeszłość.

— Czy ten przewodnik jest nildorem? — zapytał stewardesę.

— Ma pan na myśli krajowca? Och, nie, to Ziemianin — panie Gundersen. — Przewertowała plik zadrukowanych kartek. — Nazywa się Van Beneker i powinien tu być przynajmniej na pół godziny przed wylądowaniem statku, nie rozumiem więc dlaczego …

— Van Beneker nigdy nie odznaczał się punktualnością — zauważył Gundersen. — Ale oto i on.

W otwarte drzwi budynku wjechał stary łazik, a z niego wysiadł rudy i piegowaty mężczyzna. Nosił wymięty uniform i długie buty używane w dżungli. Poprzez kosmyki rzednących włosów przeświecała opalona łysa czaszka. Wkroczył do budynku, rozejrzał się i zamrugał powiekami.

— Van! — zawołał Gundersen. — Tutaj, Van. Mężczyzna zbliżył się.

— Witam państwa na Belzagorze, bo tak teraz nazywa się Świat Holmana. Moje nazwisko Van Beneker. Postaram się pokazać państwu tyle z tej fascynującej planety, ile jest legalnie dozwolone, i …

— Hallo, Van — przerwał mu Gundersen. Przewodnik zatrzymał się wyraźnie poirytowany, że mu przerwano. Zamrugał i popatrzył na Gundersena.

— Pan Gundersen???

— Po prostu Gundersen. Nie jestem już szefem.

— Jezu, panie Gundersen. Jezu, przyjechał pan tu na wycieczkę?

— Niezupełnie. Przyjechałem pokręcić się na własną rękę.

— Proszę mi wybaczyć — zwrócił się do grupy Van Beneker. Podszedł do stewardesy. — W porządku, może mi ich pani przekazać. Biorę odpowiedzialność. Wszyscy są tutaj? Raz, dwa, trzy … osiem. Zgadza się. Bagaże można ustawić tu, koło łazika. Niech wszyscy chwilę poczekają. Zaraz wracam.

Szarpnął Gundersena za łokieć.

— Odejdźmy, panie Gundersen. Nie ma pan pojęcia, jaki jestem zdumiony. O Jezu!

— Jak ci się wiedzie, Van?

— Parszywie. Jak inaczej może być na tej planecie? Kiedy pan dokładnie wyjechał?

— W 2240. W rok potem, jak to wypuściliśmy z rąk. Osiem lat temu.

— Osiem lat. I co pan robi?

— Ministerstwo Spraw Wewnętrznych znalazło mi pracę —

odparł Gundersen. — Jestem bardzo zajęty. Teraz dostałem rok zaległego urlopu.

— I chce go pan spędzić tutaj?

— Czemu nie?

— Po co?

— Wybieram się do Krainy Mgieł — odparł Gundersen. — Chcę odwiedzić sulidory.

— Niech pan tego nie robi. Po co to panu?

— Żeby zaspokoić ciekawość.

— Ten sam problem z każdym, kto tu przyjeżdża. Ale pan przecież o tym wie, panie Gundersen, ilu tam poszło i nigdy więcej nie wróciło.

Gundersen zaśmiał się tylko.

— Nie powie mi pan — ciągnął przewodnik — że przyjechał pan tu, taki szmat drogi, żeby tylko potrzeć nosy z sulidorami. Założę się, że ma pan jakiś inny powód.

Gundersen puścił to mimo uszu. — Co ty teraz robisz, Van — zapytał.

— Oprowadzam turystów. Mamy tu co roku dziewięć, dziesięć wycieczek. Wiozę ich wzdłuż oceanu, potem pokazuję trochę Krainy Mgieł i robimy skok przez Morze Piasku. Przyjemna i niezbyt męcząca trasa.

— Hmm …

— A przez resztę czasu byczę się. Czasem pogadam z nildorami, czasem odwiedzę przyjaciół na stacjach w buszu. Pan zna ich wszystkich: to ludzie z dawnych czasów, którzy tu zostali.

— A co się dzieje z Seeną Royce? — zapytał Gundersen.

— Mieszka przy Wodospadach Shangri-la.

— Wciąż taka ładna?

— Jej się tak wydaje — powiedział Van Beneker. — Zamierza pan zapuścić się w tamte strony?

— Oczywiście. Chcę odbyć sentymentalną pielgrzymkę. Odwiedzę wszystkie stacje w buszu, wszystkich starych przyjaciół: Seenę, Cullena, Kurtza, Salamona. Kto tam jest jeszcze?

— Niektórzy już nie żyją.

— No więc tych, którzy zostali. — Gundersen spojrzał na małego człowieczka i uśmiechnął się. — Zajmij się teraz lepiej swoimi turystami. Pogadamy wieczorem w hotelu. Chciałbym, żebyś mnie wprowadził we wszystko, co tu się działo, gdy mnie nie było.

— Mogę to zrobić z łatwością, panie Gundersen. Zaraz i w jednym słowie: zgnilizna. Wszystko tu gnije i rozpada się. Niech pan rozejrzy się po lotnisku. Niech pan popatrzy na te reperujące roboty. Nie bardzo się błyszczą, prawda?

— No, tak …

— Niech pan podejdzie bliżej, a zobaczy pan plamy na ich kadłubach. Niech pan spojrzy choćby na tę ścianę.

— To przecież można …

— Oczywiście. Wszystko można naprawić. Nawet roboty naprawcze. Ale tu załamuje się cały system. Prędzej czy później zbutwieją programy operacyjne i nie będzie już co naprawiać. I ten świat wróci do epoki kamienia łupanego.

Wtedy wreszcie nildory będą szczęśliwe. Znam te wielkie potwory, jak każdy zresztą, kto tu jest. Wiem, że nie mogą się doczekać, aż wszelki ślad Ziemian zniknie z tej planety. Udają przyjazne uczucia, ale cały czas dyszą nienawiścią, prawdziwą nienawiścią i …

— Zajmij się swoimi turystami, Van — przerwał mu Gundersen. — Zaczynają się niepokoić.

II

Z portu międzyplanetarnego do hotelu miała ich przewieźć karawana nildorów — po dwóch Ziemian na jednym stworzeniu, Gundersen sam. Van Beneker z bagażami — łazikiem. Trzy nildory, pasące się na skraju pola, podeszły spokojnie, by włączyć się do karawany i jeszcze dwa inne wyszły z buszu. Gundersen zdziwił się, że nildory godziły się służyć Ziemianom za juczne zwierzęta.

— To im nie przeszkadza — wyjaśnił Van Beneker. — Lubią robić nam małe grzeczności. Zwiększa to ich poczucie wyższości. A zresztą prawie nie czują takiego obciążenia i nie uważają, aby coś upokarzającego było w tym, że siedzą na nich ludzie.

— Kiedy tu byłem, odnosiłem wrażenie, że ich to nie zachwyca — rzekł Gundersen.

— Od czasu naszego zrzeczenia się, traktują te sprawy bardziej pobłażliwie. A zresztą, kto może wiedzieć, co one myślą, co naprawdę myślą?

Turystów zaszokowała perspektywa jazdy na nildorach. Gundersen starał się ich uspokoić tłumacząc, że stanowi to istotną część przeżyć na Belzagorze. A poza tym urządzenia na tej planecie nie są w stanie kwitnącym i właściwie nie ma już żadnego innego środka transportu nadającego się do użytku. Aby ośmielić przybyszów, zademonstrował im, jak się wsiada. Poklepał lewy kieł swojego nildora, a wtedy zwierzę uklękło w taki sposób, jak to robią słonie. Następnie nildor uniósł łopatki i dzięki temu utworzyło się na jego grzbiecie zagłębienie, w którym człowiek mógł wygodnie jechać. Gundersen wspiął się chwytając za wygięte do tyłu rogi, jak za kule u siodła. Kolczasty grzebień biegnący przez środek szerokiej czaszki tuziemca zaczął kurczyć się i drgać

— był to gest powitania. Nildory posiadają bogaty język gestów. Posługują się nie tylko grzebieniami, ale i długimi trąbami oraz pofałdowanymi uszami.

— Sssukh! — zawołał Gundersen i nildor wstał.

— Dobrze ci się siedzi? — spytał nildor w swym własnym języku.

— Doskonale — odparł Gundersen, czując przypływ radości, że nie zapomniał obcych słów.

Z pewnym wahaniem i bardzo niezręcznie ośmiu turystów dosiadło wreszcie nildorów i karawana ruszyła drogą wzdłuż rzeki, w stronę hotelu. Fosforyzujące nocne muchy rozsiewały blade światło pod baldachimem drzew. Na niebo wypłynął trzeci księżyc i jego blask przeświecał przez liście, ukazując oleistą rzekę wartko płynącą po lewej stronie. Gundersen umiejscowił się na tyłach grupy na wypadek, gdyby coś przytrafiło się któremuś z turystów. Był moment

niepokojący w czasie podróży: gdy jeden z nildorów opuścił szereg, podszedł do rzeki i zanurzył w niej kły, by wydobyć jakiś smakowity kąsek. Potem dołączył do karawany. W dawnych czasach — medytował Gundersen — nic podobnego nie mogło się zdarzyć. Nildorom nie pozwalano na żadne kaprysy.

Jazda sprawiała mu przyjemność. Zwierzęta szły wyciągniętym kłusem, co nie było jednak wyczerpujące dla pasażerów. Jakie to dobre stworzenia, te nildory — pomyślał Gundersen. Silne, uległe, inteligentne. Już prawie wyciągnął rękę, żeby pogłaskać swojego wierzchowca, ale uznał, że mogłoby to wydać się protekcjonalne. Przypomniał sobie, że przecież nildory to coś innego niż śmiesznie wyglądające słonie. Są istotami rozumnymi, dominującą formą życia na tej planecie — prawie ludźmi. I nie należy o tym zapominać.

Zbliżali się do hotelu. Na przedzie jedna z kobiet pokazywała, że coś dzieje się w krzakach. Jej mąż wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Kiedy Gundersen zbliżył się do tego miejsca zobaczył, co zaniepokoiło turystów. Jakieś czarne kształty kuliły się pomiędzy drzewami, ciemne postacie poruszały się tu i tam. Były ledwie widoczne w ciemnościach. Dwie takie figury wynurzyły się z mroku i stanęły przy ścieżce. Były to krępe dwunożne stwory, mające blisko trzy metry wzrostu, obrośnięte gęstymi ciemnorudymi włosami. Ich mięsiste ogony poruszały się miarowo; wąskie, przykryte grubymi powiekami oczy spoglądały podejrzliwie na przybyszów. Przez zwisające ryje, długie jak u tapira, wydawały dźwięki podobne do prychania.

— Co to takiego? — spytała Gundersena jedna z kobiet.

— To sulidory. Drugorzędny gatunek. Pochodzą z Krainy Mgieł, mieszkańcy północy.

— Czy są niebezpieczne?

— Nie sądzę.

— Jeśli te zwierzęta żyją na północy, to skąd się tu wzięły — pragnął wiedzieć jej mąż.

Gundersen spytał o to swego „wierzchowca".

— Pracują w hotelu — odrzekł nildor — jako chłopcy na posyłki i pomoce kuchenne.

Wydało mu się to dziwne, że nildory wykorzystują sulidory jako służbę w hotelu Ziemian. Nawet przed zrzeczeniem się przez Ziemian władzy na planecie sulidory nie były zatrudniane jako służba, no ale wtedy, oczywiście, było tu mnóstwo robotników.

Na wybrzeżu, przed nimi, znajdował się hotel. Lśniący, nakryty wielką kopułą, budynek nie wykazywał na zewnątrz śladów zniszczenia. Przedtem było to eleganckie miejsce wypoczynku przeznaczone wyłącznie dla urzędników na najwyższych stanowiskach w Kompanii. Gundersen spędził tu wiele szczęśliwych dni. Teraz,

razem z Van Benekerem, pomagał turystom zsiadać. Przy wejściu do hotelu stały trzy sulidory; Van Beneker skinął na nie, by wyładowały bagaże z pojazdu.

Wewnątrz Gundersen dostrzegł od razu oznaki chylenia się budynku ku upadkowi. Tygrysi mech okalający kwietnik wzdłuż ściany hallu zaczynał wciskać się pomiędzy piękne czarne płyty pokrywające podłogę. Gdy wchodził, maleńkie, zębate paszczki mchu kłapnęły szczękami. Prawdopodobnie roboty utrzymujące porządek w hotelu, niegdyś zaprogramowane do ścinania mchu obrzeżającego grzędę kwiatową, z biegiem lat rozregulowały się i teraz mech zaczął opanowywać nawet wnętrze. A może roboty w ogóle wysiadły, a zastępujące je sulidory niedbale wypełniały swe obowiązki? Były też inne oznaki wskazujące na brak nadzoru.

— Portierzy wskażą państwu pokoje — poinformował Van Beneker. — Proszę zejść na dół na cocktaile, gdy będą państwo gotowi. Kolacja będzie podana za jakieś półtorej godziny.

Wielki jak wieża sulidor zaprowadził Gundersena na trzecie piętro do pokoju z widokiem na morze. Odruchowo chciał wręczyć dryblasowi monetę, ale ten popatrzył na niego tępo i nie przyjął. Wydawało się, że sulidor jest jakiś napięty, że tłumi wewnętrzne wrzenie. Ale była to pewnie imaginacja. W dawnych czasach, sulidory rzadko pojawiały się poza strefą mgieł i Gundersen nie czuł się z nimi swobodnie.

— Jak długo jesteś w tym hotelu? — spytał w języku nildorskim.

Sulidor jednak nie odpowiedział. Gundersen nie znał języka sulidorów, ale był przekonany, że każdy z nich mówi równie biegle po nildorsku, jak i po sulidorsku. Powtórzył pytanie wymawiając wyraźnie słowa. Sulidor podrapał się no skórze błyszczącymi pazurami i nic nie odparł. Przesunął się za Gundersenem, rozwidnił ścianę okienną, powłączał filtry powietrza i bez pośpiechu spokojnie wyszedł.

Gundersen skrzywił się. Szybko ściągnął ubranie i wszedł pod dmuchawę. Szybka wibracja usunęła pył i brud całodziennej podróży. Rozpakował się i włożył wieczorne ubranie. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. To go zdziwiło — przecież był jeszcze młody, miał dopiero czterdzieści osiem lat i zwykle nie odczuwał trudów podróży. Skąd więc to zmęczenie? Teraz zdał sobie sprawę, jak mocno trzymał się w karbach przez ostatnie parę godzin, od chwili gdy powrócił na tę planetę. Sztywny, napięty — nie w pełni świadomy motywów swojego powrotu, niepewny przyjęcia, jakie go czeka, być może z poczuciem jakiejś winy — uginał się teraz pod ciężarem tej sytuacji.

Dotknął kontaktu i ściana zmieniła się w lustro. Tak, twarz miał ściągniętą, kości policzkowe, zawsze wydatne, teraz wręcz sterczały, wargi były zaciśnięte, a czoło poorane bruzdami. Zamknął oczy i starał się rozprężyć. Po chwili wyglądał lepiej. Pomyślał, że dobrze mu

zrobi, jeśli się czegoś napije, zszedł więc do baru.

Nie było jeszcze nikogo. Przez otwarte żaluzje docierał do jego uszu huk załamujących się fal. Poczuł słony smak morza. Na skraju plaży osadzająca się sól utworzyła białą linię. Był przypływ, sterczały tylko czubki poszarpanych skał otaczających zatoczkę przeznaczoną do kąpieli. Gundersen patrzył w dal. Podczas ostatniego tutaj wieczoru, kiedy wydawano dla niego pożegnalne przyjęcie, też były na niebie trzy księżyce. Gdy hulanka skończyła się, on i Seena poszli popływać. Dotarli do niewidocznej za grzebieniami fal ławicy piasku, na której ledwie można było stać, a gdy wrócili na brzeg, nadzy i pokryci drobniutkimi kryształkami soli, kochali się na nadbrzeżnych skałach. Tulił ją, będąc przekonany, że to ostatni raz w życiu. A teraz był tu z powrotem…

Poczuł tak dotkliwe uczucie tęsknoty, że aż drgnął. Gundersen miał trzydzieści lat, kiedy przybył na Świat Holmana jako pomocnik agenta w punkcie handlowym. Miał czterdziestkę i był zarządcą okręgu, gdy wyjeżdżał. Teraz miał wrażenie, że pierwsze trzydzieści lat jego życia było tylko wstępem, przygotowaniem do owych dziesięciu, które przeżył na tym milczącym kontynencie, ograniczonym przez lody i mgły od północy i od południa, Oceanem Benjamini na wschodzie, a Morzem Piasku na zachodzie. Przez wspaniałe i prawdziwe dziesięć lat rządził połową świata, przynajmniej w czasie nieobecności głównego rezydenta. A mimo to, planeta ta strząsnęła go z siebie, jakby nigdy nie istniał… Gundersen odwrócił się od żaluzji i usiadł.

Pojawił się Van Beneker, wciąż w swym przepoconym i pomiętym ubraniu roboczym. Mruknął przyjaźnie do Gundersena i zaczął myszkować po barze.

— Jestem również barmanem, panie Gundersen. Czym mogę panu służyć?

— Jakiś alkohol — odparł. — Coś, co mi możesz polecić.

— Dożylnie czy doustnie?

— Wolę butelkę. Lubię smak.

— Rzecz gustu. Ja wolę dożylnie. To jest dopiero efekt, to dopiero smakuje.

Postawił przed Gundersenem pustą szklankę i podał mu flaszkę zawierającą trzy uncje ciemnoczerwonego płynu. Szkocki rum, produkt miejscowy — Gundersen nie pił go od ośmiu lat.

— To jeszcze zapas sprzed zrzeczenia się — wyjaśnił Van Beneker. — Niewiele tego zostało, ale wiem, że pan go właściwie oceni.

Sobie przystawił do lewego przedramienia ultradźwiękową tulejkę. Bzzz! i przez wąski ryjek alkohol popłynął wprost do żyły. Van Beneker skrzywił się w uśmiechu.

— W ten sposób szybciej działa — powiedział. — Tak się upija plebs. Podać panu jeszcze jeden rum?

— Nie w tej chwili. Zaopiekuj się lepiej swoimi turystami, Van.

Turyści parami zaczęli napływać do baru: najpierw Watsonowie, potem Mirafloresowie, Steinowie i wreszcie Christopherowie. Najwyraźniej oczekiwali, że bar będzie tętnił życiem, że będzie pełno innych gości pozdrawiających się i wymieniających wesołe uwagi z różnych kątów sali, a kelnerzy w czarnych kurtkach będą roznosili drinki. Zamiast tego zastali odrapane plastykowe ściany, nieczynną szafę grającą, puste stoliki i tego niesympatycznego pana Gundersena posępnie zapatrzonego we własną szklankę. Wymienili ukradkowe spojrzenia. Czy musieli przemierzać tyle lat świetlnych, żeby to zobaczyć?

Podszedł Van Beneker proponując drinki, cygara i wszystko inne, co ze swych skromnych zapasów mógł zaoferować hotel. Usadowili się w dwóch grupach, koło okien i rozpoczęli rozmowę przyciszonymi głosami, wyraźnie skrępowani obecnością Gundersena. Odczuwali jako błazenadę role, które grali: wytwornych, bogatych ludzi, których nuda skłania do wyprawy w tak odległy zakątek galaktyki. Stein prowadził w Kalifornii knajpę, gdzie podawano ślimaki, Miraflores był właścicielem paru nocnych domów gry, Watson był lekarzem, a Christopher… — Gundersen nie mógł sobie przypomnieć, co robił Christopher. Coś w świecie finansjery.

— Na plaży jest kilka tych zwierząt. Tych zielonych słoni — powiedziała pani Stein.

Wszyscy spojrzeli. Gundersen skinął, by podano mu następnego drinka. Van Beneker poderwał się, spocony, zamrugał i wstrzyknął sobie kolejną porcję alkoholu. Turyści zaczęli chichotać.

— Czy one w ogóle nie mają wstydu? — zawołała pani Christopher.

— Może po prostu bawią się, Ethel — powiedział Watson.

— Bawią?! No, jeśli ty to nazywasz zabawą… Gundersen pochylił się do przodu i wyjrzał przez okno. Na plaży kopulowała para nildorów. Turyści chichotali, wygłaszali nietaktowne komentarze i oceny, zaszokowani i równocześnie podnieceni. Ku swemu zdumieniu Gundersen zdał sobie sprawę, że jest również zaszokowany, chociaż widok kopulujących nildorów nie był dla niego nowością. A kiedy rozległ się dziki, orgiastyczny ryk, odwrócił oczy czując zażenowanie, choć nie wiedział dlaczego.

— Jest pan wzburzony — zauważył Beneker.

— Nie powinny tego robić tutaj.

— Czemu? Robią to wszędzie. Wie pan, jak to jest.

— Zrobiły to specjalnie — zamamrotał Gundersen. — Żeby pokazać się przed turystami. Żeby im dokuczyć. Nie powinny w ogóle

zwracać uwagi na turystów. Czego chcą dowieść? Czy tego, że są po prostu zwierzętami?

— Nie rozumiesz nildorów, Gundy.

Gundersen spojrzał, zdumiony zarówno słowami Van Benekera, jak i nagłym przejściem od „pana Gundersena" do „Gundy". Van Beneker wydał się także zaskoczony:

mrugnął i szarpał opadający kosmyk rzednących włosów.

— Nie rozumiem? — zdziwił się Gundersen. — Po dziesięciu latach spędzonych tutaj?

— Wybacz, ale nigdy nie uważałem, że je rozumiesz, nawet kiedy tu byłeś. Często chodziliśmy razem po wsiach, gdy byłem u ciebie urzędnikiem. Obserwowałem cię.

— Dlaczego sądzisz, że nie potrafiłem ich zrozumieć, Van?

— Pogardzałeś nimi. Myślałeś o nich jak o zwierzętach.

— Wcale tak nie jest!

— Ależ tak, Gundy. Nigdy nie dopuszczałeś myśli, że posiadają jakąkolwiek inteligencję.

— To absolutnie nieprawda! — zaprzeczył. Wstał, wziął z szafki nową butelkę rumu i wrócił do stolika.

— Ja bym ci podał — zaprotestował Van Beneker. — Trzeba było powiedzieć.

— Drobiazg. — Gundersen nalał sobie rumu i szybko przełknął. — Gadasz głupstwa, Van. Robiłem dla tych istot wszystko co możliwe, aby je udoskonalić, podnieść na wyższy stopień cywilizacji. Wprowadziłem nowe zarządzenia dotyczące maksimum wymaganej pracy. Nakazywałem swoim ludziom szanować ich prawa i przestrzegać miejscowych zwyczajów. Ja…

— Ty traktowałeś je jak bardzo inteligentne zwierzęta. Nie jak inteligentnych innych ludzi. Być może, Gundy, sam nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ale ja to dostrzegałem i, Bóg mi świadkiem, one również. A to całe twoje zainteresowanie, żeby podnieść je na wyższy poziom, udoskonalić — to brednie! One posiadają własną kulturę, Gundy. Nie potrzebują twojej!

— Moim obowiązkiem było kierować nimi — stwierdził sztywno Gundersen. — Chociaż, doprawdy trudno było się spodziewać, że gromada zwierząt nie posiadająca pisanego języka, które nie… — przerwał przerażony.

— Zwierząt — powtórzył Van Beneker.

— Jestem zmęczony. Może za wiele wypiłem. Tak mi się to wymknęło.

— Zwierząt.

— Przestań mi dokuczać, Van. Starałem się najbardziej jak mogłem. Przykro mi, jeśli wyszło źle. Usiłowałem robić to, co uważałem za słuszne. — Gundersen podsunął pustą szklankę. — Nalej

mi jeszcze, dobrze?

Van Beneker przyniósł mu trunek, a dla siebie następną wlewkę. Gundersen był rad z przerwy w rozmowie i najwidoczniej Van Benekerowi też to odpowiadało, gdyż obaj przez dłuższą chwilę milczeli, unikając swych spojrzeń.

Do baru wszedł sulidor i zaczął zbierać puste butelki i szklanki, kulił się przy tym, by nie podrapać sufitu, zbudowanego na miarę Ziemian. Turyści przestali rozmawiać, kiedy to strasznie wyglądające stworzenie poruszało się po sali. Gundersen spoglądał na plażę. Nildory już odeszły. Jeden z księżyców zachodził na wschodzie, zostawiając ognisty ślad na falującej wodzie. Stwierdził z przykrością, że zapomniał, jak nazywają się księżyce. Nie miało to zresztą znaczenia — stare nazwy nadane przez Ziemian, należały już do historii. Zwrócił się do Van Benekera.

— Jak to się stało, że zdecydowałeś się pozostać tutaj po zrzeczeniu się przez nas planety? — zapytał.

— Czułem się tu jak w domu. Przebywałem tutaj od dwudziestu pięciu lat. Dlaczego miałbym się gdzieś przenosić?

— Nie masz żadnej rodziny?

— Nie. A tu jest wygodnie: dostaję emeryturę od Kompanii i napiwki od turystów, mam również pensję w hotelu. Wystarczy na wszystkie moje potrzeby. A przede wszystkim na alkohol. Czemu miałbym stąd wyjeżdżać?

— Do kogo należy hotel?

— Do konfederacji zachodniokontynentalnych nildorów. Kompania im go przekazała.

— I nildory płacą ci pensję? Myślałem, że znajdują się poza obrębem galaktycznej gospodarki pieniężnej.

— Tak jest w istocie. Ale załatwili to jakoś z Kompanią.

— No, a mówiłeś, że to Kompania wciąż prowadzi ten hotel?

— Jeśli w ogóle można powiedzieć, że ktoś go prowadzi, to właśnie Kompania. — przytaknął Van Beneker. — Nie jest to jednak wielkie pogwałcenie układu o przekazaniu. Zatrudniony jest tylko jeden pracownik: ja. Otrzymuję pensję z tego, co turyści płacą za pokoje. To i inne dochody wydaję na import ze strefy pieniężnej. Czy nie widzisz, Gundy, że to czyste kpiny? Wymyślili to, żeby umożliwić mi sprowadzanie wódy. I to wszystko. Kompania została wyeliminowana z tej planety. Kompletnie.

— No, dobrze, już dobrze. Wierzę ci.

— A ty czego szukasz w Krainie Mgieł? — zapytał Van Beneker.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Szybciej mija czas, gdy się rozmawia.

— Chcę zobaczyć ceremonię ponownych narodzin. Nigdy tego nie widziałem, kiedy tu byłem.

Wydawało się, że niebieskie, wypukłe oczy przewodnika stały się jeszcze bardziej wyłupiaste.

— Dlaczego nie możesz być poważny, Gundy?

— Jestem poważny.

— To niebezpieczna zabawa z tą historią ponownych narodzin.

— Jestem przygotowany podjąć ryzyko.

— Powinieneś najpierw porozmawiać o tym z pewnymi ludźmi tutaj. To nie jest sprawa, w którą powinniśmy się mieszać.

— A ty to widziałeś? — zapytał Gundersen z westchnieniem.

— Nie. Nigdy. Nawet mnie to nie interesowało. Cokolwiek, u diabła, robią sulidory w[7] górach, niech sobie robią beze mnie. Powiem ci jednak, z kim możesz o tym pomówić

— z Seena.

— Ona widziała ponowne narodziny?

— Jej mąż widział.

Gundersenowi zawirowało w głowie. — Kto jest jej mężem?

— szepnął.

— Jeff Kurtz. Nie wiedziałeś?

— A niech mnie diabli porwą — zaklął Gundersen.

— Dziwisz się, co w nim widziała, hę?

— Dziwię się, że mogła się zmusić, aby żyć z takim człowiekiem. Mówiłeś o moim stosunku do krajowców! A tu jest ktoś, kto traktował ich, jak swoją własność i…

— Pomów z Seena, w Wodospadach Shangri-la. O tych ponownych narodzinach. — Van Beneker zaśmiał się. — Strugasz ze mnie wariata, prawda? Wiesz, że jestem pijany i robisz sobie zabawę.

— Nie. Wcale nie. — Gundersen wstał. Był skrępowany.

— powinienem trochę się przespać.

Van Beneker odprowadził go do drzwi. Gdy Gundersen już wychodził, mały człowieczek przysunął się do niego.

— Wiesz, Gundy, — szepnął — to co nildory robiły na plaży,

nie było przeznaczone dla turystów. Robiły to dla ciebie. Takie mają poczucie humoru. Dobranoc, Gundy.

III

Gundersen zbudził się wcześnie. Miał niespodziewanie lekką głowę. Było tuż po wschodzie i słońce o zielonkawym zabarwieniu, stało nisko na niebie. Zszedł na plażę, by popływać. Łagodny południowy wiatr pędził wełniste obłoczki. Gałęzie drzew Hullygully uginały się od owoców. Powietrze było parne jak zawsze. Za górami, które rozciągały się łukiem o dzień drogi od wybrzeża, rozległ się grzmot. Na całej plaży leżały kupy łajna nildorów. Gundersen kroczył ostrożnie po chrzęszczącym piasku i rzucił się płasko na fale. Zanurzył się pod spienione grzywacze i silnymi, szybkimi ruchami popłynął w stronę mielizny. Był odpływ. Przeszedł przez wyłaniającą się ławicę piachu i popłynął dalej, aż poczuł się zmęczony. Kiedy wrócił do brzegu, dojrzał turystów, którzy również przyszli się kąpać, Christophera i Mirafloresa. Uśmiechnęli się do niego nieśmiało.

— Pokrzepiające — powiedział. — Nie ma nic lepszego, niż słona woda.

— Ale dlaczego nie mogą utrzymać plaży w czystości? — rzucił pytanie Miraflores.

Ponury sulidor podawał śniadanie. Krajowe owoce, ryby. Gundersen miał wspaniały apetyt. Zjadł trzy złotozielone gorzkie owoce, potem fachowo oddzielił kości jeżo-kraba od różowego, słodkiego mięsa, które ładował w siebie widelcem z taką szybkością, jakby uczestniczył w zawodach. Sulidor przyniósł mu następną rybę i miskę leśnych „świeczek". Gundersen zajęty był pałaszowaniem przysmaków, kiedy wszedł Van Beneker w świeżym, wyprasowanym ubraniu. Zamiast przysiąść się do stolika Gundersena, uśmiechnął się tylko formalnie i pożeglował dalej.

— Usiądź ze mną, Van — zawołał za nim Gundersen. Van Beneker przystał na to, ale widać było, że jest skrępowany.

— Co do wczorajszego wieczoru… — zaczął.

— Nie ma o czym mówić.

— Byłem nieznośny, panie Gundersen.

— Miałeś w czubie. Zrozumiałe. In vino veritas. Ale wczoraj mówiłeś do mnie — Gundy. Może zostaniesz przy tym i dzisiaj. Kto tu łowi ryby?

— Jest automatyczny jaz, tuż koło hotelu, na północ. Łapie i przysyła wprost do hotelu. Bóg jeden wie, kto przygotowywałby tu jedzenie, gdybyśmy nie mieli maszyn.

— A kto zrywa owoce? Też maszyna?

— To robią sulidory — odparł Van Beneker.

— Od kiedy sulidory zaczęły pracować jako siła robocza na tej planecie?

— Jakieś pięć lat temu, może sześć. Skoro my mogliśmy zrobić z nildorów tragarzy i żywe spychacze, to one mogły zamienić sulidory w służących. Mimo wszystko, sulidory są jednak gatunkiem niższym.

— Zawsze były panami samych siebie. Dlaczego zgodziły się służyć? Co z tego mają?

— Nie wiem — wyznał Van Beneker. — Czy ktoś kiedykolwiek zrozumiał sulidory?

Racja, pomyślał Gundersen. Nikomu jeszcze nie udało się zrozumieć, jakie stosunki panują pomiędzy obu inteligentnymi gatunkami zamieszkującymi tę planetę. Już sama obecność dwóch inteligentnych gatunków sprzeczna jest z ogólnie panującą we wszechświecie logiką ewolucji. Zarówno nildory, jak i sulidory kwalifikowały się do posiadania autonomii, bowiem poziomem percepcji przewyższały ziemskie humanoidy. Sulidor był bystrzejszy od szympansa, a nildor — jeszcze bardziej inteligentny. Gdyby tu nie było nildorów, to wystarczyłaby obecność sulidorów, żeby zmusić Kompanię do zrzeczenia się praw własności do tej planety, kiedy ruchy dekolonizacyjne osiągnęły swój szczyt. Ale dlaczego dwa gatunki i tak dziwnie ze sobą koegzystują? Dwunożne, mięsożerne sulidory rządzą Krainą Mgieł, a czworonożne, trawożerne nildory dominują w tropikach. Dlaczego w ten sposób podzieliły ten świat? I dlaczego taki podział panowania załamuje się, o ile to właśnie ma teraz miejsce?

Gundersen wiedział, iż pomiędzy tymi stworzeniami zawsze istniały jakieś układy, że każdy nildor wraca do Krainy Mgieł, gdy nadchodzi moment ponownych narodzin. Nie miał jednak pojęcia, jaką rzeczywiście rolę odgrywały sulidory w życiu i odradzaniu się nildorów. Nikt tego nie wiedział. Przyznawał, że właśnie ta tajemnicza zagadką była jedną z przyczyn, które przywiodły go z powrotem na Świat Holmana, na Belzagor. Teraz, kiedy był wolny od odpowiedzialności urzędowej i mógł swobodnie ryzykować życie, by zaspokoić swoją ciekawość. Zaniepokoiły go jednak zmiany w stosunkach sulidory — nildory, które zaobserwował już tutaj, w hotelu. Oczywiście, obyczaje obcych stworzeń to nie jego sprawa. Nic właściwie nie było teraz jego sprawą. Przybył tu, by rzekomo prowadzić badania, to znaczy myszkować i szpiegować. W ten sposób jego powrót na tę planetę wydawał się aktem woli, a nie podporządkowaniem się nieodpartemu przymusowi, choć czuł, że przecież mu ulegał.

— … bardziej skomplikowane, niż komukolwiek mogłoby się wydawać — dotarły do niego słowa Van Benekera.

— Przepraszam. Umknęło mi, coś powiedział.

— Nieważne. Lubimy tu teoretyzować. Ta setka, jaka z nas pozostała. Kiedy chciałbyś wyruszyć na północ?

— Chcesz się mnie szybko pozbyć, Van?

— Pragnę tylko wszystko rozplanować, przyjacielu — odparł mały człowieczek nieco urażony. — Jeśli zamierzasz zostać, trzeba się zatroszczyć o zaprowiantowanie dla ciebie i …

— Wyruszę zaraz po śniadaniu, jeśli zechcesz mi powiedzieć, jak dostać się do najbliższego siedliska nildorów. Chcę otrzymać pozwolenie na podróż.

— Dwadzieścia kilometrów na południowy-wschód. Podrzuciłbym cię, ale rozumiesz — turyści …

— Czy mógłby zawieźć mnie jakiś nildor? — zapytał Gundersen. — Bo jeśli to zbyt wiele kłopotu, sam podrałuję, trudno.

— Załatwię ci to — zapewnił Van Beneker. W godzinę po śniadaniu pojawił się młody samiec nildor, by zabrać Gundersena do siedliska. W dawnych czasach Gundersen po prostu wsiadłby mu na grzbiet, ale teraz czuł, że powinien się przedstawić. Nie można żądać, by samostanowiące o sobie, inteligentne stworzenie niosło cię dwadzieścia kilometrów przez dżunglę — myślał Gundersen — bez okazania mu elementarnej grzeczności.

— Jestem Edmund Gundersen, z pierwszych narodzin — powiedział — i życzę ci, przyjacielu mej podróży, wielu szczęśliwych ponownych narodzin.

— Ja jestem Srin'gahar, z pierwszych narodzin — odparł nildor uprzejmie — i dziękuję ci za życzenia, przyjacielu mej podróży. Będę ci służył z wolnej i nieprzymuszonej woli i oczekuję twych rozkazów.

— Muszę pomówić z wielokrotnie urodzonym i otrzymać zezwolenie na podróż na północ. Ten człowiek tutaj powiada, że możesz mnie do niego zawieźć.

— Może się tak stać. Czy teraz?

— Teraz.

Miał tylko jedną walizkę. Położył ją na szerokim zadzie nildora, a Srin'gahar natychmiast podniósł ogon, by przytrzymać bagaż na miejscu. Następnie klęknął, a Gundersen z zachowaniem całego rytuału usadowił się na nim. Tony mięsa podniosły się i posłusznie ruszyły w stronę lasu. Było nieomal tak, jak dawniej.

Pierwsze kilometry dróżek wśród coraz gęstszych drzew o gorzkich owocach przemierzali w milczeniu. Gundersen uświadomił sobie, że nildor nie zacznie mówić, jeśli nie zostanie zagadnięty. Aby więc rozpocząć rozmowę, powiedział, że dziesięć lat temu mieszkał na Belzagorze. Srin'gahar odparł, że wie o tym, że pamięta go z okresu rządów Kompanii. Było to bezbarwne nosowe porykiwanie i chrząkanie, które absolutnie nie ujawniło, czy nildor przypomniał sobie Gundersena z przyjemnością, z urazą czy obojętnie. Gundersen powinien był coś wywnioskować z poruszeń grzebienia na łbie Srin'gahara, ale było to teraz niemożliwe. Skomplikowany system

dodatkowego porozumiewania się nildorów niestety nie został rozwinięty dla wygody pasażerów. Poza tym Gundersen znał tylko kilka z nieograniczonej niemal liczby dodatkowych gestów, a zresztą większość z nich zapomniał. Nildor wydawał mu się dość uprzejmy.

Gundersen zamierzał wykorzystać podróż, by przypomnieć sobie język nildorski. Jak dotychczas, szło mu nieźle, ale zdawał sobie sprawę, że w rozmowie z wielokrotnie narodzonym będzie potrzebował całej znajomości tego języka.

— Czy wypowiadam to we właściwy sposób? — pytał co chwila. — Proszę, popraw mnie, jeśli robię błąd.

— Mówisz bardzo dobrze — stwierdził Srin'gahar. Język w istocie nie był trudny. Miał mały zasób słów i prostą gramatykę. Czasowniki nie odmieniały się. Słowo tworzone było w drodze aglutynacji, prostego sumowania znaczących sylab i złożone pojęcie, na przykład „poprzednie pastwisko mego małżonka", brzmiało jak długi ciąg chrapliwych dźwięków, nie przerywanych nawet krótką pauzą. Mowa nildorów była powolna i zwarta, zawierała niskie wibrujące tony, które Ziemianin musiał wydobywać z głębi nosa.

Srin'gahar szedł ścieżkami nildorów, a nie starymi utartymi szlakami Kompanii. Gundersen zmuszony był pochylać się pod nisko zwisającymi gałęziami, a raz drżąca nikalanga owinęła mu się wokół szyi. Rozerwał ją szybko, bo ten zimny uścisk był przerażający. Gdy obejrzał się, zobaczył, że liana nabrzmiała z podniecenia, stała się czerwona i rozdęta — tak nią wstrząsnął dotyk skóry Ziemianina. Wkrótce wilgotność powietrza w dżungli osiągnąć musiała górną granicę skali, skraplanie wytworzyło rodzaj deszczu. Było tak parno, iż Gundersen z trudem oddychał, a po ciele spływały mu strugi potu. Wkrótce przecięli dawną drogę Kompanii, teraz już tak zarosła, że jeszcze rok i nie będzie po niej śladu.

Ogromne cielsko nildora często domagało się pokarmu. Co pół godziny zatrzymywali się, Gundersen zsiadał, a Srin'gahar żuł gałązki krzewów. Widok ten ożywiał uśpione uprzedzenia Gundersena i niepokoił go do tego stopnia, że starał się nie patrzeć. Nildor, zupełnie jak słoń, rozwijał trąbę i ogołacał z liści gałązki, potem jego wielka gęba rozchylała się i niknęła w niej cała wiązka. Potrójnymi kłami obdzierał kawałki kory na deser. Ogromne szczęki poruszały się niezmordowanie do przodu i tyłu, rozdrabniały, mełły. My nie wyglądamy wcale ładniej, przekonywał się Gundersen. Jednakże, demon który w nim siedział, przeciwstawiał się jego tolerancji i upierał się, że towarzyszący mu nildor to po prostu zwierzę.

Srin'gahar nie był wylewny. Kiedy Gundersen nic nie mówił — to i nildor milczał. Gdy Gundersen o coś zapytał, nildor odpowiadał uprzejmie, ale bardzo zwięźle. Trud podtrzymywania takiej kulejącej konwersacji wyczerpywał Gundersena. Poddawał się rytmowi kroków

tego ogromnego stworzenia znajdując przyjemność w tym, że bez wysiłku ze swej strony przemierza pełną oparów dżunglę. Nie miał pojęcia, gdzie jest i nie potrafiłby powiedzieć, czy posuwają się w odpowiednim kierunku, bowiem drzewa nad głową tworzyły zwarty baldachim skrywający słońce. Nildor, chcąc się po raz kolejny tego ranka pożywić, zboczył ze ścieżki i tratując roślinność doszedł do czegoś, co niegdyś było świetnym budynkiem Kompanii, a teraz — brudną ruderą obrośniętą lianami.

— Czy wiesz, co to za dom, Edmundzie pierwszego urodzenia? — spytał Srin'gahar.

— Nie bardzo sobie przypominam…

— Stacja wężów. Tutaj zbieraliście ich jad. Tak… Teraz pamiętał… Porwane obrazy tłoczyły się przed oczami. Stare skandale, dawno zapomniane lub przytłumione, nabrały żywych barw. Te ruiny to stacja wężów? Miejsce jego grzechów, scena tylu upadków, utraty łaski? Gundersen czuł, że policzki zaczynają mu pałać. Zsunął się z grzbietu nildora i powlókł w stronę budynku. Stanął na chwilę przed drzwiami, zaglądając do środka. Tak, tutaj znajdowały się wiszące rurki i koryta, przez które przepływał wydobyty jad. Całe to wyposażenie techniczne było wciąż na miejscu, zaniedbane jednak i zniszczone wskutek wilgoci. A tutaj było wejście dla węży, które znęcone dziwną muzyką nie mogąc się jej oprzeć, wypełzały z zakamarków w dżungli i tutaj wydobywano z nich jad. A tu…, a tam…

Rzucił okiem na Srin'gahara. Kolce na grzebieniu nildora były rozdęte: oznaka napięcia, a być może i dzielonego wstydu. Nildory miały również wspomnienia łączące się z tym budynkiem. Gundersen wszedł do wnętrza, popychając uchylone drzwi. Zaskrzypiały zawiasy. Zgrzyt, a potem melodyjny jęk rozległ się po całym budynku, zamierając przytłumionym echem. Bzzmm… i Gundersen usłyszał gitarę Jeffa Kurtza. Opadły z niego lata. Miał znowu trzydziestkę i dopiero co przybył na Świat Holmana. Rozpoczynał praktykę w stacji wężów, a potem został na stałe zaangażowany. Ileż to plotek krążyło wokół tego miejsca! Tak. Z mroków pamięci wyłoniła się postać Kurtza. Stał w drzwiach budynku, nieprawdopodobnie wysoki, najwyższy mężczyzna jakiego Gundersen widział, z wielką, okrągłą, łysą głową i ogromnymi czarnymi oczami, osadzonymi pod łukami wystających kości. Miał szeroki uśmiech, w którym odsłaniał białe zęby. Gitara zabrzęczała, a Kurtz powiedział:

— Zobaczysz, jakie to wszystko interesujące, Gundy. Można mieć tutaj doświadczenia z niczym nieporównywalne. W zeszłym tygodniu pochowaliśmy twego poprzednika — Bzmm. — Musisz się oczywiście nauczyć utrzymywać dystans pomiędzy sobą, a tym, co się tu dzieje. To tajemnica zachowania własnej tożsamości w tym obcym świecie.

Trzeba zakreślić linię graniczną wokół siebie, Gundy, i powiedzieć tej planecie: dotąd możesz się posunąć niszcząc mnie, ale ani kroku dalej. W przeciwnym razie planeta cię pochłonie i uczyni swą integralną częścią. Czy mówię jasno?

— Nic nie rozumiem — stwierdzi Gundersen.

— Po jakimś czasie zrozumiesz. — Bzmm. — Chodź obejrzeć nasze węże.

Kurtz był o pięć lat starszy od Gundersena i trzy lata wcześniej przybył na Świat Holmana. Gundersen znał go ze słyszenia, na długo zanim go spotkał. Wydawało się, że każdy tu czuł nabożną niemal cześć wobec Kurtza, chociaż był on tylko pomocnikiem agenta na stacji i nigdy wyżej nie awansował. Po pięciu minutach Gundersen sądził, że zdołał go rozgryźć: jest on jak spadający, nie do końca upadły anioł, jak Lucyfer w drodze ku otchłani, jeszcze w zaraniu swego grzechu. Takiego człowieka nie można obarczyć, póki nie przebył swej drogi i nie osiągnął ostatecznego stanu, poważną odpowiedzialnością.

Weszli razem do stacji. Kurtz sięgnął po aparat destylacyjny, delikatnie pieścił rurki i krany. Palce jego były jak odnóża pająka, a ta pieszczota zdumiewająco nieprzyzwoita. W odległym końcu pokoju stał niski, przysadzisty mężczyzna, o ciemnych włosach i czarnych brwiach, inspektor Gio Salamone. Kurtz dokonał ceremonii prezentacji. Salamone uśmiechnął się.

— Szczęściarz z pana — powiedział. — Jak pan to zrobił, że tu pana przydzielono?

— Ktoś zrobił komuś kawał — zasugerował Kurtz.

— Możliwe — zgodził się Gundersen. — Każdy uważa, że bujam, kiedy mówię, że mnie tu przysłano, chociaż się nie starałem.

— Test niewinności — zamamrotał Kurtz.

— No, skoro pan tu jest — oświadczył Salamone — musi pan poznać podstawowe prawo życia w punkcie wężów. Zabrania ono po opuszczeniu stacji, dyskutowania z kimkolwiek o tym, co tu się działo. Capisce? Ą teraz proszę powtarzać za mną: Przysięgam na Ojca, Syna i Świętego Ducha, a także na Abrahama, Izaaka, Jakuba i Mojżesza…

Kurtz zakrztusił się ze śmiechu.

— To przysięga jakiej nigdy jeszcze nie słyszałem — powiedział zdumiony Gundersen.

— Salamone jest włoskim Żydem — wyjaśnił Kurtz. — Stara się ubezpieczyć na wszelkie możliwości. Przysięgą się nie przejmuj, ale on istotnie ma rację: nikomu nic do tego, co się tu dzieje. To, co gdzieś tam słyszałeś o stacji wężów, to może i prawda, ale nic nikomu nie opowiadaj, gdy stąd wyjedziesz. — Bzmm. Bzmm. — Obserwuj nas teraz uważnie. Będziemy zwoływać nasze demony. Przygotuj amplifikatory, Gio.

Salomone chwycił plastykowy worek z czymś, co wyglądało jak złota kaszka i zawlókł w stronę tylnych drzwi. Nabrał w garść i szybkim ruchem do góry wypuścił to w powietrze. Wiatr natychmiast porwał i uniósł błyszczące ździebełka.

— Rozrzucił właśnie w dżungli tysiące mikroamplifikatorów — wyjaśnił Kurtz. — W ciągu dziesięciu minut pokryją obszar o promieniu dziesięciu kilometrów. Są tak nastrojone, by odbierały częstotliwość dźwięków mej gitary i fletu Gio, a dzięki rezonansowi wszędzie tam będzie słyszana muzyka.

Kurtz zaczął grać, a Salamone towarzyszył mu na flecie. Zabrzmiała uroczysta sarabanda, delikatna, hipnotyzująca, powtarzały się w niej dwie lub trzy figury muzyczne, bez zmiany pełni i wysokości tonu. Przez dziesięć minut nie działo się nic niezwykłego. Potem Kurtz wskazał w stronę dżungli.

— Zaczynają wyłazić — szepnął. — Jesteśmy autentycznymi zaklinaczami wężów.

Gundersen przyglądał się, jak węże pełzły spośród zarośli. Były cztery razy dłuższe od człowieka i grube jak ludzkie ramię. Falujące płetwy biegły wzdłuż ich grzbietów. Skóra ich była błyszcząca, bladozielona i najwyraźniej lepka, gdyż poprzyklejane były do niej w różnych miejscach szczątki leśnego podłoża — kawałki mchu, liści, zwiędłe płatki kwiatów. Zamiast oczu miały rzędy sensorów wielkości spodka, usytuowanych po obu stronach płetwy. Głowy miały krótkie i grube, a otwór gębowy był wąską szczeliną. Tam, gdzie powinny znajdować się nozdrza, sterczały dwa smukłe kolce, długości ludzkiego kciuka. W momencie napięcia lub gdy wąż atakował, wydłużały się pięciokrotnie i wypływał z nich niebieski płyn — jad. Pomimo, że pojawiło się ich równocześnie przynajmniej ze trzydzieści, Gundersen nie czuł obawy, chociaż z pewnością na widok gromady pytonów obleciałby go strach. To nie były pytony. Nie były to nawet żmije, ale jakaś podła rasa stworzeń, gigantyczne robaki. Były ospałe i nie przejawiały żadnej inteligencji, wyraźnie jednak reagowały na muzykę. Doprowadziła je ona aż do stacji i teraz wyginały się w upiornym tańcu szukając źródła dźwięków. Parę pierwszych właziło już do budynku.

— Grasz na gitarze? — zapytał Kurtz. — Masz, uderzaj w struny. Melodia nie jest już teraz ważna.

Rzucił instrument Gundersenowi, który z trudem wydobył z niego niezręczną imitację melodii granej przez Kurtza. A Kurtz tymczasem nasuwał coś, jakby różową czapeczkę, na głowę najbliższego gada. Wąż wił się, jego płetwa drgała konwulsyjnie, a ogon bił o ziemię. Potem uspokoił się. Kurtz zdjął mu czapeczkę i włożył na głowę następnego, a potem kolejno na głowy innych.

Wyciągał z nich jad. Mówiono, że ten jad działał zabójczo na

system metaboliczny krajowców. Węże nigdy nie atakowały, ale sprowokowane uderzały, a trucizna była skuteczna. To jednak, co było trucizną na Świecie Holmana, okazywało się równocześnie błogosławieństwem na Ziemi. Jad wężów był jednym z najbardziej dochodowych artykułów eksportowanych przez Kompanię. Odpowiednio destylowany, oczyszczony, skrytalizowany, służył jako katalizator w procesie regeneracji członków ludzkiego ciała. Jak i dlaczego tak się działo, Gundersen nie wiedział, spotkał się jednak z czymś takim w okresie szkolenia, kiedy jeden z kolegów w wypadku szybowcowym stracił obie nogi poniżej kolan. Po zastosowaniu leku nogi odrosły w ciągu sześciu miesięcy.

Gundersen w dalszym ciągu szarpał struny gitary, Salamone grał na flecie, a Kurtz zbierał jad. Nagle w zaroślach rozległ się ryk. Najwyraźniej muzyka zwabiła również stado nildorów. Gundersen widział, jak wyłaziły zza krzaków i zatrzymywały się onieśmielone na skraju polany. Było ich dziewięć. Po chwili zaczęły kołysać się w niezgrabnym tańcu, huśtały trąbami w rytm melodii, machały ogonami, a ich kolczaste grzebienie kurczyły się i rozkurczały.

— Zrobione — oznajmił Kurtz. — Pięć litrów. Dobry zysk. Węże pozbawione jadu, gdy tylko ustała muzyka, popełzły do lasu. Nildory zostały chwilę dłużej, patrząc natarczywie na ludzi, ale po pewnym czasie i one odeszły. Kurtz i Salamone zaznajomili Gundersena z techniką destylowania cennego płynu i przygotowaniem do wysyłki na Ziemię.

To było wszystko. Nie dostrzegł nic skandalicznego i nie mógł pojąć, skąd wzięło się tyle dwuznacznych plotek dotyczących tej stacji, ani dlaczego Salamone chciał wymusić na nim przysięgę milczenia. Nie śmiał jednak zadawać pytań. W trzy dni później, znów zwabiono węże, pobrano ich jad i znów w całym tym rytuale Gundersen nie widział nic szczególnego. Ale wkrótce zrozumiał, że Kurtz i Salamone wystawili go na próbę przed rozpoczęciem prawdziwego misterium.

W trzecim tygodniu pobytu na stacji wężów został wreszcie dopuszczony do tajemnej wiedzy. Oto zbieranie jadu zostało zakończone i węże powróciły do lasu. Parę nildorów plątało się jeszcze wokół budynku. Gundersen nagle poczuł, że zaraz zdarzy się coś niezwykłego. Zobaczył, że Kurtz rzucił znacząco okiem na Salamone i odłączył zbiornik z jadem, zanim ciecz zaczęła spływać do aparatu destylacyjnego, potem nalał z litr tego płynu do szerokiej miski. Na Ziemi taka ilość tego lekarstwa warta byłaby roczną pensję Gundersena.

— Chodź z nami — powiedział Kurtz.

Trzej mężczyźni wyszli na zewnątrz. Zaraz zbliżyły się trzy nildory. Zachowywały się dziwnie, grzebienie ich stały się sztywne, a

uszy drżały. Wydawały się niespokojne i roznamiętnione. Kurtz podał miskę z jadem Salamone'owi, który upił trochę. Potem napił się Kurtz.

— Przyjmiesz z nami komunię? — spytał podsuwając miskę Gundersenowi. Gundersen zawahał się.

— Można pić bezpiecznie — starał się go uspokoić Salamone — nie działa na jądra komórek, kiedy przyjmuje się doustnie.

Gundersen przyłożył naczynie do ust i ostrożnie pociągnął łyk. Jad był słodki, ale wodnisty.

— Działa tylko na mózg — dodał Salamone. Kurtz odebrał mu miskę i postawił na ziemi. Zbliżył się największy nildor i delikatnie zanurzył trąbę w płynie. Potem napił się drugi i trzeci. Miska była pusta.

— Jeśli to jest trujące dla stworzeń na tej planecie? Co wtedy? — zaniepokoił się Gundersen.

— Przecież same piją. To jest niebezpieczne tylko wtedy, gdy dostanie się bezpośrednio do krwioobiegu — wyjaśnił Salamone.

— Co się teraz stanie?

— Poczekaj — powiedział Kurtz — i otwórz swą duszę na to, co nastąpi.

Gundersen nie musiał długo czekać. Poczuł, że szyja robi mu się gruba, twarz chropawa, a ramiona stają się niemożliwie ciężkie. Kiedy wrażenie to nasiliło się upadł na kolana. Zwrócił się do Kurtza szukając w jego czarnych, błyszczących oczach wsparcia, ale te oczy były płaskie i wielkie, a jego zielona, chwytna trąba sięgała już niemal ziemi. Salamone również podlegał metamorfozie: podrygiwał komicznie i dźgał ziemię kłami. Gundersen czuł, że w dalszym ciągu grubieje. Miał świadomość, że teraz waży kilka ton i próbował skoordynować ruchy ciała postępując naprzód i do tyłu, ucząc się chodzić na czterech nogach. Podszedł do strumienia i nabrał wody w trąbę. Ocierał swe pokryte szorstką skórą ciało o pnie drzew. Rozpierała go radość, że jest taki ogromny i z tej radości wydawał ryki i trąbił. Przyłączył się do Kurtza i Salamone. Tańczyli razem, aż ziemia dudniła. Nildory również uległy transformacji: jeden stał się Kurtzem, drugi Salamonem, a trzeci Gundersenem i — niepewne jeszcze w swej nowej postaci — kręciły piruety, przewracały się i koziołkowały.

Gundersena jednakże nie interesowało to, co robiły nildory. Skoncentrował się całkowicie na własnych przeżyciach. Gdzieś w głębi duszy przerażała go świadomość, że zaszła w nim taka zmiana, że będzie skazany do końca życia na rolę potężnego zwierzęcia obłupującego korę i obdzierającego z liści gałęzie w dżungli. A z drugiej strony odczuwał satysfakcję z tak wielkiego ciała i odbierania zupełnie nowych wrażeń zmysłowych. Wzrok miał teraz przymglony i wszystko widział w świetlnej aureoli, ale za to był w stanie kierować się najbardziej subtelnymi zapachami i posiadał o wiele bardziej czuły

słuch. Postrzegał także promienie ultrafioletowe i podczerwone. Ciemne kwiaty leśne wysyłały ku niemu fale oszałamiających, wilgotnych, słodkich woni, szmer odnóży owadów brzmiał jak symfonia. I ta jego wielkość! Ekstaza posiadania tak potężnego cielska! Jego świadomość uległa przeobrażeniu, ciągnęła go jak balon w górę, to opadała, by znów wznieść się wysoko. Tratował drzewa i sławił się za to huczącym rykiem. Obżerał się trawą aż do przesytu. Potem położył się na chwilę, doskonale wyciszony i medytował nad istnieniem zła we wszechświecie, pytając siebie, dlaczego ono jest i czy naprawdę istnieje zło jako zjawisko obiektywne. Odpowiedź zdumiała go i ucieszyła. Zwrócił się więc do Kurtza, by podzielić się z nim swym odkryciem, ale wtedy właśnie działanie jadu zaczęło gwałtownie słabnąć i Gundersen nagle poczuł się znów normalnym człowiekiem. Zaczął płakać, bo odczuwał palący wstyd, tak jakby ktoś przyłapał go na przykład na dręczeniu dziecka. Trzech nildorów nie było nigdzie widać. Salamone podniósł miskę i wszedł do budynku.

— Chodźmy już — powiedział Kurtz.

Żaden z nich nie dyskutował z Gundersenem na ten temat. Pozwolili mu uczestniczyć, ale nie mieli ochoty nic mu tłumaczyć. Zbywali go szybko, gdy chciał pytać. Obrządek miał pozostać dla każdego sprawą absolutnie prywatną. Gundersen nie był w stanie ocenić tego przeżycia. Czy ciało jego rzeczywiście zmieniło się na godzinę w ciało nildora? Trudno w to uwierzyć. A więc jego umysł, jego dusza w jakiś sposób przeniosła się w ciało nildora? A czy dusza nildora, o ile nildor posiada duszę, weszła w niego? W czym brał udział, jaki rodzaj najbardziej wewnętrznego zjednoczenia zdarzył się na tej planecie?

W trzy dni później Gundersen złożył podanie o przeniesienie ze stacji wężów. Był wytrącony z równowagi. Jedyną reakcją Kurtza, gdy oznajmił mu, że wyjeżdża, był krótki pogardliwy chichot. Gundersen nigdy więcej tam nie był.

Później starał się zbierać wszelkie plotki, jakie krążyły o tym, co robiono w stacji wężów. Opowiadano o ohydnych wybrykach erotycznych w pewnej grocie, o stosunkach seksualnych pomiędzy Ziemianami i nildora-mi, a także między samymi Ziemianami. Dochodziły pogłoski, że u tych, którzy stale piją jad, występują dziwne i straszne zniekształcenia ciała. Mówiono, że starszyzna nildorów na posiedzeniu rady stanowczo potępiła nałóg chodzenia do punktu wężów i picia napoju, którym częstowali Ziemianie. Gundersen nie wiedział, co z tego było prawdą. W późniejszych latach jednak trudno mu było spojrzeć Kurtzowi w oczy. Czasem nawet było mu ciężko z samym sobą. Na granicy swej osobowości był skażony tą jedną godziną metamorfozy. Czuł się jak dziewczyna, która przypadkiem uczestniczyła w orgii, straciła dziewictwo, a jednak wciąż nie miała

pełnej świadomości, co się z nią stało.

Zjawy zbladły, dźwięk gitary Kurtza brzmiał coraz ciszej aż zamilkł.

— Możemy już iść? — spytał Srin'gahar. Gundersen powoli opuścił zrujnowany budynek. — Czy dzisiaj zbiera się jeszcze jad węży?

— Nie tutaj — odparł nildor.

Ukląkł. Ziemianin wsiadł i Srin'gahar poniósł go z powrotem na ścieżkę, która ich tu przywiodła.

IV

Wczesnym popołudniem zbliżyli się do obozowiska nildorów. Przez większą część dnia podróżowali szerokim nadbrzeżnym płaskowyżem, który teraz się obniżył, tworząc długi wąski pas depresji biegnący z północy na południe. Ta rozpadlina oddzielała równinę centralną od wybrzeża. Gundersen zaobserwował, że na znacznej przestrzeni drzewa i krzewy pozbawione były liści. Oznaczało to obecność wielkiego stada nildorów w pobliżu.

Nawet rozbuchana, tropikalna płodność tego rejonu nie mogła dotrzymać kroku apetytom nildorów. Przez las, od podłoża na wysokość podwójnego wzrostu człowieka, biegła poszarpana przesieka. Trzeba było roku lub więcej, by po przemarszu stada odrodziła się zieleń. Jednak po obu stronach przesieki las był tak gęsty, że prawie nie do przebycia — prawdziwa dżungla, podmokła, parująca, ciemna. W dolinie temperatura była znacznie wyższa niż na wybrzeżu, a powietrze przesycone nieomal dotykalną wilgocią. Roślinność też była tu inna. Na wybrzeżu drzewa miały raczej ostre, czasem niebezpiecznie ostre liście. Tutaj liście były zaokrąglone i mięsiste, połyskujące w promieniach słońca, które przedarły się przez kopułę splątanych u góry gałęzi.

Gundersen i jego wierzchowiec zstępowali w dolinę przesieką. Szli wzdłuż strumienia, który płynął w głąb lądu. Ziemia była gąbczasta, miękka i coraz częściej Srin'gahar zapadał się po kolana w muł. Wreszcie znaleźli się w szerokim, kolistym basenie, położonym chyba najniżej w całej okolicy. Z trzech lub czterech stron wpadały do niego strumienie, zasilając ciemne, zarośnięte zielskiem jezioro. Wokół jego brzegów przebywało stado Srin'gahara. Gundersen zobaczył kilkaset nildorów — pasących się, śpiących, przechadzających się lub kopulujących.

— Zsadź mnie — powiedział, sam zdziwiony. — Będę szedł koło ciebie.

Srin'gahar bez słowa pozwolił mu zejść.

Gdy tylko Gundersen dotknął ziemi, pożałował, że odezwała się w nim nuta egalitaryzmu. Stopy nildora, o szerokich poduszkach, były w stanie utrzymać się na bagnistym podłożu, a Gundersen zapadał się w muł, jeśli tylko pozostał na jednym miejscu dłużej niż chwilę. Teraz już jednak nie mógłby dosiąść Srin'gahara. Każdy krok był walka. Walczył. Był bardzo spięty i niepewny, jakiego dozna tu przyjęcia. I był głodny, bowiem przez całą drogę nie jadł nic poza paroma gorzkimi owocami, zerwanymi z mijanych drzew. Zatęchłe powietrze utrudniało mu oddychanie. Odczuł więc niebywała ulgę, kiedy u podnóża pochyłość grunt zrobił się twardszy. To rozrastające się z

jeziora gąbczaste rośliny utworzyły gruby, zbity dywan, dający pewniejsza podporę stopom.

Srin'gahar podniósł trąbę i grzmiąco zaryczał na powitanie. Parę nildorów zatrąbiło w odpowiedzi, potem Srin'gahar zwrócił się do Gundersena.

Przyjacielu mej podróży — powiedział — wielokrotnie urodzony stoi na brzegu jeziora. Widzisz go? Tam, w tej grupie. Czy mam cię zaraz do niego zaprowadzić?

Proszę cię o to bardzo — odparł Gundersen. W całym jeziorze unosiły się kępy roślinności. Po powierzchni pływały masy liści, wielkie zarodnie w kształcie filiżanek. łodygi jak splątane liny. Wszystko granatowego koloru na tle jasnej, zielono-niebieskiej wody. Wśród tej masy gęstej roślinności poruszały się wodno-lądowe ssaki i pól tuzina malidarów, których obłe, żółtawe ciała były nieomal całkowicie zanurzone w wodzie. Widać było tylko ich zaokrąglone grzbiety i sterczące peryskopy oczu umieszczonych na słupkach. Ogromna żarłoczność malidarów zostawiła na jeziorze wielkie pustki, ale gwałtowny wzrost nowych roślin szybko zabliźniał te rany.

Gundersen i Srin'gahar posuwali się w stronę wody. Nagle wiatr zmienił kierunek i Gundersena uderzył zapach jeziora. Zakrztusił się. Poczuł się tak. jakby wdychał opary z kadzi destylacyjnej. Jezioro fermentowało. Alkohol, będący ubocznym produktem oddychania roślin wodnych, nie znajdował żadnego ujścia i jezioro zmieniło się w ogromną wannę samogonu. Alkohol i woda szybko parowały, toteż powietrze wokół było nie tylko wilgotne, ale i upajające. Woda przynoszona przez strumienie nie była w stanie wyrównać ubytków spowodowanych parowaniem i z biegiem lat procent alkoholu w zbiorniku stale się zwiększał. Gundersen przypomniał sobie, że w czasach kiedy Kompania rządziła na tej planecie, takie jeziora doprowadziły do zguby niejednego agenta.

Wydawało się. że nildory, gdy koło nich przechodził, nie zwracają na niego uwagi. Wiedział jednak, że to tylko udawanie, że wszyscy w obozowisku bacznie go obserwują. Zdumiał się, że nad brzegiem jednego ze strumieni spostrzegł kilkanaście szałasów. Nildory nie mają żadnych mieszkań:

w tym klimacie nie jest to potrzebne. Nie są zresztą w stanie wznieść jakiejkolwiek konstrukcji. Ze zdziwieniem przyglądał się więc tym prymitywnym budowlom, a po chwili zrozumiał: były to chaty sulidorów. Zagadka stawała się coraz bardziej skomplikowana: Dotychczas nie spotkał się z tak bliskimi związkami pomiędzy nildorami a mięsożernymi dwunogami z Krainy Mgieł. Wkrótce zobaczył i same sulidory. Było ich ze dwadzieścia. Siedziały ze skrzyżowanymi nogami. Niewolnicy? Jeńcy? Przyjaciele plemienia? Żadne z tych przypuszczeń nie dawało sensownego wyjaśnienia.

— Oto jest nasz wiele razy urodzony — rzekł Srin'gahar, wskazując trąbą starego, pokrytego bliznami nildora stojącego nad brzegiem jeziora.

Gundersen poczuł pełen szacunku podziw nie tylko z powodu sędziwego wieku tego stworzenia, ale też i dlatego, że wiedział o jego wielokrotnym uczestnictwie w niewyobrażalnym rytuale powtórnych narodzin. Ten nildor przekroczył barierę, która ograniczała Ziemian. Nieogarniona różnica przeżyć powodowała, że Gundersen zbliżał się z drżeniem do przywódcy stada.

Starca otaczał krąg „dworaków". Mieli szarą skórę i również byli pomarszczeni: zgromadzenie seniorów. Młodsze nildory, z generacji Srin'gahara. trzymały się w pełnej respektu odległości. W obozowisku w ogóle nie było nildorów niedojrzałych. Żaden Ziemianin nigdy nie widział nildora w wieku młodzieńczym. Gunderesenowi mówiono, że nildory zawsze przychodzą na świat w Krainie Mgieł, w ojczyźnie sulidorów, i najwidoczniej pozostają tam w odosobnieniu, aż do osiągnięcia nildorskiej dojrzałości — dopiero wtedy migrują do dżungli w tropikach. Słyszał również, że każdy nildor ma nadzieję powrócić do Krainy Mgieł, kiedy nadchodzi pora. by umrzeć. Nie wiedział, czy to prawda. Nikt zresztą nie wiedział tego na pewno.

Nildory z kręgu rozstąpiły się i Gundersen stanął przed wielokrotnie urodzonym. Protokół wymagał, by jako przybysz odezwał się pierwszy, ale zwlekał pełen napięcia i oszołomiony być może oparami wydobywającymi się z jeziora. Wydawało mu się. że zanim zdołał wziąć się w garść upłynęły wieki. Wreszcie przemówił:

— Jestem Edmund Gundersen z pierwszych narodzin — powiedział — życzę ci radości wielu następnych urodzin. o Najmędrszy.

Nildor bez pośpiechu obrócił w bok swa wielka głowę i pociągnął trochę wody z jeziora.

Znany nam jesteś Edmundzie Gundersenie z dawnych lat zagrzmiał. Prowadziłeś wielki dom Kompanii w Fire Point na Morzu Piasku.

Doskonała pamięć nildora zdumiała i zmartwiła Gundersena. Jeśli pamiętały go aż tak dobrze, to jaka miał szansę doznać od nich grzeczności?

— Tak, byłem tutaj dawno temu powiedział ze ściśniętym gardłem.

Nie tak dawno. Dziesięć obrotów to nie tak długi czas.

Nildor zakrył oczy ciężkimi powiekami i przez parę chwil wydawało się, że wielokrotnie urodzony zapadł w sen.

Jestem Vol'himyor z siódmych narodzin odezwał się

wreszcie. Wejdziesz ze mną do wody? Męczę się szybko na lądzie po moich ostatnich narodzinach.

Nie czekając na odpowiedź wkroczył do jeziora i popłynął wolno jakieś czterdzieści metrów. Zanurzył się po barki. Malidar, który w tej części jeziora skubał wodorosty. dał nura z pomrukiem niezadowolenia i wyłonił się z dala. Gundersen wiedział, że nie ma innego wyboru jak tylko podążyć za wielokrotnie urodzonym. Zrzucił ubranie i wszedł do jeziora. Ogarnęła go letnia woda. Przez chwilę szedł po sprężystej macie z włóknistych łodyg, a potem poczuł miękki, ciepły muł. Z dna podnosiły się bańki oparów alkoholu i pękały na powierzchni. Wyziewy te odurzały go. Z największym trudem przedzierał się wśród splątanej roślinności i doznał prawdziwej ulgi. gdy dno przestało być błotniste. Woda stała się głębsza i czysta, gdyż niedawno buszowały tu malidory. szybko więc podpłynął do Vol'himyora. W ciemnej głębi przepływały w rożnych kierunkach nieznane stwory i co chwilę coś śliskiego dotykało ciała człowieka. Zmuszał się, by nie zwracać na to uwagi.

— Odszedłeś z tego świata na wiele obrotów, prawda? — zamamrotał Vol'himyor. wyglądający wciąż jakby drzemał.

— Kiedy Kompania zrezygnowała tu ze swoich praw, powróciłem do swego własnego świata — odparł Gundersen.

Jeszcze zanim rozchyliły się powieki nildora, nim jego okrągłe, żółte oczy zimno spojrzały na Gundersena, ten wiedział już, że popełnił błąd.

— Twoja Kompania nie miała tu nigdy żadnych praw, z których mogłaby zrezygnować — stwierdził nildor zwykłym, bezbarwnym tonem.

— Tak, to prawda zgodził się Gundersen. Szukał słów, które naprawiłyby jego poprzedni nietakt. Kiedy Kompania zrezygnowała z posiadania tej planety, powróciłem do swego własnego świata.

— Te słowa są już bliższe prawdy. Ale dlaczego, w takim razie tu wróciłeś?

— Ponieważ pokochałem tę planetę i pragnąłem ją znów zobaczyć.

— Czy możliwe by Ziemianin czuł miłość do Belzagoru?

— Tak. dla Ziemianina jest to możliwe.

— Wiem. że Belzagor może owładnąć Ziemianinem o-świadczył Vol'himyor wolno i dobitnie. Ziemianin może stwierdzić pewnego dnia. ze dusza jego Jest opanowana i przez siły tej planety niejako trzymana na uwięzi. Wątpię jednak, czy Ziemianin może odczuwać do niej miłość, tak jak rozumiem twoje pojęcie miłości.

— Chyba masz rację, wielokrotnie urodzony. Moją duszą zawładnął Belzagor. Nie mogłem się opanować i musiałem wrócić.

— Jesteś szybki w przyznawaniu mi racji.

— Nie chcę cię obrazić.

— To chwalebne. A co chcesz robić tu. w tej krainie, która

opanowała twą duszę?

— Pragnę podróżować, odwiedzić różne części twego świata. — odparł Gundersen. — Zależy mi szczególnie na wędrówce do Krainy Mgieł.

— Dlaczego właśnie tam?

— Jest to miejsce, które mną najbardziej owładnęło.

— Nie jest to wystarczająca odpowiedź — stwierdził nildor.

— Nie potrafię dać innej.

— Co takiego tak cię tam pociąga?

— Piękno gór wznoszących się we mgle. Słońce jaśniejące w mroźny, pogodny dzień. Wspaniały blask księżyców złocący niepokalany śnieg.

— Mówisz jak poeta — zauważył Vol'himyor Gundersen nie zorientował się. czy został pochwalony czy wyśmiany.

— Zgodnie z obowiązującymi przepisami — powiedział powoli — muszę teraz posiadać zezwolenie wielokrotnie narodzonego, by móc udać się do Krainy Mgieł. Przybyłem więc prosić o takie zezwolenie.

— Jesteś niezmiernie skrupulatny w przestrzeganiu naszych praw, mój raz zrodzony przyjacielu. Niegdyś zachowywałeś się inaczej.

Gundersen przygryzł wargi. Czuł, że coś łazi mu po łydce, ale zmusił się by patrzeć pogodnie w oczy wielokrotnie narodzonemu.

— Czasami trudno nam zrozumieć innych i obrażamy ich nieświadomie — stwierdził, ostrożnie dobierając słowa.

— Tak bywa.

— Potem przychodzi zrozumienie — kontynuował Gundersen — i człowiek czuje żal za czyny dokonane w przeszłości, ma jednak nadzieję, że jego grzechy mogą zostać wybaczone.

— Przebaczenie zależy od tego. jaki to jest żal — mówił Vol'himyor — i jakie to były grzechy.

— Sądzę, iż moje słabostki są ci znane.

— I nie zostały zapomniane — oświadczył nildor.

— Sądzę również, że wasza wiara przewiduje możliwość pokuty.

— Tak, to prawda.

— Czy zechcesz mi więc pozwolić, bym odpokutował za grzechy przeciwko twemu narodowi, zarówno świadome, jak i nieświadome?

— Zadośćuczynienie za grzechy nieświadome jest bezsensowne — stwierdził nildor. — I nie zależy nam na przeprosinach. Twoja pokuta jest twą sprawą, nie naszą. Dostrzegam już pożądaną zmianę w twej duszy i to zostanie policzone na twoją korzyść.

— Mam więc twoje zezwolenie, by udać się na północ? — zapytał Gundersen.

— Nie tak od razu. Zostań z nami przez pewien czas jako nasz gość. Musimy się nad tym zastanowić. Teraz możesz już wyjść na brzeg.

Audiencja była skończona. Gundersen podziękował wielokrotnie narodzonemu za jego cierpliwość. Był zadowolony, że potrafił w ten sposób poprowadzić rozmowę. Zawsze okazywał należny szacunek wobec wielokrotnie narodzonych. Nawet imperialista z epoki Kiplinga miał tyle rozumu, by traktować z szacunkiem wiekowych przywódców plemion. Jednak w czasach Kompanii grzeczność była zabawą na pokaz, bo i tak wiadomo było, że władza spoczywa w rękach podległego Kompanii agenta, a nie jakiegoś tam nildora, choćby najstarszego. Teraz oczywiście władzę miał stary nildor i mógł nie wpuścić go do Krainy Mgieł. Mógł nawet w tym zakazie zawrzeć jakiś poetyczny wymiar sprawiedliwości. Ale, co najdziwniejsze, Gundersen czuł, że jego obecna, pełna szacunku postawa i chęć usprawiedliwienia się są szczere i że ta szczerość dociera do Vol'himyora.

Nagle, gdy Gundersen był jeszcze daleko od brzegu, coś Z ogromną siłą trzasnęło go pomiędzy łopatki i przerażony, krztusząc się wpadł twarzą do wody.

Przemknęło mu przez myśl, że to Vol'himyor podkradł się zdradziecko i przyłożył mu trąbą. Gundersen pluł i prychał, usta miał pełne alkoholowej cieczy z jeziora. Starał się jednak wydobyć na powierzchnię, choć przewidywał, że zobaczy nad sobą starego nildora gotującego się do zadania ostatecznego ciosu.

Z trudem otworzył oczy. Wielokrotnie narodzony stał daleko i patrzył w innym kierunku. W tym momencie Gundersen, wiedziony dziwnym przeczuciem, zanurzył głowę w wodzie, akurat w porę, by uniknąć następnego, fatalnego ciosu. Skulony, tak że tylko nos sterczał mu nad powierzchnią, zobaczył przelatujący ze świstem nad jego głową gruby, żółtawy pręt. Usłyszał równocześnie przerażający wrzask bólu, a na jeziorze, jak po wrzuceniu kamienia, rozchodziły się kręgi. Rozejrzał się wokół.

Z tuzin sulidorów weszło do wody, by dobić malidara. W kolosalnej bestii tkwiły, niczym harpuny, zaostrzone kije. Malidar rzucał się i zwijał w agonii.

To właśnie ogon tego zwierzęcia powalił Gundersena. Myśliwi stali po pas w wodzie, futra ich były mokre i zabłocone. Każda grupa ciągnęła linę od jednego harpuna i w ten sposób holowali malidara do brzegu. Gundersenowi już nic nie groziło. Oddychał ciężko, kości na szczęście miał nie uszkodzone, choć bolały go ramiona. Za pierwszym razem ogon malidara musiał go widocznie tylko musnąć. Gdyby nie dał nura, to drugie uderzenie mogło być śmiertelne. Czuł się słaby, opity wodą alkoholową i obawiał się, że lada chwila zacznie mu się kręcić w głowie.

Sulidory wyciągnęły swą zdobycz. Zwierzę długości kilku metrów i ważące parę ton leżało na brzegu, a sulidory wbijały w nie długie

drągi — po jednym w kończyny przednie, parę w szeroki trójkątny łeb. Kilka nildorów przyglądało się tej operacji ze słabym zainteresowaniem. Większość w ogóle nie zwracała na to uwagi. Pozostałe nildory skubały młode pędy roślin, jakby nic się nie stało.

Ostatni wbity kij ugodził zwierzę w stos pacierzowy. Malidar zadrżał i zamarł w bezruchu.

Gundersen starał się jak najszybciej wydostać z wody. Musiał jeszcze przebrnąć przez nieprzyjemny, kleisty muł. Wreszcie stanął na plaży. Tutaj nogi odmówiły mu posłuszeństwa, kolana ugięły się i upadł. Drżał, chwycił go kaszel i wymioty. Po chwili obrócił się na bok i patrzył, jak sulidory wycinają wielkie płaty bladoróżowego mięsa z boków malidara. Z chat wyszły pozostałe, by także wziąć udział w uczcie. Gundersen zaczął się trząść. Był w szoku i minęło parę minut, zanim zdał sobie sprawę, że stan ten spowodowany był nie tylko uderzeniem i wodą. której się opił, ale także widokiem spokoju nildorów wobec aktu przemocy.

Wyobrażał sobie, że te spokojne, zupełnie niewojownicze stworzenia zareagują ze zgrozą na zamordowanie malidara, a ich to ani trochę nie obeszło. Szok Gundersena spowodowany był stratą złudzeń.

Jakiś sulidor zbliżył się i stanął nad nim. Trzymał w łapie kawał mięsa malidara.

— To dla ciebie — oznajmił w języku nildorów. — Zjesz z nami?

Nie czekał na odpowiedź. Rzucił kawał mięsa na ziemię i odszedł do współbraci. Gundersenowi żołądek podszedł do gardła. Nie miał wcale ochoty na surowe mięso. Wszyscy go obserwowali: sulidory i nildory.

Na plaży nagle zaległo milczenie.

V

Gundersen podniósł się drżąc. Wciągnął w płuca ciepłe powietrze. Starał się zyskać trochę na czasie — podszedł do brzegu, by umyć twarz. Znalazł swe porzucone ubranie i znów zarobił parę minut ubierając się. Teraz poczuł się trochę lepiej, jednak problem surowego mięsa pozostał. Sulidory rozkoszowały się ucztą, szarpały i rwały kawały mięsa, obgryzały kości, a przy tym spoglądały często na niego, ciekawe czy zareaguje na ich gościnność. Nildory, które oczywiście same nawet nie tknęły mięsa, również były zainteresowane jego decyzją. A jeśli odmówi zjedzenia mięsa, czy obrazi sulidory? A jeśli zje — czy określi się przez to w oczach nildorów jako bestia? Uznał, że lepiej będzie, jeśli zje kawałek jako gest dobrej woli wobec groźnie wyglądających istot dwunożnych. Nildory zresztą nie wydawały się zgorszone tą ucztą.

A więc dobrze, zje mięso, ale tak jak to robią Ziemianie. Zerwał parę szerokich liści roślin wodnych i rozpostarł je jak matę. Położył na nich mięso. Wyjął z kieszeni tuniki miotacz ognia, nastawił na średni płomień i przypiekał powierzchnię mięsa, aż stało się kruche. Potem wąskim płomieniem pociął je na płaskie kawałki. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, wziął porcję i ugryzł. Mięso było miękkie i serowate, poprzerastane grubymi ścięgnami. Tylko dzięki silnej woli Gundersen zdołał wmusić w siebie trzy kawałki. Kiedy miał już dość, wstał, z podziękowaniem ukłonił się sulidorom i ukląkł nad brzegiem jeziora by zaczerpnąć trochę wody. Odczuwał gwałtowną potrzebę popicia czymś tego jedzenia. Przez cały ten czas nikt się do niego nie Odezwał.

Zmierzchało i wszystkie nildory wyszły z wody. Usadowiły się grupami z dala od brzegu. Sulidory posilały się dalej w ciszy, ale uczta ich zbliżała się ku końcowi.

Gundersen rozglądał się za Srin'gaharem, chciał go o kilka spraw zapytać. Nękało go, że nildory z taką obojętnością odniosły się do zabicia malidara. Zdał sobie sprawę, że zawsze uważał nildory za szlachetniejsze od innych wielkich stworzeń na tej planecie, ponieważ do odebrania innym życia posuwały się tylko wtedy, gdy zostały sprowokowane, a i to nie zawsze. W jego pojęciu była to inteligentna rasa, wolna od grzechu kainowego. Z tego Gundersen wyciągał oczywisty wniosek: nildory, ponieważ same nie zabijają. będą patrzyły na zabójstwo jako na fakt godny potępienia. Teraz przekonał się. że jego rozumowanie było błędne. a nawet naiwne. Nildory nie zabijają po prostu dlatego, że nie jedzą mięsa. Ale moralna wyższość, jaką im w związku z tym przypisywał, była jedynie tworem jego obciążonej poczuciem winy wyobraźni.

Noc zapadła nagle, jak to bywa w tropikach. Mrok rozświetlał jeden tylko księżyc. Gundersen spostrzegł nildora, którego wziął za Srin'gahara i podszedł do niego.

— Mam pewne pytanie Srin'gaharze. przyjacielu mej podróży — zaczął. — Kiedy sulidory weszły do wody…

— Pomyliłeś się — powiedział poważnie nildor. — Jestem Thali'vanoom z trzecich narodzin.

Gundersen wymamrotał coś na przeproszenie i odwrócił się osłupiały. Co za typowo ziemski błąd. pomyślał. Przypomniał sobie, że jego szef też stale go popełniał, myląc jednego nildora z drugim. Był wtedy wściekły: „Nie mogę odróżnić od siebie tych cholernych olbrzymów! Dlaczego nie noszą jakichś znaczków?”. To wielka obraza, nieumiejętność rozróżniania krajowców! Gundersen stawiał sobie zawsze za punkt honoru unikanie takich pomyłek. No i teraz, kiedy tak bardzo mu zależało, by pozyskać sobie ich przychylność…

Zbliżył się do innego nildora i w ostatniej chwili zorientował się, że to też nie jest Srin'gahar. Za trzecim razem wreszcie znalazł towarzysza swej wędrówki. Srin'gahar pożywiał się spokojnie leżąc pod jakimś drzewem na podwiniętych nogach. Gundersen zadał wreszcie dręczące go pytanie.

— Dlaczego miałby szokować nas widok gwałtownej śmierci? — odpowiedział Srin'gahar — poza tym, malidary nie posiadają g'rakh. a sulidory muszą jeść.

— Nie posiadają g'rakh? — zdziwił się Gundersen. — Nie znam tego słowa.

— Jest to pewna właściwość, która wyróżnia istoty mające duszę — wyjaśnił. — Bez g'rakh stworzenie jest tylko bestią.

— Sulidory mają g'rakh?

— Naturalnie.

— I nildory, oczywiście też mają. A malidary nie. Jak jest z Ziemianami? — To przecież zupełnie jasne, że Ziemianie mają g'rakh.

— I można swobodnie zabijać stworzenie, które nie posiada tej właściwości?

— Jeśli zaistnieje taka konieczność, można — odparł Srin'gahar. — Są to sprawy elementarne. Czy nie istnieją w waszym świecie tego rodzaju pojęcia?

— W moim świecie — odrzekł Gundersen — istnieje tylko jeden gatunek obdarzony g'rakh i dlatego być może poświęcamy tym sprawom za mało uwagi. Uważamy, że wszystko, co nie należy do naszego rodzaju, musi być pozbawione g'rakh.

— A więc dlatego, gdy znajdziecie się na innym świecie — macie trudność z uznaniem obecności g'rakh w innych istotach — stwierdził Srin'gahar. — Nie musisz mi wyjaśniać, rozumiem.

— Mogę jeszcze o coś zapytać? — ciągnął Gundersen.

— Dlaczego są tutaj sulidory?

— Pozwalamy im.

— Dawniej, w tych czasach, kiedy Kompania rządziła Belzagorem, sulidory nigdy nie oddalały się poza Krainę Mgieł.

— Wtedy nie pozwalaliśmy im, by tu przychodziły.

— A teraz pozwalacie. Dlaczego?

— Bo teraz nie sprawia nam to kłopotu. Poprzednio były trudności.

— Jakie trudności? — dopytywał się Gundersen.

— Musisz zapytać o to kogoś, kto był narodzony więcej razy niż ja — odparł łagodnie Srin'gahar. — Ja jestem raz narodzony i różne rzeczy wydają mi się dziwne, tak samo jak tobie. Popatrz, jest już drugi księżyc! Przy trzecim księżycu będziemy tańczyć.

Gundersen wzniósł oczy i zobaczył niewielki blady dysk poruszający się szybko nad czubkami drzew. Pięć księżyców Belzagora krążyło po różnych orbitach — najbliższy tuż za granicą Roche'a, najdalszy zaś był tak odległy, że ledwo widoczny. Na nocnym niebie świeciły zwykle tylko dwa lub trzy księżyce.

Nildory zaczynały posuwać się w stronę jeziora. Pojawił się trzeci księżyc, tocząc się z południa na północ. A więc znów zobaczy jak tańczą. Już raz był świadkiem tej ceremonii, na początku swej kariery, przy Wodospadach Shangri-la, w północnych tropikach. Tamtej nocy nildory zebrały się w górze nad wodospadami po obu brzegach rzeki Madden i przez cztery godziny po zapadnięciu zmierzchu poprzez huk wodospadu docierały ich krzyki. Kurtz, który wtedy stacjonował w Shangri-la, zaproponował obejrzenie „tego przedstawienia" i wyprowadził Gundersena w ciemność nocy. Było to na sześć miesięcy przed epizodem w stacji wężów i Gundersen jeszcze wtedy nie zdawał sobie sprawy, co działo się z Kurtzem. Zorientował się jednak szybko, gdy tylko Kurtz przyłączył się do tańczących nildorów. Ogromne bestie skupione w półkola, poruszały się do przodu i do tyłu, trąbiąc przeraźliwie i tupiąc, aż echo niosło. I nagle Kurtz znalazł się pomiędzy nimi. Na gołej piersi lśniły mu w świetle księżyca krople potu. Tańczył z zapamiętaniem. Tak samo jak nildory wydawał z siebie ryki, tupał nogami, podrzucał ramiona, wirował i podskakiwał. Nildory otoczyły go, zostawiając jednak dość miejsca, by mógł kontynuować swój szalony taniec. Przybliżały się do niego i cofały, a sprawiało to wrażenie pulsowania — skurczu i rozkurczu jakiejś dzikiej potęgi. Gundersen stał, przejęty dziwnym lękiem i nie poruszył się, gdy Kurtz zawołał, aby przyłączył się do tańca. Patrzył i wydawało mu się, że mijają godziny. Czuł się jak zahipnotyzowany tupaniem tańczących nildorów. Wreszcie jakoś przełamał ten trans i poszukał wzrokiem Kurtza, który w dalszym ciągu podrygiwał jak marionetka pociągana za niewidzialne sznurki i pomimo swego wysokiego

wzrostu w kręgu kolosalnych nildorów wyglądał jak nieszczęsna, krucha figurka. Nie słyszał wołania Gundersena i nie zwracał na niego uwagi. Gundersen wreszcie sam powrócił do budynku i dopiero rankiem odnalazł wymizerowanego i zmęczonego Kurtza, który siedział na ławce patrząc na wodospad.

— Powinieneś był zostać. Powinieneś tańczyć — wyszeptał Kurtz.

Gundersen wiedział, że badano te obrzędy, toteż sięgnął po literaturę, aby coś bliższego się o tym dowiedzieć. Taniec ten wyraźnie związany był z jakimś dramatem i nosił pewne ślady podobieństwa do ziemskich misteriów średniowiecznych. Było to teatralne powtórzenie jakiegoś niezmiernie ważnego mitu nildorów, stanowiło równocześnie rozrywkę i ekstatyczne przeżycie religijne. Treść tego dramatu wyrażona niestety była przestarzałym liturgicznym językiem, z którego ani jedno słowo nie było znane Ziemianom. Nildory, chociaż bez oporu uczyły pierwszych gości z Ziemi swego stosunkowo prostego współczesnego języka, nigdy nie ujawniły nic, co mogłoby stanowić klucz do zrozumienia tamtej starej mowy. Uczeni zaobserwowali też pewien fakt, który obecnie Gundersen uznał za bardzo pomyślny dla siebie:

otóż zawsze, w ciągu paru dni po dokonaniu tego szczególnego obrządku, grupy nildorów ze stada uczestniczącego w rytualnym tańcu wyruszały do Krainy Mgieł. Prawdopodobnie po to, by doświadczyć ponownych narodzin. Gundersen zastanawiał się, czy obrzęd ten nie jest jakąś ceremonią oczyszczającą lub sposobem osiągnięcia stanu łaski przed ponownymi narodzinami.

Wszystkie nildory zgromadziły się teraz nad jeziorem. Srin'gahar przyszedł ostatni. Gundersen siedział sam na zboczu obserwując ogromne stworzenia. Po lewej stronie, przed swoimi chatami, siedziały w kucki sulidory. Były wyłączone z udziału w uroczystości, ale wolno im było przyglądać się.

W panującej ciszy popłynęły niskie, wyraźne, dobitne słowa. Gundersen usiłował pojąć ich znaczenie. Miał nadzieję, iż dadzą mu magiczny klucz do zrozumienia tego tajemniczego języka. Ale nic nie zrozumiał. Mówcą był Vol'himyor, wielokrotnie narodzony starzec. Recytował słowa dobrze znane wszystkim nad jeziorem, może jakąś inwokację, a może litanię. Potem nastąpiła dłuższa przerwa, a później przyszła odpowiedź od drugiego nildora, z innej grupy, dokładnie imitująca tonację i rytm wystąpienia Vol'himyora. Znów zapadło milczenie, aż po raz drugi odezwał się Vol'himyor, tym razem energiczniej. I tak przebiegał uroczysty dialog pomiędzy dwoma celebrantami. Go pewien czas całe stado powtarzało słowa celebranta, które odbijały się echem od czarnej zasłony nocy.

Minęło jakieś dziesięć minut i dał się słyszeć głos trzeciego solisty. Vol'himyor odpowiedział. Z kolei podjął recytację czwarty mówca. A

potem dołączyły się gwałtowne głosy wielu członków zgromadzenia, przy czym każdy wiedział intuicyjnie, kiedy ma się odezwać, a kiedy milczeć. Tempo Wypowiedzi stało się coraz szybsze. Niektóre nildory zaczęły się kołysać i przestępowały w miejscu z nogi na nogę.

Niebo rozświetliła błyskawica. Gundersen poczuł nagle — pomimo parnego powietrza — chłód. Wyobraził sobie, że jest samotnym wędrowcem gdzieś na Ziemi, w epoce prehistorycznej i podpatruje sejmik mastodontów. Teraz odbywający się przed jego oczami dramat osiągnął swój szczyt. Wszystkie ludzkie sprawy stały się tak odległe, że przestały się liczyć. Nildory ryczały, tratowały ziemię, przyzywały się nawzajem i parskały. Po chwili zaczęły się gromadzić i ustawiać w rzędy. Wciąż jeszcze dochodziły wezwania i odpowiedzi, jak dziwna, niezrozumiała antyfona. Gundersen nie rozróżniał już poszczególnych głosów, słyszał tylko niskie akordy masowego chrząkania: ach, ach, ach, ach, i ach, ach — w takt starego rytmu, który pamiętał jeszcze z tamtej nocy przy Wodospadach Shangri-la. Nildory nie znają żadnych instrumentów muzycznych, a jednak Gundersen słyszał jakby bicie w potężne bębny: rytmiczne, intensywne, hipnotyzujące. Ach, ach, ach, ach, ach, ACH, ACH!

I nildory tańczyły.

W dole nad brzegiem jeziora, poruszały się wielkie masywne cienie, poruszały się jak gazele — dwa szybkie kroki do przodu, jeden krok z przytupem do tyłu i zrównoważenie ciała przy czwartym. Bum, bum, bum, bum, bum — drżał w posadach niejako cały wszechświat. Wcześniejsza faza ceremonii — ten dramatyczny dialog mógł być jakąś subtelną filozoficzną rozprawą — ustąpiła całkowicie pierwotnemu dudnieniu i przerażającemu przemieszczaniu się kolosalnych cielsk. Bum, bum. Bum, bum. Gundersen spojrzał w lewo i zobaczył, że sulidory były jakby w transie, poruszały głowami do przodu i do tyłu w takt tańca. Żaden jednak nie podniósł się na nogi. Wystarczyło im, że mogły się kiwać i kołysać.

Gundersen poczuł się całkowicie oderwany od przeszłości i od swego człowieczeństwa i stracił świadomość przynależności do swego gatunku. Przypominał sobie jedynie jakieś porwane, nieskoordynowane obrazy. Znów znajdował się na stacji wężów, był zatruty jadem, miał halucynacje: czuł, że jest przemieniony w nildora i buszuje po lesie; albo że stoi nad brzegiem wielkiej rzeki i przygląda się tym samym tańcom. We wszystkich tamtych przypadkach Gundersen cofał się przed tym, co ofiarowywała mu ta dziwna planeta. Wolał być przeniesiony ze stacji wężów niż po raz drugi skosztować jadu; odmówił zaproszeniu Kurtza, by przyłączyć się do tańczących nildorów; zawsze pozostawał w budynku, gdy zaczynało dochodzić z dżungli rytmiczne dudnienie. Ale teraz nie czuł nieomal przynależności do rodzaju ludzkiego.

Ciągnęło go nieodparcie to czarne, niepojęte szaleństwo nad brzegiem jeziora. Wyzwalało się w nim coś monstrualnego i rosło wraz z tym nieustannie powtarzającym się odgłosem — bum, bum, bum. Ale czy miał prawo, tak jak Kurtz, przyłączyć się do tego obcego obrządku? Nie śmiał zmącić ceremonialnego rytuału.

I nagle uświadomił sobie, że schodzi w dół po bagnistej pochyłości w kierunku szalejących nildorów. Gdyby mógł myśleć o nich jak o podskakujących, prychających słoniach, byłoby wszystko w porządku. Gdyby nawet mógł myśleć o nich jak o dzikusach wyprawiających jakieś awantury, byłoby wszystko w porządku. Ale wkradło mu się do duszy podejrzenie, że ta ceremonia, te słowa i tańce, posiadają istotne znaczenie dla tych istot i to było najgorsze ze wszystkiego. Mogły mieć grube nogi, krótkie szyje i wiszące trąby, co wcale nie czyniło z nich słoni. I chociaż nie znały żadnej technologii, chociaż nie miały pisma, nie można było uznać ich za dzikusy, bo nie pozwalała na to złożoność ich umysłów. Były istotami posiadającymi g'rakh. Gundersen przypomniał sobie, z jaką naiwnością usiłował przekazywać nildorom zdobycze ziemskiej kultury, aby się „udoskonaliły". Chciał je uczłowieczyć, wznieść na wyższy poziom, ale nic z tego nie wyszło. Bum, bum, bum, bum. Jego nogi, z wahaniem, zaczęły wybijać ten rytm, kiedy szedł dalej po zboczu w stronę jeziora. Czy się ośmieli? A może zmiażdżą go jako świętokradcę?

Kurtzowi pozwoliły tańczyć. Pozwoliły mu tańczyć. Było to pod inną szerokością geograficzną, dawno temu i nildory były inne, ale pozwolono Kurtzowi tańczyć.

— Hej! — zawołał go jakiś nildor — Chodź, tańcz z nami!

Czy to był Vol'himyor? Czy Srin'gahar? A może Thali'vanoom z trzecich narodzin? Gundersen nie rozpoznał, który z nich go zawołał. W ciemnościach, w gęstej mgle trudno było odróżnić gigantyczne, niemal jednakowe kształty. Zszedł już do stóp pochyłości. Wszędzie wokół niego znajdowały się nildory, wędrowały tam i z powrotem po własnych ścieżkach brzegiem jeziora. Ciała ich wydzielały kwaśny odór, który zmieszany z wyziewami dusił i przyprawiał Gundersena o zawrót głowy.

— Tak, tak, chodź, tańcz z nami.

I zaczął tańczyć. Znalazł sobie skrawek podmokłej ziemi i zawładnął nim. Udeptywał to poletko w dzikim ferworze. Posuwał się do przodu, potem do tyłu. Nildory nie wkraczały na jego teren.

Gundersen potrząsał głową, wywracał oczami, ramiona mu drżały, ciało wyginało się i kołysało, a nogi nie ustawały w podskokach i podrygach. Nabierał w płuca powietrza i wykrzykiwał coś w obcych nieznanych mu językach. Skóra mu płonęła, ściągnął więc ubranie, ale i to nie pomogło. Bum, bum, bum, bum. Nawet teraz nie opuściło go całkowicie dawne przyzwyczajenie spoglądania na

wszystko z boku, mógł więc ze zdumieniem obserwować siebie, jak tańczył nagi, pomiędzy stadem obcych gigantycznych zwierząt. Bum, bum, bum i znów, i jeszcze raz. Kiedy tak wirował, dostrzegł, w załamującym się świetle księżyca nad jeziorem, jak malidary spokojnie żuły zielsko, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozszalałe nildory. One pozbawione są g'rakh, pomyślał. To są prawdziwe zwierzęta i ich ciężkie jak ołów dusze zejdą w dół do ziemi.

Bum, bum, bum. Bum, bum.

W pewnej chwili Gundersen uświadomił sobie, że jakieś obłe, połyskliwe kształty pełzają i prześlizgują się pomiędzy nogami nildorów. Węże! Dudniąca muzyka wywołała je z gęstwiny zarośli. Nildory wcale nie były zaniepokojone, że te śmiertelne jadowite płazy poruszają się między nimi. A przecież jedno ukłucie ich ostrych kolców mogło zwalić z nóg każdego z nich. Zaczęły pełznąć w stronę Gundersena, który wiedział, że ich jad nie jest dla niego niebezpieczny; ale nie miał ochoty jeszcze raz go spróbować. Nie przerwał tańca, mimo że pięć grubych, różowych stworów wiło się wokół niego. Nie tknęły go jednak.

Węże pokazały się i zniknęły. Tumult wciąż trwał, ziemia wciąż się trzęsła. Gundersenowi serce waliło jak młotem, ale nie zatrzymał się. Tańczył. Oddał się cały, stopił się z tymi, którzy go otaczali, dzielił z nimi to, co przeżywali, tak głęboko, tak intensywnie, jak tylko był w stanie.

Księżyce zaszły. Wczesny brzask różowił niebo. Gundersen uświadomił sobie, że nie słyszy już tupotu nóg tańczących nildorów. Tańczył sam. Nildory pokładły się, ale w dalszym ciągu odmawiały swą dziwną, niezrozumiałą litanię głosami przyciszonymi, lecz z wielką namiętnością. Nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów, wszystko zlewało się w przejmującą dudniącą melodię. W takt tej melodii wirował, skręcał się, niezdolny się zatrzymać.

Dopiero gdy poczuł ciepło pierwszych promieni słońca, upadł wyczerpany. Leżał spokojnie i po chwili ogarnął go mocny sen.

VI

Kiedy się zbudził, było południe. W obozowisku toczyło się normalne życie: wiele nildorów brodziło w jeziorze, parę pasło się na zboczu, ale przeważnie odpoczywały w cieniu. Jedynym śladem szalonej nocy była stratowana darń nad brzegiem jeziora.

Gundersen czuł się sztywny i zdrętwiały. Był też zakłopotany jak ktoś, kto zbyt pochopnie włączył się do cudzej zabawy. Trudno mu było uwierzyć w to, co zrobił. Poczuł wstyd i nagły impuls, by natychmiast opuścić obozowisko, zanim nildory okażą mu swą wzgardę — Ziemianin, a zawładnęły nim ich obrzędy, dał się oczarować ich zaklęciom! Odrzucił jednak tę myśl, bo przecież miał przed sobą cel — podróż do Krainy Mgieł.

Powlókł się do jeziora i zanurzył się, by zmyć pot minionej nocy. Wyszedł i ubrał się.

Podszedł do niego jakiś nildor i powiedział, że Vol'himyor chce z nim mówić.

Wielokrotnie narodzony znajdował się w połowie zbocza. Zbliżając się ku niemu Gundersen nie mógł znaleźć odpowiedniej formuły pozdrowienia, czekał więc i patrzył zakłopotany.

— Dobrze tańczysz, mój przyjacielu pierwszego urodzenia — przemówił stary nildor. — Tańczysz radośnie. Tańczysz z miłością. Tańczysz jak nildor, czy wiesz o tym?

— Niełatwo mi pojąć, co stało się ze mną zeszłej nocy — odparł Gundersen.

— Dowiodłeś, że nasz świat usidlił twego ducha.

— Czy to, że Ziemianin tańczył pomiędzy wami, było dla was obraźliwe?

— Gdyby tak było — rzekł Vol'himyor dobitnie — to byś z nami nie tańczył.

Zapadło długie milczenie.

— Zawrzemy umowę, my dwaj — odezwał się nildor.

— Dam ci zezwolenie na podróż do Krainy Mgieł. Będziesz mógł tam pozostać, jak długo zechcesz. Ale kiedy wrócisz. przyprowadzisz ze sobą Ziemianina znanego jako Cullen i przekażesz go pierwszym nildorom, których spotkasz. Zgadzasz się?

— Cullen? — spytał Gundersen. W pamięci pojawił mu się obraz niskiego mężczyzny o szerokiej twarzy, z gęstymi, jasnymi włosami, o łagodnych, zielonych oczach. — Cedric Cullen, ten, który był tutaj, kiedy i ja byłem?

— Ten sam.

— Pracował razem ze mną w stacji na Morzu Piasku.

— Obecnie żyje w Krainie Mgieł — powiedział Vol'himyor. —

Udał się tam bez zezwolenia. Chcemy go mieć.

— Co takiego zrobił?

— Popełnił poważne przestępstwo, a teraz poszukał azylu wśród sulidorów, tam bowiem nie mamy do niego dostępu. Byłoby pogwałceniem przymierza, gdybyśmy go sami stamtąd wyciągnęli. Ale możemy poprosić ciebie, abyś ty to zrobił.

Gundersen zmarszczył brwi. — Nie chcesz mi powiedzieć, jakiego rodzaju było to przestępstwo?

— A czy to ma znaczenie? Chcemy go mieć. Powody nasze nie są błache. Prosimy, żebyś go nam sprowadził.

— Żądacie, aby jeden Ziemianin pochwycił drugiego i przekazał go wam, by został ukarany? — zdumiał się Gundersen. — Skąd mogę wiedzieć po czyjej stronie jest sprawiedliwość?

— Czy zgodnie z postanowieniami traktatu o przekazaniu władzy nie jesteśmy jedynymi sędziami na tym świecie? Gundersen przyznał mu rację.

— W takim razie mamy prawo rozprawić się z Cullenem tak, jak na to zasłużył — stwierdził Vol'himyor.

To oczywiście nie przekonało Gundersena, że powinien stać się narzędziem w rękach nildorów i wydać im swego starego kumpla. Pogróżka Vol'himyora była jednak zupełnie jasna: rób, co każemy, albo nie spodziewaj się żadnych grzeczności. Toteż Gundersen zapytał: — Jaka kara czeka Cullena?

— Kara? Kara? Kto mówi o karze?

— Jeśli ten człowiek jest kryminalistą…

— Pragniemy go tylko oczyścić — rzekł wielokrotnie narodzony. — Chcemy uwolnić jego ducha od zmazy. Nie uważamy tego za karę.

— Czy poniesie jakiekolwiek obrażenia fizyczne?

— To nawet nie do pomyślenia.

— Odbierzecie mu życie?

— Skąd ci to przyszło do głowy? Oczywiście, że nie.

— Uwięzicie go?

— Będzie trzymany pod strażą — odparł Vol'himyor — przez czas trwania rytuału oczyszczającego. Potem natychmiast zostanie uwolniony i będzie nam wdzięczny.

— Proszę cię jeszcze raz, byś mi powiedział, jaką popełnił zbrodnię?

— On sam ci powie — oznajmił nildor. — Nie jest konieczne, bym czynił to za niego.

Gundersen chwilę zastanawiał się nad wszystkimi aspektami tej sprawy.

— Zgadzam się na ten układ, o wielokrotnie narodzony — oświadczył wreszcie — ale pod warunkiem, że będę mógł wprowadzić pewne zastrzeżenia.

— Mów, słucham.

— Jeśli Cullen nie ujawni mi natury swego przestępstwa, będę zwolniony z obowiązku przekazania go wam.

— Zgoda.

— Jeśli sulidory sprzeciwią się, bym zabrał Cullena z Kraju Mgieł, jestem również zwolniony z tego obowiązku.

— Nie będą się sprzeciwiały, ale zgoda.

— Jeśli trzeba będzie użyć przemocy, żeby Cullena tu sprowadzić, też jestem zwolniony. Nildor zawahał się chwilę. — Zgoda — rzekł wreszcie.

— Nie mam żadnych innych warunków.

— A więc ugoda zawarta — stwierdził Vol'himyor. — Możesz już dziś wyruszać w swą podróż na północ. Pięciu z naszych jednokrotnie narodzonych też uda się do Kraju Mgieł, nadszedł bowiem czas ich powtórnych narodzin i jeśli sobie życzysz, będą ci towarzyszyli i strzegli cię w drodze. Między nimi znajduje się Srin'gahar, którego znasz.

— Czy moja obecność nie będzie dla nich kłopotliwa?

— Srin'gahar prosił specjalnie, by mógł mieć przywilej otoczenia cię opieką — oznajmił Vol'himyor. — Jednak nie będziemy wywierali na ciebie nacisku, byś przyjął jego pomoc, o ile wolisz odbyć tę podróż samotnie.

— Jego towarzystwo będzie dla mnie zaszczytem — odparł Gundersen z kurtuazją.

— A więc niech tak będzie.

Starzec wezwał Srin'gahara oraz cztery pozostałe nildory wybierające się na miejsce powtórnych narodzin. Raz jeszcze potwierdziły się wiadomości Gundersena: po szaleńczym tańcu następował wymarsz pewnej grupy nildorów mającej dostąpić powtórnych narodzin.

Był zadowolony, że w drodze na północ będzie miał eskortę nildorów. Gnębiło go tylko jedno — sprawa Cedrika Cullena. Żałował nawet, że przehandlował wolność innego Ziemianina za swoje bezpieczeństwo w drodze. Ale może jednak Cullen naprawdę uczynił coś obrzydliwego, co zasługiwało na karę albo na oczyszczenie, jak to określił Vol'himyor. Gundersenowi nie mieściło się w głowie, że ten normalny, pogodny człowiek mógł stać się przestępcą i uciekinierem. Cullen wprawdzie żył tu tak długo, a wiadomo, że dziwne, niezwykłe warunki panujące na obcych światach mogą zniszczyć najszlachetniejsze charaktery. W każdym razie był rad, iż zostawił sobie furtkę na wypadek, gdyby uważał, że powinien odstąpić od umowy z Vol'himyorem.

Srin'gahar i Gundersen oddalili się na ubocze, by omówić plan marszruty.

— Dokąd w Krainie Mgieł zamierzasz się udać? — zapytał nildor.

— Nie mam określonego celu, ale przypuszczam, że będę musiał odszukać Cullena.

— Tak. Nie wiemy, niestety dokładnie, gdzie on się znajduje. Trzeba będzie się dowiedzieć. Czy chciałbyś się gdzieś zatrzymać w drodze na północ?

— Chciałbym wstąpić na posterunki Ziemian — odpowiedział Gundersen. — Zwłaszcza przy Wodospadach Shangri-la. Sądzę przeto, że pójdziemy w górę biegu rzeki Madden na północny zachód i…

— Te nazwy nie są mi znane.

— Przepraszam. Teraz oczywiście wrócono do nazw w języku nildorów, a ich ja z kolei nie znam. Ale zaczekaj…

Chwycił jakiś patyk i pospiesznie naszkicował na mulistej ziemi dość czytelną mapę zachodniej półkuli Belzagoru.

— Jeśli teraz będziesz śledził koniec mego kija — objaśnił Gundersen — to…

— Co to za znaki narysowałeś na ziemi? — spytał Srin'gahar.

— To jest mapa waszej planety — chciał powiedzieć Gundersen. Ale nie znał słowa „mapa" w języku nildorów. Nie wiedział też, jak powiedzieć „wyobraża", „przedstawia", brak mu było wielu słów.

— To jest twój świat — próbował tłumaczyć — to jest Belzagor, a przynajmniej jego połowa. Widzisz, tu jest ocean, a słońce wschodzi tutaj i…

— Jakże te znaczki mogą być moim światem, skoro mój świat jest taki ogromny?

— To jest taki świat na niby. Każda z tych linijek, każdy znak zastępuje jakieś prawdziwe miejsce. Widzisz tutaj? To ta wielka rzeka, która płynie z Krainy Mgieł aż do wybrzeża, gdzie stoi hotel, widzisz? A ten znak, to lotnisko międzyplanetarne. Te dwie linie ograniczają północną Krainę Mgieł. A ten…

— Nawet bardzo silny sulidor musi maszerować wiele dni, by przebyć północną Krainę Mgieł — powiedział Srin'gahar. — Nie rozumiem, jak możesz pokazywać mi taki mały kawałeczek i mówić, że to Kraina Mgieł. Wybacz mi przyjacielu mej podróży. Jestem za głupi.

Gundersen starał się jak mógł najlepiej wyjaśnić mu znaczenie narysowanych znaków, ale Srin'gahar nie był po prostu w stanie pojąć, co to jest mapa. Zastanawiał się, czy nie poprosić Vol'himyora o pomoc, ale odrzucił ten pomysł, bo przecież stary nildor też mógłby nie zrozumieć, a byłoby nietaktem ujawniać ignorancję wielokrotnie narodzonego w jakiejkolwiek dziedzinie. Mapa to metafora, abstrakcja. Widocznie nawet istoty posiadające g'rakh mogą mieć trudności z pojęciem jej. Przeprosił Srin'gahara i starł butem mapę.

Okazało się, że i bez niej, z dużymi trudnościami naturalnie,

udało im się znaleźć sposoby porozumienia. Gundersen dowiedział się, że wielka rzeka, przy której ujściu usytuowany był hotel, nazywa się w języku nildorów Seran'nee i że miejsce, gdzie ta rzeka spada z gór na nadbrzeżną równinę, nazywane przez Ziemian Shangri-la to po nildorsku Du'jayukh. Potem było już łatwo ustalić, że należy dążyć w kierunku źródeł Seran'nee i zatrzymać się w Du'jayukh oraz w innych osiedlach Ziemian, które przypadkiem znajdą się na trasie wiodącej ku północy.

Kiedy tak debatowali, kilku sulidorów przyniosło Gundersenowi spóźnione śniadanie, składające się z owoców i ryb, zupełnie jakby uznały jego autorytet jako urzędnika Kompanii. Był to zaskakująco anachroniczny gest, nieomal służalczy, nie przypominający w niczym sposobu, w jaki rzucono mu wczoraj kawał surowego mięsa malidara. Wtedy chcieli go wypróbować, może nawet obrazić, a teraz usługiwali mu uprzejmie. Czuł się trochę niezręcznie, ale był głodny, spytał więc tylko Srin'gahara, jak się mówi po sulidorsku — dziękuję.

Podróż rozpoczęli późnym popołudniem. Pięć nildorów posuwało się rzędem, Srin'gahar z Gundersenem na grzbiecie zamykał pochód. Ścieżka wiodąca na północ biegła skrajem ogromnej rozpadliny, po lewej stronie wznosiły się góry zamykające centralny płaskowyż. Słońce zachodziło. Gundersen patrzył w stronę płaskowyżu. Tu, w dolinie, krajobraz miał pewne cechy swojskości i gdyby nie rośliny i zwierzęta występujące tylko tutaj, mógłby przypuszczać, iż znajduje się w parnej dżungli Ameryki Południowej. Tymczasem płaskowyż był całkowicie obcy.

Las poza skalną ścianą, wydawał się niedostępny i złowieszczy. Panujące milczenie, powietrze duszne i wilgotne, poczucie jakiejś przerażającej obcości, giętkie, błyszczące gałęzie drzew pochylone prawie do ziemi pod ciężarem mchu, dochodzące z oddali porykiwania dzikich bestii — wszystko to sprawiało, że płaskowyż centralny wydawał się miejscem odpychającym i wrogim. Obszar ten nie został nigdy dokładnie spenetrowany, bowiem paru tylko Ziemian odważyło się tam zapuścić. Kompania miała niegdyś plany wykarczowania większych połaci dżungli i założenia osiedli, ale nic z tych planów nie wyszło. Gundersen był tutaj tylko raz i to przez przypadek, kiedy jego pilot w drodze z biur zarządu na wybrzeżu do Krainy Piasku musiał przymusowo lądować. Wtedy razem z nim była Seena. Spędzili cały dzień i noc w lesie. Seena, od momentu lądowania, była przerażona; usiłował podtrzymać ją na duchu, tak jak to powinien robić mężczyzna, ale strach i jemu się udzielał.

— Byłeś tu już kiedyś? — spytał Gundersen Srin'gahara.

— Nigdy. Moi ziomkowie rzadko odwiedzają tę krainę.

— Parę razy lecąc nisko nad płaskowyżem widziałem obozowiska nildorów. Nie często, ale zdarzało mi się. Chcesz powiedzieć, że twoi

już tu nie przychodzą?

— Nie — odparł Srin'gahar. — Czasem ktoś czuje potrzebę, by iść na płaskowyż, ale większość jej nie odczuwa. Niekiedy czyjaś dusza więdnie i wtedy trzeba zmienić otoczenie. Jeśli ktoś nie jest jeszcze gotów na ponowne narodziny, to też wędruje na płaskowyż. Tutaj łatwiej wejrzeć we własną duszę i zbadać jej skazy. Potrafisz pojąć to, co mówię?

— Sądzę, że tak — oświadczył Gundersen. — Jest to jakby miejsce pielgrzymki, miejsce oczyszczenia?

— W pewnym sensie.

— Czemu jednak nildory nie osiedliły się tutaj na stałe? Jest tu mnóstwo pożywienia… ciepły klimat…

— To nie jest miejsce gdzie panuje g'rakh — odparł nildor.

— Ach, więc to niebezpieczne dla nildorów? Dzikie zwierzęta, trujące rośliny, czy coś takiego?

— Nie, nie powiedziałbym. Nie obawiamy się tej równiny i w ogóle nie ma na tym świecie miejsca, które byłoby dla nas niebezpieczne. Płaskowyż jednak nie interesuje nas. G'rakh obce jest tej krainie, czemu więc mielibyśmy tu przychodzić? Jest dosyć miejsca dla nas na równinach.

Nawet dla nich ten płaskowyż jest obcy — myślał Gundersen. Wolą przebywać w dżungli. Jakie to dziwne…

Tej nocy rozbili obóz w pobliżu gorącego strumienia. Jego wody wypływały z podziemnego kotła. Takich kotłów było wiele w tej części kontynentu. Woda, różowa od żyjących w wysokich temperaturach mikroorganizmów, gotowała się i kipiała, a nad nią unosiły się kłęby pary. Gundersen zastanawiał się, czy Srin'gahar nie wybrał tego miejsca postoju specjalnie ze względu na niego, bo nildory nie używają gorącej wody, a Ziemianom potrzebna jest ciągle.

Umył twarz, co sprawiło mu niezmierną przyjemność i przygotował sobie obiad z odżywczych gałek, świeżych owoców i wywaru z korzeni zielonych jagód.

Nildory nie wydawały się usposobione do konwersacji i pozostawiły go samego. Wszystkie, oprócz Srin'gahara, oddaliły się o kilkaset metrów w górę strumienia. Srin'gahar opiekujący się Gundersenem ułożył się w pobliżu i życzył mu dobrej nocy.

— Nie chciałbyś chwilę porozmawiać? — spytał Gundersen. — Pragnąłbym dowiedzieć się czegoś o powtórnych narodzinach. Skąd wiecie na przykład, że przyszedł na to czas? Czy to jakieś wewnętrzne uczucie, czy po prostu jest to kwestia osiągnięcia pewnego wieku? Czy ty…

W tym momencie Gundersen zdał sobie sprawę, że Srin'gahar wcale go nie słucha. Nildor zapadł w jakiś głęboki trans i leżał absolutnie bez ruchu.

Gundersen wzruszył ramionami, przewrócił się na bok i starał się zasnąć. Sen jednak długo nie przychodził. Zaczął rozmyślać o warunkach, na jakie musiał się zgodzić, by móc podjąć tę podróż. Może jakiś inny wielokrotnie narodzony pozwoliłby mu udać się do krainy Mgieł nie żądając w zamian sprowadzenia Cedrika Cullena? Podejrzewał jednak, że wynik byłby ten sam, bez względu na to, do którego siedliska nildorów zwróciłby się o pozwolenie. Chociaż nildory nie posiadały żadnych sposobów porozumiewania się na odległość, nie miały żadnej struktury państwowej w ziemskim rozumieniu, to jednak potrafiły w jakiś dziwny sposób kontaktować się ze sobą i prowadziły wspólną politykę.

Co też takiego mógł zrobić Cullen, zastanawiał się Gundersen, że tak im zależało na odszukaniu go?

W dawnych czasach Cullen wydawał się całkowicie normalny: wesoły, przyjazny, rudowłosy chłopak, który nie używał ordynarnych słów i nie upijał się. Kiedy Gundersen przed dwunastu laty był głównym agentem w Fire Point na Morzu Piasków, Cullen pracował jako jego zastępca. Całymi miesiącami byli sami, we dwóch i Gundersen sądził, że zdołał go dobrze poznać. Cullen nie miał zamiaru robić kariery w Kompanii. Mówił, że podpisał kontrakt na sześć lat i nie będzie go przedłużał, gdyż po opuszczeniu Świata Holmana chce wrócić na uniwersytet. Przybył tu w poszukiwaniu wrażeń oraz dla prestiżu, jaki zyskiwał każdy, kto odbył służbę w obcym świecie. Potem jednak sytuacja na Ziemi tak się skomplikowała, że Kompania zmuszona była zrzec się władzy na wielu planetach, które poprzednio skolonizowała. Gundersen, tak samo jak większość z piętnastu tysięcy urzędników Kompanii, zgodził się na przeniesienie na inne stanowisko. Cullen, ku zdumieniu Gundersena, znalazł się wśród garstki tych, którzy opowiedzieli się za pozostaniem tutaj, mimo, że oznaczało to zerwanie więzi z rodzinnym światem. Gundersen nie pytał go o powód tej decyzji; o takich rzeczach się nie mówi. Ale wydawało mu się to bardzo dziwne.

Teraz stanął mu Cullen w pamięci jak żywy: gonił za owadami po Morzu Piasku, przeskakując z kamienia na kamień. Doprawdy, duży chłopiec. Chyba nawet piękno Morza Piasku nie wywierało na nim większego wrażenia. A przecież żadna część tej planety nie była bardziej niezwykła, bardziej efektowna: wyschnięte dno oceanu większego niż Atlantyk, pokryte grubą warstwą krystalicznych osadów mineralnych, mieniących się jak diamenty w blasku słońca. Przez cały dzień kryształki pochłaniały energię, którą wypromieniowywały w ciągu nocy. Od świtu do zmroku trwała feeria błysków, a po zmierzchu jeszcze przez długie godziny widać było pulsującą, purpurową poświatę. Na tej pozbawionej prawie życia, ale oszałamiająco pięknej pustyni Kompania wydobywała cenne metale

oraz szlachetne i półszlachetne kamienie. Maszyny górnicze wyruszały ze stacji na dalekie obszary i po bezlitosnym zryciu cudownych przestrzeni wracały ze skarbami.

Potem zakończył się gwałt dokonywany na ciele pustyni i maszyny zamarły. Cullen był uciekinierem, gdzieś w Krainie Mgieł, poszukiwanym za popełnienie zbrodni tak okropnej, że nildory nie chciały jej nawet wymienić.

VII

Kiedy rankiem znaleźli się w drodze, Srin'gahar, co było do niego niepodobne, pierwszy rozpoczął rozmowę.

— Opowiedz mi o słoniach, przyjacielu mej podróży. Jak one wyglądają? Jak żyją?

— Gdzie usłyszałeś o słoniach?

— Ziemianie w hotelu mówili o nich. Także i w przeszłości coś o tym słyszałem. Są to ziemskie stworzenia podobne do nildorów, prawda?

— Istnieje pewne podobieństwo — przyznał Gundersen.

— Bliskie podobieństwo?

— Jest wiele zbieżności — Gundersen żałował, że Srin'gahar nie jest w stanie pojąć rysunku. — Są długie i wysokie jak ty — objaśniał. — Mają po cztery nogi, ogon i trąbę. Posiadają również kły, ale tylko dwa — jeden tu, a drugi tu. A tutaj — Gundersen wskazał grzebień na głowie Srin'gahara — nie mają nic. I ich kości nie są tak giętkie, jak twoje.

— Wygląda mi na to — myślał głośno Srin'gahar — że te słonie są bardzo podobne do nildorów.

— Chyba tak.

— Dlaczego tak jest, możesz mi powiedzieć? Czy uważasz, że my i te słonie możemy stanowić jedną rasę?

— To niemożliwe — zaprotestował Gundersen. — To po prostu… eee… — szukał odpowiedniego określenia, bowiem słownik nildorów nie zawierał terminów z zakresu genetyki. — Po prostu rozwój życia w różnych światach przebiega podobnie. Pewne zasadnicze wzorce żyjących stworzeń powtarzają się wszędzie. Wzorzec słonia — wzorzec nildorów to jeden z nich. Wielkie cielsko, ogromna głowa, krótka szyja, długa trąba umożliwiająca chwytanie i manewrowanie przedmiotami bez potrzeby schylania się i wspinania, te cechy będą rozwijały się wszędzie tam, gdzie występują sprzyjające warunki.

— Ach, więc widziałeś słonie i na innych światach?

— Na niektórych — przyznał Gundersen. — Występują tam stworzenia, których rozwój przebiegał w podobny sposób, chociaż najbliższe podobieństwo istnieje między słoniami i nildorami. Mógłbym ci wymienić z pół tuzina innych stworzeń, których cechy wskazują na przynależność do tej samej grupy. Odnosi się to także do innych form życia — do owadów, płazów, małych ssaków i tak dalej.

— Gdzie, w takim razie, istnieje na Belzagorze odpowiednik człowieka?

Gundersen zawahał się. — Nie powiedziałem, że wszędzie są dokładne odpowiedniki. Myślę, że najbardziej wzorcom ludzkim na

waszej planecie odpowiadają sulidory. Ale nie jest to bardzo bliskie podobieństwo.

— Na Ziemi rządzą ludzie. Tutaj sulidory są rasą drugorzędną.

— Dewiacja w rozwoju. Wasz g'rakh jest wyższy od tego, który posiadają sulidory. Na naszej planecie nie ma w ogóle żadnych innych gatunków obdarzonych g'rakh. Wiele jest podobieństw fizycznych pomiędzy ludźmi a sulidorami. One chodzą na dwóch nogach i my także. Jedzą mięso i owoce, my również. Posiadają ręce zdolne do chwytania i my takie mamy. Ich oczy umieszczone są na przodzie głowy tak samo jak nasze. Wiem, że są większe, silniejsze, bardziej owłosione i mniej inteligentne niż istoty ludzkie, ale chcę ci uzmysłowić, że na różnych planetach istnieją podobne wzorce rozwoju, chociaż nie ma żadnego związku krwi pomiędzy…

— Skąd wiesz, że słonie nie mają g'rakh? — wtrącił spokojnie Srin'gahar.

— My… one… to przecież jasne, że… — Gundersen urwał czując się niezręcznie. A po namyśle powiedział ostrożnie:

— Nigdy nie wykazały żadnej właściwości posiadania g'rakh. Nie prowadzą osiadłego życia, nie mają struktury plemiennej, żadnej technologii, żadnej religii, żadnej ciągłości kulturowej.

— My też nie prowadzimy osiadłego życia we wsiach i nie mamy technologii — oświadczył nildor. — Łazimy po dżungli i napychany się liśćmi oraz młodymi gałązkami. Słyszałem, że tak o nas mówiono i to jest prawda.

— Ale wy jesteście inni. Wy…

— Dlaczego jesteśmy inni? Słonie też wędrują po lasach, napychają się liśćmi i młodymi gałązkami, czyż nie tak? Nie odziewają się w żadne skóry. Nie wytwarzają narzędzi. Nie mają książek. A jednak dopuszczasz, że my mamy g'rakh, a upierasz się, że one nie mają.

— Nie potrafią przekazywać sobie idei — powiedział Gundersen zupełnie zdesperowany. — Mogą powiedzieć sobie chyba najprostsze rzeczy — o pożywieniu, o kopulacji, o niebezpieczeństwie, ale to wszystko. Gdyby władały prawdziwym językiem już byśmy to wykryli, a poznaliśmy jedynie parę podstawowych dźwięków, jakie one wydają.

— Być może mowa ich jest tak skomplikowana, że nie jesteście w stanie jej zbadać — zasugerował Srin'gahar.

— Wątpię. Jak tylko pojawiliśmy się tutaj, od razu poznaliśmy, że mowa nildorów jest językiem i byliśmy w stanie się go nauczyć. Jednak w ciągu tysięcy lat, w czasie których ludzie i słonie mieszkają na tej samej planecie, nigdy nie zauważyliśmy żadnych oznak, że potrafią one pojmować i przekazywać sobie pojęcia oderwane. A to przecież jest istotą posiadania g'rakh. Zgodzisz się ze mną?

— Powtarzam swoje zdanie. A co, jeśli jesteście do tego stopnia niżsi w rozwoju od waszych słoni, że nie możecie pojąć ich głębi?

— Sprytnie to wykoncypowałeś, Srin'gaharze. Nie mogę jednak uznać tego za sytuację panującą w rzeczywiście istniejącym świecie. Skoro słonie posiadają g'rakh, to czemu przez cały czas swego pobytu na Ziemi nie zdołały do niczego dojść? Dlaczego rodzaj ludzki zdominował całą planetę, a słonie zostały stłoczone w jednym małym zakątku, a właściwie już prawie wyeliminowane?

— Zabijacie słonie?

— Już teraz nie. Ale był czas, kiedy ludzie zabijali słonie na mięso albo dla zdobycia ich kłów na ozdoby. Był też czas, kiedy używano słoni jako zwierząt pociągowych. Gdyby słonie miały g'rakh, to…

Nagle zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę zastawioną przez Srin'gahara.

— Także na tej planecie — powiedział nildor — tutejsze „słonie" pozwalały eksploatować się przez ludzi. Nie zjadaliście nas wprawdzie i rzadko kiedy zabijaliście, ale często zmuszaliście do pracy. A mimo to uznajecie, że jesteśmy istotami posiadającymi g'rakh.

— To, co robiliśmy tutaj — oświadczył Gundersen — było kardynalnym błędem i kiedy uświadomiliśmy to sobie, zrzekliśmy się panowania na waszym świecie i wynieśliśmy się stąd. Ale to jeszcze wcale nie dowodzi, że słonie są istotami rozumnymi, posiadającymi odczucia zmysłowe. Są to zwierzęta, Srin'gaharze, zwyczajne, wielkie zwierzęta i nic ponad to.

— Miasta i maszyny nie są jedynymi osiągnięciami g'rakh.

— Gdzież więc są ich osiągnięcia duchowe? Co słoń myśli o naturze wszechświata? Co sądzi o Twórczej Mocy? Jak określa swoje własne miejsce w społeczeństwie?

— Tego nie wiem — przyznał Srin'gahar. — Ale też i ty tego nie wiesz, przyjacielu mej podróży, ponieważ język słoni jest ci niedostępny. Błędem jest utrzymywać, że g'rakh nie istnieje tam, gdzie nie jesteś w stanie go dostrzec.

— W takim razie możliwe, że i malidory również obdarzone są g'rakh. I jadowite węże. I drzewa, i winorośle, i…

— Nie — zaprotestował Srin'gahar. — Na tej planecie tylko nildory i sulidory posiadają g'rakh. Wiemy to ponad wszelką wątpliwość. W waszym świecie niekoniecznie tylko ludzie muszą być rozumni.

Gundersen doszedł do wniosku, że nie ma sensu przeciągania dłużej tej dyskusji. Czy Srin'gahar był szowinistą broniącym duchowej wyższości „słoni" w całym wszechświecie, czy też celowo przyjął pozycję ekstremalną, by ujawnić ludzką arogancję — tego Gundersen nie wiedział. Nie miało to zresztą znaczenia.

— Muszę ci ustąpić — stwierdził Gundersen z kurtuazją

— choć może kiedyś sprowadzę słonia na Belzagor i wtedy powiesz mi, czy on ma g'rakh, czy nie ma.

— Powitam go jak brata.

— Być może rozczaruje cię pusta głowa twego brata — powiedział Gundersen. — Ujrzysz stworzenie kształtem przypominające ciebie, ale obawiam się, że nie odnajdziesz w nim duszy.

— Sprowadź słonia, towarzyszu mej podróży, a ja już osądzę, co jest w jego głowie — rzekł Srin'gahar. — Ale powiedz mi jeszcze jedną rzecz i już nie będę cię zanudzał:

kiedy twoi współbracia mówią na nas „słonie" to dlatego, że uważają nas za zwierzęta? Słonie to są „wielkie, zwyczajne zwierzęta", takie przecież były twoje słowa. Czy goście z Ziemi tak właśnie na nas patrzą?

— Mają na myśli jedynie zewnętrzne podobieństwo pomiędzy nildorami a słoniami. Mówią, że wyglądacie jak słonie.

— Chciałbym móc w to uwierzyć — oznajmił nildor i zapadł w milczenie, pozostawiając Gundersena z poczuciem winy i wstydu.

W milczeniu podążali na północ wzdłuż wrzącego strumienia. Tuż przed południem doszli do jego źródła: było to półkoliste jezioro, wciśnięte między dwa łańcuchy stromych wzgórz. Znad powierzchni tego jeziora unosiły się kłęby tłustej pary.

Gundersena zainteresowało jezioro i jego niezwykła flora, chciał przyjrzeć mu się bliżej, ale jakoś nie miał śmiałości poprosić Sin'ghara, aby się zatrzymał.

Kiedy zbliżyli się do zakola jeziora, dał się słyszeć od wschodniej strony niesamowity hałas i trzask łamanych gałęzi. Cała procesja nildorów zatrzymała się, by zobaczyć, co też się dzieje. Gundersenowi wydawało się, iż lada chwila wychynie z dżungli jakiś polujący dinozaur, przemieszczony tu przez pomyłkę z innego czasu i przestrzeni. Zamiast tego, spoza wzgórz, wyjechał mały, płaskonosy wehikuł, w którym rozpoznał hotelowy łazik! Pojazd ciągnął prymitywną przyczepę na wielkich kołach. Na tej rozklekotanej, podskakującej przyczepie stały cztery namiociki, a wokół nich góra bagażu. Na tyle platformy, trzymając się kurczowo drabinek, tkwiło ośmiu turystów, których Gundersen widział parę dni temu w hotelu na wybrzeżu.

— To twoi ziomkowie — powiedział Srin'gahar. — Chcesz pewnie z nimi porozmawiać.

Prawdę mówiąc, w owej chwili Gundersen był jak najdalszy od chęci ujrzenia turystów. Wolałby już szarańczę, skorpiony i jadowite węże — wszystko, byle nie ich. Miał w sobie jeszcze posmak przeżycia mistycznego, jakiego doświadczył wśród nildorów i którego naturę zaledwie mógł pojąć. A teraz, odizolowany od spraw ziemskich, zdążał

do krainy powtórnych narodzin pochłonięty zasadniczymi problemami zła i dobra, rozumu oraz stosunku ludzi do innych istot. Zaledwie przed chwilą zmuszony był do niemiłej, a nawet bolesnej konfrontacji z własną przeszłością odpowiadając na niby przypadkowe, a jednak przemyślane pytania Srin'gahara o duszę słoni. I nagle znów miał znaleźć się pomiędzy tymi pustymi, trywialnymi istotami ludzkimi. Jeśli zdołał zyskać w oczach swego towarzysza, nildora, jakieś cechy indywidualności, to znikną one natychmiast, gdy włączy się do niezróżnicowanej gromady Ziemian. W głębi duszy wiedział, że ci turyści, a przynajmniej niektórzy z nich, nie byli aż tak wulgarni i prymitywni, jak to widział. Byli to zwykli ludzie, przyjaźni, niezbyt mądrzy, dobrze sytuowani i prawdopodobnie ich życiu na Ziemi mało co można było zarzucić. Ale tutaj wydawali się papierowymi figurkami, ponieważ nie posiadali żadnego wewnętrznego związku z planetą, którą postanowili zwiedzić; była im ona absolutnie obojętna. Gundersen nie chciał, aby Srin'gahar stracił swoje pojęcie o nim, jako o kimś lepszym od reszty Ziemian przybyłych na Belzagor. Obawiał się, że potok słów wylewanych przez turystów ogarnie go i zmyje jego odrębność.

Łazik, najwyraźniej wyczerpany holowaniem przyczepy, zatrzymał się kilkanaście metrów od brzegu jeziora. Wylazł z niego Van Beneker, jeszcze bardziej zaniedbany i spocony niż zwykle.

— Wszyscy wysiadać — zawołał do turystów. — Idziemy popatrzeć na jedno ze sławnych, gorących jezior.

Gundersen zastanawiał się, czy nie powiedzieć Srin'gaharowi, by poszedł dalej. Cztery pozostałe nildory, zaspokoiwszy swoją ciekawość, oddaliły się już w stronę drugiego końca jeziora. Postanowił jednak chwilę pozostać. Wiedział, że lekceważenie członków własnego gatunku nie przydałoby mu uznania w oczach Srin'gahara.

Van Beneker zwrócił się do Gundersena, by go pozdrowić. — Dzień dobry! — zawołał. — Jak to miło znów pana zobaczyć! Dobrą ma pan podróż?

Turyści wygramolili się z przyczepy. Byli tacy i zachowywali się zupełnie tak, jak to sobie Gundersen wyobrażał: zblazowani, znudzeni i przesyceni cudami, jakie widzieli. Stein, ten właściciel knajpy z doskonałymi ślimakami, sprawdził przysłonę w kamerze i fachowo dokonał 360-stopniowego hologramu całej sceny, ale kiedy odbitka wysunęła się powoli ze szczeliny w aparacie, nawet na nią nie spojrzał — ważne było robienie zdjęć, a nie samo zdjęcie. Watson, lekarz, opowiadał Christopherowi, finansiście, jakąś anegdotę, która dawno temu przestała być śmieszna, a ten bezmyślnie chichotał. Kobiety, wymięte, wymęczone pobytem w dżungli, nie zwracały wcale uwagi na jezioro. Dwie oparły się o łazika i czekały aż im się powie, co

oglądają; dwie inne, skoro spostrzegły obecność Gundersena, szybko wyciągnęły z torebek szminki.

— Nie zostanę tu długo — zapewnił Srin'gahara. Podszedł Van Beneker.

— Cóż za podróż — wybuchnął. — Co za cholerna droga! No, ale właściwie powinienem się do tego przyzwyczaić. A jak u pana, wszystko dobrze, panie Gundersen?

— Nie narzekam. — Gundersen wskazał głową przyczepę.

— Skąd pan wytrzasnął takiego grata?

— Zrobiliśmy ją parę lat temu, gdy zepsuła się ciężarówka. Teraz wozimy nią turystów, kiedy nie uda się zaangażować nildorów.

— Wygląda jak osiemnastowieczna machina.

— Widzi pan, nie pozostało nam tu wiele nowoczesnego sprzętu. Nie mamy pomocniczych mechanizmów napędowych ani hydraulicznych robotów. No, ale zawsze znajdzie się parę kółek i jakaś plandeka. To musi wystarczyć.

— Co się stało z tymi nildorami, które przywiozły nas z lotniska do hotelu? Sądziłem, że skłonne były dla was pracować.

— Czasem chcą, czasem nie chcą — powiedział Van Beneker. — Są nieobliczalne. Nie możemy ich zmusić do pracy i nie możemy ich nająć. Możemy tylko grzecznie poprosić, a jak odmówią — nie ma odwołania. Parę dni temu oznajmiły, że przez jakiś czas nie będą do naszej dyspozycji, więc musieliśmy wyciągnąć tę przyczepę… — Zniżył głos.

— Moim zdaniem, to z powodu tych głupich „małp", które uważają, że nildory nie rozumieją po angielsku i powtarzają w kółko: „Jakie to okropne, że taką piękną i wartościową planetę musieliśmy oddać bandzie słoni".

— W drodze tutaj — stwierdził Gundersen — niektórzy z nich wyrażali zdecydowanie liberalne poglądy. Przynajmniej dwóch panów opowiadało się stanowczo za przekazaniem władzy mieszkańcom planety.

— A oczywiście. Na Ziemi nałykali się różnych politycznych teorii wolnościowych: oddać światy skolonizowane długo uciskanej ludności miejscowej i temu podobne. A teraz, tutaj, nagle doszli do wniosku, że nildory wcale nie są „ludnością", a po prostu zwierzętami, śmiesznymi słoniami i że chyba jednak powinniśmy zatrzymać tę planetę dla siebie — Van Beneker splunął. — A nildory słuchają tego. Udają, że nie znają języka, ale znają, wiem dobrze, że znają. I jak można się spodziewać, że takich ludzi będą chciały nosić na swoim grzbiecie.

— Rozumiem — odparł Gundersen.

Spojrzał na turystów, którzy wybałuszali oczy na Srin'gahara skubiącego opodal młode gałązki. Watson trącił w bok Mirafloresa, a ten zacisnął wargi i pokręcił głową z dezaprobatą. Gundersen nie mógł

dosłyszeć, co mówili, ale domyślał się, że wyrażali pogardę dla żarłoczności Srin'gahara. No bo jakże cywilizowane istoty mogą ściągać trąbą pożywienie z drzewa?

— Zostanie pan i zje z nami lunch, panie Gundersen? — zapytał Van Beneker.

— Dziękuję za zaproszenie — odpowiedział Gundersen.

Usiadł w cieniu, a Van Beneker zebrał swych podopiecznych i poprowadził ich nad brzeg parującego jeziora. Kiedy już tam byli, Gundersen wstał spokojnie i dołączył do grupy. Zaczął słuchać tego, co mówił przewodnik, ale trudno mu było skupić uwagę.

„Strefa wysokich temperatur… powyżej 70 stopni C… w niektórych miejscach wyższa, nawet powyżej temperatury wrzenia, a jednak istnieją żywe organizmy… specjalna adaptacja genetyczna… nazywamy je ciepłolubne… DNA nie zagotowuje się, nie, ale procent spontanicznych mutacji jest bardzo wysoki, gatunki zmieniają się w niewiarygodnym tempie…".

Nagle Gundersen zdał sobie sprawę, że w pobliżu nie ma Srin'gahara. Niespokojny odszedł od brzegu jeziora, by go poszukać. Odnalazł miejsce, gdzie pożywiały się nildory:

niższe gałęzie wielu drzew były obdarte z kory. Ślady nildorów prowadziły w głąb dżungli. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że Srin'gahar odszedł sobie spokojnie i porzucił go.

Będzie musiał przerwać podróż. Nie ośmieli się zapuścić sam, pieszo w te dzikie bezdroża. Poprosi Van Benekera, żeby zabrał go z powrotem. Może uda mu się dostać jakiś środek transportu do Krainy Mgieł.

Grupa turystów zbliżała się właśnie wracając znad jeziora. Van Beneker szedł z siatką przewieszoną przez ramię, a w niej poruszały się jakieś wyłowione stworzenia.

— Lunch — oznajmił. — Mam dla nas trochę krabów galaretowatych. Głodny?

Gundersen przywołał na twarz wymuszony uśmiech. Obserwował, wcale nie odczuwając głodu, jak Van Beneker otworzył siatkę i wysypał z dziesięć owalnych, purpurowych stworzeń, każde z nich inne co do wyglądu i wielkości. Łaziły oszołomione i porażone chłodem. Unosiła się z nich para. Van Beneker poprzecinał im sprawnie rdzenie pacierzowe zaostrzonym patykiem i upiekł przy pomocy miotacza płomieni. Potem otworzył ich skorupy i ukazało się blade, drżące jak galareta mięso. Trzy kobiety skrzywiły się i odwróciły. Tylko pani Miraflores wzięła kraba i jadła z apetytem. Wydawało się, że mężczyznom też smakuje. Gundersen skubał galaretę i co chwila spoglądał w las. Był zgnębiony z powodu Srin'gahara. Dochodziły doń urywki rozmowy:

— …ogromne potencjalne zyski i tak zmarnowane, po prostu

zmarnowane…

— …jeśli nawet, to naszym obowiązkiem jest popieranie dążeń do samookreślenia na każdej planecie, która…

— …ale czy to ludzkie?

— …a gdzie dusza? To jedyny sposób, by uznać, że…

— …słonie, nic innego, tylko słonie. Widzieliście, jak obgryzały te drzewa…

— …do przekazania im władzy, co było błędem, doprowadziła mniejszość kierująca się czułostkowością…

— Jesteś zbyt surowy, kochanie. Rzeczywiście, na niektórych planetach były nadużycia, ale…

— …głupi polityczny oportunizm, tak bym to nazwał. Ślepi prowadzą ślepych…

— …potrafią pisać? Potrafią myśleć? Nawet w Afryce mieliśmy do czynienia z istotami ludzkimi, a i tam…

— …dusza, wewnętrzne życie…

— …kupy purpurowego łajna na plaży…

— Nildory posiadają duszę. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — oznajmił Gundersen, sam zdziwiony, że włączył się do rozmowy.

Turyści zwrócili się w jego stronę. Zapadło nagłe milczenie.

— Mają wierzenia religijne — mówił dalej — a z tym przecież łączy się świadomość istnienia ducha, duszy, prawda?

— Jaką mają religię? — chciał wiedzieć Miraflores.

— Nie wiem dokładnie. Ale jednym z ważnych jej składników jest ekstatyczny taniec — rodzaj podrygów i kręcenia się w koło — który prowadzi do jakiegoś mistycznego przeżycia. Wiem. Tańczyłem z nimi. Udało mi się osiągnąć część tego przeżycia. Mają również coś, co nazywa się powtórnymi narodzinami. Sądzę, że jest to kulminacyjnym punktem ich obrzędów. Sam tego nie rozumiem. Idą na północ, do Krainy Mgieł i tam coś się z nimi dzieje. Trzymają to w tajemnicy. Przypuszczam, że sulidory coś im dają, może jakiś narkotyk i to odmładza je wewnętrznie i pozwala dostąpić jakby oświecenia. Czy wyrażam się jasno?

Gdy to mówił, prawie nieświadomie zabrał się do nie zjedzonych krabów.

— Mogę tylko powiedzieć — kontynuował — że te ponowne narodziny mają dla nildorów życiowe znaczenie i że pozycja jednostki w organizacji szczepowej zależy od liczby kolejnych narodzin. Wszystko to dowodzi, że nie są zwierzętami. Żyją w społeczności i posiadają kulturę, choć trudną dla nas do pojęcia.

— Dlaczego w takim razie nie mają cywilizacji? — spytał Watson.

— Właśnie powiedziałem, że mają.

— Mam na myśli miasta, maszyny, książki…

— Nie są przystosowani fizycznie do tego, by pisać, budować różne obiekty i w ogóle wykonywać czynności techniczne — odpowiedział Gundersen. — Czy nie widzicie, że nie mają rąk? Rasa wyposażona w ręce tworzy jeden rodzaj cywilizacji, a rasa podobna do słoni — inny.

Gundersen był cały zlany potem i poczuł nagle ogromny apetyt. Zauważył, że kobiety jakoś dziwnie mu się przyglądają. Zrozumiał dlaczego: wpychał w nieopanowany sposób do ust wszystko, co było do zjedzenia. Miał wrażenie, że pęknie mu czaszka, jeśli natychmiast nie zrzuci tego ciężaru, tej wielkiej winy, która gniotła mu duszę i zmusiła go do tej oracji. Nie miało żadnego znaczenia to, że akurat ci ludzie byli najmniej odpowiedni, by szukać u nich rozgrzeszenia. Same nasuwały się niekontrolowane słowa.

— Kiedy przybyłem tutaj — mówił — byłem taki jak wy. Nie doceniałem nildorów i to doprowadziło mnie do popełnienia ciężkiego grzechu, który muszę wam wyznać. Jak wam wiadomo, przez pewien czas byłem tutaj administratorem okręgu. Do moich obowiązków należało wykorzystywanie miejscowej siły roboczej. Ponieważ nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nildory są inteligentnymi, autonomicznymi istotami, wykorzystywaliśmy je, przymuszaliśmy do ciężkiej pracy na budowach, do podnoszenia trąbami ciężarów i w ogóle do każdej ciężkiej fizycznej roboty. Traktowaliśmy je jak maszyny.

Gundersen zamknął oczy i czuł, jak cała przeszłość wali się na niego nieubłaganie, jak przytłacza go czarna chmura wspomnień.

— Nildory pozwalały, byśmy je wykorzystywali, Bóg jeden wie, dlaczego. Myślę, że byliśmy tym krzyżem, dzięki któremu ich rasa miała zostać oczyszczona. Pewnego dnia pękła tama w dystrykcie Monroe'go, na północy, niezbyt daleko od granicy Krainy Mgieł i całej plantacji tarniny groziło zalanie. Spowodowałoby to milionowe straty dla Kompanii. Zagrożona również była elektrownia w tym rejonie oraz budynki administracyjne i, powiedzmy sobie, gdybyśmy nie zareagowali dostatecznie szybko, wszystkie nasze inwestycje na północy poszłyby w diabły. Byłem odpowiedzialny za całą akcję. Posłaliśmy już tam wszystkie roboty, jakie mieliśmy, ale to nie wystarczało, trzeba więc też było zatrudnić i nildory. Zagoniliśmy je wszystkie, z każdego zakątka dżungli, pracowaliśmy dzień i noc upadając na twarz. Opanowaliśmy powódź, ale nieszczęście wisiało jeszcze nad nami. Szóstego dnia rankiem pojechałem sprawdzić, czy tama wytrzyma, gdy nadejdzie szczytowa fala i zobaczyłem siedem nildorów, których dotychczas nie widziałem, maszerujących ścieżką na północ. Kazałem im pójść za sobą. Odmówiły, bardzo uprzejmie. Powiedziały, że są w drodze do Krainy Mgieł na uroczystość ponownych narodzin i nie mogą się zatrzymać. Ponownych narodzin?

A co mnie obchodziły ich ponowne narodziny?! Nie miałem zamiaru przyjąć tej wymówki, zwłaszcza w obliczu powodzi. Rozkazałem bez namysłu, żeby zgłosiły się do pracy przy tamie albo załatwię się z nimi na miejscu. Ponowne narodziny mogą poczekać, stwierdziłem. Odrodzicie się innym razem. Sytuacja jest poważna. Zwiesiły głowy i końce trąb zanurzyły w piasku — jest to u nich oznaka wielkiego smutku. Przygarbiły się. Jeden z nich powiedział, że bardzo mi współczują. Wściekłem się i oznajmiłem, co mogą zrobić ze swoim współczuciem. A w ogóle, jakim prawem mi współczują. Wydobyłem miotacz ognia — kontynuował. — No, naprzód, ruszać się! Potrzebne jesteście przy robocie. Wielkie oczy patrzyły na mnie żałośnie. Trąby w piasku. Dwa czy trzy odezwały się, że jest im bardzo przykro, ale teraz nie mogą dla mnie pracować, że to niemożliwe, by przerwały swoją podróż, wolą raczej umrzeć. Nie chciały mnie urazić swoją odmową, ale byłem wściekły i postanowiłem, że mi za to zapłacą. Już chciałem jednego podpalić jako ostrzeżenie dla pozostałych, ale powstrzymałem się. Spytałem sam siebie, co u diabła chcę zrobić, a nildory czekały i moi współpracownicy obserwowali mnie i inne nildory też się przyglądały. Podniosłem znów miotacz, żeby zabić jednego z nich, tego, co mi tak współczuł, bo miałem nadzieję, że to przywiedzie inne do rozsądku. A one czekały. No, ale jak można spalić siedmiu pielgrzymów, nawet jeśli przeciwstawiają się wyraźnemu rozkazowi szefa okręgu? Z drugiej strony wystawiony był na próbę mój autorytet. Pociągnąłem więc za spust i przejechałem mu po grzbiecie — przypaliłem go niezbyt głęboko, tylko skórę. Nildor stał bez ruchu, a przecież jeszcze chwila, a mógłbym spalić go na węgiel. I w ten sposób skreśliłem się w ich oczach, bo użyłem przemocy. Na to czekały. Parę nildorów, które wyglądały na starsze od innych, powiedziało, żebym przestał, że się zastanowią i naradzą. Odsunąłem miotacz, a one odeszły, by odbyć konferencję. Nildor, którego przypaliłem, trochę utykał i wyglądał żałośnie, choć nie był zraniony aż tak, jak ja. Ten, który rani, może odnieść cięższe obrażenia, niż jego ofiara, wiecie o tym? Wreszcie nildory zgodziły się uczynić to, co im kazałem. Zamiast więc iść na północ, na ponowne narodziny, poszły pracować przy tamie, nawet i ten przypalony. Po dziewięciu dniach woda zaczęła opadać, elektrownia i plantacja zostały uratowane i wszyscy żyliśmy szczęśliwie przez długie lata.

Gundersen zakończył swą opowieść i zrozumiał, że nie może dłużej patrzeć na tych ludzi. Podniósł skorupę ostatniego kraba i zajrzał, czy nie zostało jeszcze choć trochę galarety. Czuł się wyczerpany, wypompowany. Panowało milczenie i wydawało się, że trwa ono bez końca.

— No i co się wtedy stało? — zapytała pani Christopher. Gundersen spojrzał na nią, przymrużył oczy. Myślał przecież, że

powiedział wszystko.

— Nic się nie stało — odparł. — Woda opadła.

— Ale jaka jest pointa tej historii? Miał ochotę cisnąć jej w twarz skorupę kraba.

— Pointa? — zapytał. — Pointa? Ależ… — Poczuł zawrót głowy. — Siedem inteligentnych istot było w drodze, by spełnić najświętszy obrządek swej wiary, a ja, pod groźbą użycia broni, zmusiłem je do pracy nad zabezpieczeniem urządzeń, które nie miały dla nich najmniejszego znaczenia. I poszły i ciągnęły kłody. Czy to niewystarczająca pointa[9] Kto tu stał wyżej duchowo? Czym staje się człowiek, jeśli inteligentne, samodzielne stworzenie traktuje jak bydlę?

— Ale to był stan wyższej konieczności — zauważył Watson. — Potrzebna była panu każda pomoc, jaką mógł pan zdobyć. W takiej sytuacji należy odłożyć na bok inne względy. Spóźniły się o dziewięć dni na swoje powtórne narodziny. No i co z tego?

— Nildor zdąża, by się odrodzić, tylko wtedy, gdy nadszedł jego czas — mówił Gundersen zduszonym głosem — a ja nie potrafię powiedzieć, kiedy to jest. Może zależy to od gwiazd, może od układu księżyców. Nildor musi przybyć na miejsce ponownych narodzin w odpowiednim czasie. Jeśli mu się to nie uda, nie zostanie odrodzony. Siedem nildorów już i tak było spóźnionych, bo ulewne deszcze rozmyły drogi na południu, a jak jeszcze dołożyłem im te dziewięć dni, to zrobiło się absolutnie za późno. Gdy skończyły się prace przy budowie tamy, wróciły po prostu na południe, do swego plemienia. Nie wiedziałem, dlaczego. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że straciły szansę na ponowne narodziny i że będą musiały czekać dziesięć, a może dwadzieścia lat, by wyruszyć ponownie. A może już nigdy nie będą miały następnej szansy.

Gundersenowi nie chciało się więcej mówić. Gardło miał wyschnięte, skronie mu pulsowały. Podniósł się i w tej samej chwili zauważył, że Srin'gahar wrócił i trwa nieruchomo kilkaset metrów dalej, pod rozłożystym drzewem.

— Pointa jest taka — zwrócił się do turystów — że nildory mają religię i mają dusze, i że trzeba je traktować jak ludzi. I jeśli uznaje się prawo do samostanowienia w ogóle, to nie można odmawiać go tej planecie. Pointa jest taka, że kiedy Ziemianie wchodzą w kontakt z innymi gatunkami, robią to zwykle z ogromnym brakiem zrozumienia. I jeszcze chcę dodać, że nie jestem zdziwiony waszym podejściem do nildorów, ponieważ ja sam myślałem o nich w podobny sposób, a zmieniłem zdanie dopiero wtedy, gdy to już właściwie nie miało znaczenia. A i wtedy jeszcze nie wyciągnąłem dostatecznie głębokich wniosków, które by zmieniły moją postawę. Jest to jeden z powodów, dla których tutaj wróciłem. A teraz proszę mi wybaczyć, bo przyszedł

mój czas i muszę iść — i oddalił się szybko.

— Możemy ruszać — powiedział do Srin'gahara.

Nildor ukląkł. Gundersen wsiadł mu na grzbiet.

— Dokąd poszedłeś? — zapytał Ziemianin. — Martwiłem się, gdyż mi zniknąłeś

— Uważałem, że powinienem cię zostawić samego z twymi przyjaciółmi — odpowiedział Srin'gahar. — Czemu się martwiłeś? Mam przecież obowiązek odprowadzić cię bezpiecznie do Krainy Mgieł.

VIII

Krajobraz zmienił się. Zostawili za sobą podzwrotnikową dżunglę i wkraczali na pogórze, którędy wiodła droga do strefy mgieł. Panował tu jeszcze klimat tropikalny, ale wilgotność powietrza nie była już tak duża. Roślinność też była tu inna: kanciasta, chropawa, o liściach ostrych jak żyletki. Wiele drzew miało świecące listowie, rozjaśniające w nocy las zimnym blaskiem.

Trzeciego dnia wieczorem Srin'gahar i Gundersen spotkali cztery nildory, które poszły przodem. Rozłożyły się u stóp stromego, poszarpanego wzgórza. Przebywały tam już co najmniej cały dzień, sądząc po ubytku liści i gałązek okolicznych drzew. Razem z nimi był też ogromny sulidor — tak wielkiego Gundersen nigdy jeszcze nie widział. Stworzenie było prawie dwukrotnie wyższe od człowieka i miało zwisający ryj, długości ludzkiego ramienia. Stał wyprostowany koło wielkiego głazu obrośniętego dzikim mchem. Nogi rozstawił szeroko i podparł się jeszcze mięsistym ogonem. Skośne oczy, osłonięte ciężkimi powiekami, skierował na Gundersena. Długie ręce, zakończone zakrzywionymi szponami, wisiały bezwładnie. Futro sulidora, koloru starego brązu, było niezwykle gęste.

Jedna z kandydatek do odrodzenia, samica o imieniu Luu'khamin, zwróciła się do Gundersena.

— Ten sulidor nazywa się Na-sinisul — powiedziała. — Chce z tobą mówić.

— Niechże więc mówi.

— Pragnie, żebyś najpierw dowiedział się, że nie jest zwykłym sulidorem. Jest jednym z tych, którzy kierują ceremonią powtórnych narodzin i zobaczymy go znów, gdy dojdziemy do Krainy Mgieł. Należy do wyższych sfer i nie wolno brać lekko jego słów. Czy będziesz miał to na uwadze słuchając go?

— Będę. Niczyich słów na tym świecie nie biorę lekko, ale z pewnością jego słów będę słuchał szczególnie uważnie. Niech mówi.

Sulidor zbliżył się i znów stanął mocno, wbijając nogi głęboko w rozmiękłą ziemię. Mówił w języku nildorów z akcentem północnym, słowa wymawiał chrapliwie, wolno, stanowczo.

— Udałem się w podróż, by odwiedzić Morze Piasku — oznajmił — i teraz wracam do swojego kraju, gdzie będę udzielał pomocy w przygotowaniach do powtórnych narodzin. Moja obecność tutaj nie ma żadnego związku ani z tobą, ani z twymi towarzyszami. Czy rozumiesz, że moja obecność tutaj jest najzupełniej przypadkowa?

— Tak, rozumiem — odparł Gundersen zdumiony pełną emfazy wypowiedzią sulidora. Dotychczas znał sulidory jako postacie ciemne, dzikie, przemykające chyłkiem w zaroślach.

— Kiedy wczoraj przechodziłem w pobliżu — kontynuował Na-sinisul — napotkałem przypadkowo miejsce, gdzie znajdował się punkt waszej Kompanii. Zajrzałem do wnętrza budynku przypadkiem, chociaż nie miałem żadnego interesu. Znalazłem dwoje Ziemian, a ciała ich już im nie służyły. Nie byli w stanie poruszać się i z wielkim trudem mówili. Błagali, bym ułatwił im odejście z tego świata, ale nie mogłem przecież zrobić tego na własną odpowiedzialność. Dlatego proszę, żebyś udał się tam ze mną i wydał mi właściwe polecenie. Nie zabawię tu długo, należy więc zrobić to natychmiast.

— Jak to daleko?

— Zdołamy tam dotrzeć przed wschodem trzeciego księżyca.

— Nie przypominam sobie, aby w pobliżu znajdowała się stacja Kompanii — odezwał się Gundersen do Srin'gahara.

— Powinna być jakaś, ale odległa o parę dni drogi stąd, więc…

— Jest to miejsce, gdzie gromadzono pełzające stwory jadalne i wysyłano je w dół rzeki — wyjaśnił nildor.

— Tutaj? — Gundersen wzruszył ramionami. — Chyba znów straciłem orientację. Dobrze. Pójdę tam.

Sulidor poruszał się szybko poprzez rozświetlony las, a Gundersen podążał na grzbiecie Srin'gahara tuż za nim. Schodzili w dolinę, stawało się coraz parniej i mroczniej.

Pod występem gołej, zwietrzałej, żółtej skały wznosiło się to, co pozostało ze stacji Kompanii. Budynek wydawał się jeszcze bardziej zrujnowany, niż tamta, leżąca na południu, stacja wężów. Gundersen zsiadł i zatrzymał się przed wejściem, czekając, by sulidor go poprowadził. Zaczął padać ciepły, przyjemny deszcz. Zapach lasu zmienił się natychmiast: z ostrego, gryzącego stał się słodki. Była to jednak słodycz zgnilizny.

— Ziemianie są wewnątrz — powiedział Na-sinisul. — Możesz wejść. Ja zaczekam na twoje polecenia.

Gundersen wszedł do budynku. Powietrze było tu zatęchłe smrodliwe i pełne wilgoci. Zastanawiał się, ile zjadliwych zarodków wciąga do płuc z każdym oddechem. Słychać było głośne kapanie ciężkich kropli. Postanowił oświetlić wnętrze płomieniem miotacza, natychmiast coś pacnęło go w twarz i zaczęło wokół trzepotać — jakieś stworzenie znęcone ciepłem i światłem. Gundersen odpędził je. Na palcach pozostał mu lepki śluz.

Gdzie byli Ziemianie?

— Hallo? — zawołał. — Hallo, hallo, hallo?

W odpowiedzi usłyszał jakiś jęk. Potykając się i ślizgając w mroku, przedarł się przez gmatwaninę niewidocznych przedmiotów i doszedł do miejsca, skąd pochodził odgłos głośnego kapania. Coś jasnoczerwonego w kształcie kosza, wielkości ludzkiej klatki piersiowej, usadowiło się wysoko na ścianie, prostopadle do podłogi.

Przez wielkie pory w gąbczastej powierzchni tego tworu wydobywała się czarna ciecz i spadała z pluskiem.

Podłoga była tu mocno pochyła i to, co spadało z gąbczastego kosza spływało szybko zbierając się w odległym końcu pokoju, w rogu pomiędzy podłogą i ścianą. Tutaj Gundersen znalazł Ziemian. Leżeli obok siebie na niskim materacu. Spływająca ciecz utworzyła wokół nich czarną sadzawkę i przelewała się ponad ich ciałami. Głowa jednego z Ziemian przechyliła się na bok i cała twarz zanurzona była w płynie. Jęki wydawał drugi z leżących.

Oboje byli nadzy. Mężczyzna i kobieta, chociaż trudno było to rozpoznać, byli bowiem tak wychudzeni i wyniszczeni, że ich cechy płciowe stały się niemal niewidoczne. Nie mieli włosów ani nawet brwi. Kości sterczały im przez wysuszoną jak pergamin skórę. Oczy mieli otwarte, ale wzrok nieruchomy, szklany, utkwiony w jeden punkt. W załomach skóry rosły szare algi, a po ich ciałach pełzały grzybiaste stwory.

Gundersen automatycznie, gwałtownym ruchem zrzucił dwa ślimakowate żyjątka z wyschniętych piersi kobiety. Poruszyła się i zajęczała.

— Czy już koniec? — wyszeptała w języku nildorów. Głos jej zabrzmiał jak cichutki śpiew fletu.

— Kim pani jest? — zapytał Gundersen po angielsku. — Jak to się stało?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Grzybowaty ślimak wlazł jej na twarz. Odrzucił go i dotknął jej policzka. Miał wrażenie, że przesuwa palcami po sztywnym, chrzęszczącym papierze. Usiłował ją sobie przypomnieć — wyobrażał sobie czarne włosy na łysej teraz czaszce, lekko łukowate brwi, pełne policzki i uśmiechnięte usta. Ale na nic to się nie zdało: albo zupełnie zapomniał, albo nigdy jej nie widział.

— Czy zaraz się skończy? — zapytała znów w języku nildorów.

Gundersen zwrócił się ku jej towarzyszowi. Delikatnie, bojąc się, by nie złamać kruchej szyi, uniósł jego głowę z kałuży. Wydawało się, jakby mężczyzna oddychał tym płynem — wylewał mu się z nosa i z ust, a po chwili widać było, że nie może poradzić sobie ze zwykłym powietrzem. Gundersen znów zanurzył mu twarz w cieczy, ale przez ten krótki moment rozpoznał go. Był to niejaki Harold — a może Henry? — Dykstra, którego kiedyś, dawno, znał z widzenia.

Nieznajoma kobieta poruszyła ręką, nie miała jednak dość siły, by ją unieść. Oboje wyglądali jak żywe duchy, jak ucieleśniona śmierć, pogrążeni w lepkim płynie, całkowicie bezradni.

— Od jak dawna jesteście w tym stanie? — zapytał w języku nildorów.

— Od wieków — wyszeptała.

— Kim pani jest!

— Nie… pamiętam. Czekam.

— Na co?

— Na… koniec.

— Proszę mnie posłuchać. Nazywam się Edmund Gundersen. Byłem kiedyś zarządcą okręgu. Chcę wam pomóc.

— Proszę mnie zabić. Najpierw mnie, potem jego.

— Przetransportujemy was stąd na lotnisko. Za tydzień albo za dziesięć dni będziecie w drodze na Ziemię i potem…

— Nie… proszę…

— Czemu? Dlaczego nie? — dopytywał się.

— Skończ z tym. Skończ.

Zebrała siły, by wygiąć plecy i unieść się trochę z cieczy, która prawie zakrywała jej dolną część ciała. Coś nagle zafalowało i wybrzuszyło się pod jej skórą. Gundersen dotknął jej napiętego brzucha i poczuł, że coś się tam rusza. Było to przerażające. Dotknął ciała Dykstry i tam w środku, też się coś poruszało.

Niemal sparaliżowany ze strachu podniósł się na nogi i odsunął. W świetle miotacza przyglądał się tym pokurczonym postaciom, z których pozostała skóra i kości, nagim ale bezpłciowym. Nie miały już ani ciała, ani ducha, a jednak wciąż żyły. Ogarnął go przerażający, paraliżujący strach.

— Na-sinisul! — zawołał. — Chodź tutaj! Chodź prędzej! Sulidor zjawił się natychmiast. Stanął obok.

— Coś w nich siedzi — mówił przerażony Gundersen. — Jakieś pasożyty? Ruszają się. Co to jest?

— Spójrz — Na-sinisul wskazał gąbczasty kosz, z którego wyciekał czarny płyn. — Oni noszą w sobie jego potomstwo. Stali się żywicielami: za rok, dwa, a może trzy wyłonią się larwy.

— Przecież do tego czasu oni poumierają.

— Są odżywiani tym — sulidor machnął ogonem nad ciemną kałużą. — Wchłaniają to przez skórę. Ta ciecz odżywia ich wystarczająco, a razem z nimi to co w nich siedzi.

— Weźmiemy ich stąd i przetransportujemy do hotelu rzeką i…

— Umrą — oświadczył Na-sinisul — gdy tylko wydobędzie się ich z tej cieczy. Nie ma żadnej nadziei ocalenia.

— Kiedy to się skończy? — spytała cicho kobieta.

Gundersen zadrżał. Wpajano w niego, by nigdy nie godził się na ostateczność śmierci: dopóki w człowieku tli się iskierka życia, może być uratowany. Z resztek tkanek można odtworzyć kopię oryginału. Na tym świecie nie istniały jednak niezbędne urządzenia. Kręciło mu się w głowie. Nie wiedział, jaką podjąć decyzję. Zostawić ich tu i pozwolić, by obce twory karmiły się ich wnętrznościami? Próbować zabrać ich jakoś na lotnisko i wysłać do najbliższego szpitala?

Zakończyć natychmiast ich mękę? A może postarać się samemu uwolnić ich ciała od tego, co je zżera od wewnątrz? Znów uklęknął. Z najwyższym wysiłkiem opanowując strach i odrazę dotknął brzucha kobiety, jej ud i sterczących bioder. Pod skórą znajdowała się niesamowita, drżąca masa. A jednak umysł kobiety jeszcze pracował. Nieprzytomny mężczyzna był szczęśliwszy, chociaż też leżał zarobaczony. Czy tego oczekiwali, odmawiając kiedyś wyjazdu ze świata, który pokochali? Belzagor może usidlić człowieka, powiedział wielokrotnie narodzony Vol'himyor. Ale to usidlenie, to tutaj, było zbyt dosłowne. Smród rozkładających się ciał mdlił go.

— Zabij ich oboje — zdecydował. — I zrób to prędko.

— Każesz mi to zrobić?

— Zabij ich. I zerwij to ze ściany i też zabij.

— To nie popełniło żadnego przestępstwa — oświadczył sulidor. — Robi to tylko, co jest naturalne. Zabijając tych dwoje pozbawię to potomstwa, ale nie chcę pozbawić go również życia.

— Dobrze — zgodził się Gundersen. — Tylko Ziemian. Szybko.

— Będzie to akt miłosierdzia, wykonany na twój wyraźny rozkaz — stwierdził Na-sinisul.

Pochylił się i wzniósł potężne ramię. Z fałdy skóry wyłoniła się łapa z zakrzywionymi szponami i dwukrotnie zadała cios.

Gundersen zmusił się, by nie odwrócić oczu. Ciała rozłupały się jak suche łupiny. To co było wewnątrz wylazło, nieuformowane, surowe, rozlewające się. Nawet teraz wskutek jakiegoś niepojętego odruchu zwłoki drgnęły i skurczyły się. Gundersen wpatrywał się w nie.

— Słyszycie mnie? — upewniał się zdenerwowany. — Żyjecie, czy jesteście martwi?

Kobieta otworzyła usta, ale nie wydała żadnego głosu. Gundersen nie wiedział, czy był to wysiłek by przemówić, czy tylko ostatni nerwowy skurcz mięśni. Przycisnął mechanizm i z miotacza wytrysnął ogromny płomień. Skierował go na ciemną sadzawkę. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, pomyślał, zmieniając w popiół ciało Dykstry, leżącej koło niego kobiety oraz wijące się larwy. Powstała chmura gryzącego, duszącego dymu.

Zmniejszył płomień i zwrócił się do sulidora.

— Chodź — powiedział. Obaj wyszli.

— Chciałbym spalić ten budynek, całe to miejsce oczyścić ogniem — powiedział Gundersen.

— Wiem.

— Ty byś mnie jednak powstrzymał.

— Mylisz się. Nikt na tym świecie nie powstrzyma cię od uczynienia czegokolwiek.

Na co by się to przydało? — zastanowił się Gundersen.

Oczyszczenie już się dokonało. Usunął z tego miejsca te istoty, które były tu obce.

Deszcz przestał padać. Srin'gahar czekał, by zabrać Gundersena. Dołączyli do czterech pozostałych nildorów i chociaż była już noc, ruszyli w drogę. Zmarnowali tu sporo czasu, a kraj ponownych narodzin był jeszcze daleko. Nad ranem Gundersen usłyszał grzmot Wodospadów Shangri-la, które nildory nazywały Du'jayukh.

IX

Wyglądało to tak, jakby biała ściana wody spadała z nieba. Nic na Ziemi nie dało się porównać z tą kataraktą o trzech progach. Gundersen i jego nildorscy towarzysze zatrzymali się u stóp wodospadów, gdzie cała kaskada rozlewała się w szeroki, otoczony skalnymi ścianami basen. Sulidor pożegnał się z nimi i sam podążył na północ.

Człowiek wykąpał się w basenie, gdzie woda była chłodna i krystalicznie czysta, a potem zaczęli wspinać się w górę.

Położona prawie na szczycie stacja Shangri-la, jeden z najważniejszych posterunków Kompanii, nie była z dołu widoczna. Niegdyś były też stacje u stóp wodospadu i przy środkowej katarakcie, ale z tych budynków nic już nie pozostało — całkowicie pochłonęła je dżungla. Na szczyt wiodła zygzakami kamienista droga. Kiedy Gundersen ujrzał ją po raz pierwszy, sądził, że to dzieło inżynierów wysłanych przez Kompanię, ale potem dowiedział się, że to naturalna grań, którą nildory poszerzyły i pogłębiły, by ułatwić sobie wędrówkę na miejsce ponownych narodzin.

Miarowy rytm wspinaczki ukołysał Gundersena i sen zaczynał mu kleić powieki. Trzymał się kurczowo rogów Srin'gahara i modlił by nie spaść, jeśli się zdrzemnie. W pewnej chwili przebudził się gwałtownie — trzymał się tylko lewą ręką, całe ciało obsunęło się na bok nildora i wisiało nad przynajmniej dwustumetrową przepaścią.

Na godzinę przed zmierzchem osiągnęli szczyt wodospadu. Stacja Shangri-la była na pozór niezmieniona: trzy niejednakowe bloki z ciemnego mieniącego się plastyku i starannie utrzymane ogrody, pełne niezwykłych, tropikalnych roślin. Przy każdym wykuszu budynku była obrośnięta pnączami weranda z widokiem na rzekę. Gundersen poczuł suchość w gardle i sztywność w nogach.

— Jak długo możemy tu pozostać? — spytał Srin'gahara.

— A jak długo byś sobie życzył?

— Dzień, może dwa — nie wiem jeszcze. Zależy, jak zostanę powitany.

— Możemy zrobić krótką przerwę w podróży — oświadczył

nildor. — Ja i moi przyjaciele będziemy obozować w zaroślach. Kiedy uznasz, że nadeszła pora ruszać dalej, przyjdź do nas.

Nildory odeszły, a Gundersen skierował się w stronę stacji. U wejścia do ogrodu zatrzymał się. Drzewa były sękate i pochylone, miały długie, szerokie, pierzaste liście, zwisające do dołu. Górska flora różniła się od roślin na południu, choć i tutaj panowało ustawiczne lato. Z budynku przebłyskiwały światła. Wszystko tutaj wydawało się zdumiewająco uporządkowane i stanowiło ostry kontrast ze

zrujnowaną stacją wężów oraz z koszmarem na stacji grzybowatych ślimaków. Nawet ogród przy hotelu nie był zadbany do takiego stopnia.

Na ścieżce, blokując Gundersenowi drogę, stanęła masywna, dwunożna postać, która wyłoniła się z cienia. Gundersen pomyślał najpierw, że to sulidor, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to tylko robot, prawdopodobnie ogrodnik.

— Człowieku, skąd się tu wziąłeś? — zapytał głębokim głosem.

— Jestem gościem — odparł Gundersen — podróżnikiem, który szuka schronienia na noc.

— Czy kobieta cię oczekuje?

— Z pewnością nie. Będzie jednak chciała mnie zobaczyć. Powiedz jej, że jest tu Edmund Gundersen. Robot popatrzył na niego uważnie.

— Powiem jej. Zostań, gdzie jesteś i niczego nie dotykaj.

Gundersen czekał. Czas płynął. Mrok stawał się głębszy, pojawił się jeden księżyc. Niektóre drzewa w ogrodzie zaczęły świecić. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł mu płynący z oddali odgłos rozmowy nildorów.

Wreszcie robot wrócił.

— Kobieta chce ciebie widzieć. Idź dalej aleją i wejdź do budynku — powiedział.

Gundersen wszedł na stopnie schodów. Na werandzie zauważył dziwne rośliny w doniczkach. Poustawiane byle gdzie jakby czekały na przesadzenie do ogrodu. Niektóre chwiały wąsami i mrugały zachęcająco światełkami, by znęcić upatrzoną ofiarę. Gundersen wszedł do wnętrza, a nie widząc nikogo na dole chwycił sprężystą lianę i znalazł się na werandzie pierwszego piętra.

— Seena? — zawołał.

Była na werandzie, opierała się o poręcz. W świetle dwóch księżyców zobaczył głęboką szczelinę między jej pośladkami i pomyślał, że postanowiła powitać go bez ubrania. Gdy się odwróciła, okazało się jednak, że jakiś dziwny strój okrywa przód jej ciała. Była to jasna, galaretowata masa, bezkształtna, z purpurowymi cętkami i metalowym połyskiem, coś jakby olbrzymia ameba. To coś otaczało jej brzuch i uda. Biodra i ramiona pozostawały nagie. Masa ta była w pewnym stopniu żywa, bo zaczynała rozpływać się, najwyraźniej z własnej woli, wysyłając wypustki, które otoczyły lewe udo i prawe biodro Seeny.

Niesamowitość tego stroju wprawiła go w zdumienie i jakieś zakłopotanie. Sama Seena poza tym wydawała się dawną Seena. Przytyła trochę, jej piersi stały się cięższe, biodra szersze, pozostała jednak w dalszym ciągu atrakcyjną kobietą w kwiecie wieku. Ale dawna Seena nie pozwoliłaby za nic w świecie, by coś tak

dziwacznego dotykało jej skóry.

Nie spuszczała z niego wzroku. Jej lśniące, czarne włosy spadały do ramion, jak niegdyś. Na twarzy nie miała żadnych zmarszczek. Patrzyła mu prosto w oczy, bez zażenowania, stopy mocno opierała o ziemię, ramiona opadały spokojnie, głowę trzymała wysoko uniesioną.

— Sądziłam, że już nigdy tu nie wrócisz, Edmundzie — powiedziała.

Dawniej mówiła zbyt szybko, nerwowo, głosem o ton może nawet zbyt wysokim. Teraz była całkowicie swobodna, a głos jej brzmiał jak doskonale nastrojona wiolonczela.

— Czemu wróciłeś? — spytała.

— To długa historia, Seeno. Sam nawet nie wszystko rozumiem. Mogę zostać tu na noc?

— Ależ naturalnie. Nie musisz pytać!

— Doskonale wyglądasz, Seeno. Spodziewałem się, że pewnie po tylu latach…

— Zrobiła się ze mnie stara baba?

— Ach, nie!

Spojrzał jej w oczy i przeraził się: były zimne, nieruchome, szklane. Przypomniało mu to ten straszny wyraz oczu Dykstry i jego towarzyszki.

— Ja… właściwie nie wiem, czego się spodziewałem.

— Z tobą także czas dobrze się obszedł, Edmundzie. Masz teraz twarz bardziej surową, w ciągu tych lat zgubiłeś młodzieńczą miękkość, stałeś się stuprocentowym mężczyzną. Nigdy nie wyglądałeś lepiej.

— Dziękuję ci.

— Nie pocałujesz mnie? — spytała.

— O ile mi wiadomo, jesteś mężatką.

Drgnęła i zacisnęła jedną pięść. To, co miała na sobie, również zareagowało, barwa jego pociemniała i wypuściło drugi pseudokokon.

— Gdzie się o tym dowiedziałeś?

— Na wybrzeżu. Van Beneker powiedział, że wyszłaś za mąż za Jeffa Kurtza.

— Tak, wkrótce potem, jak wyjechałeś.

— Rozumiem. On jest tutaj? Zignorowała pytanie.

— Nie chcesz mnie pocałować? A może masz zasady zabraniające całowania żon innych mężczyzn?

Zmusił się do uśmiechu. Niezręcznie, z zakłopotaniem, pochylił się, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Starał się pocałować ją w usta, ale tak, by w żaden sposób nie dotknąć ameby. Uchyliła się od pocałunku.

— Czego się obawiasz? — spytała.

— Denerwuje mnie to, co masz na sobie — wyznał Gundersen.

— Oślizgacz?

— Jeśli tak to się nazywa.

— Tak to nazywają sulidory — oznajmiła Seena. — Pochodzi z centralnego płaskowyżu. Przywiera do wielkich ssaków i żyje dzięki metabolizmowi potu. Czy to nie wspaniałe?

— Sądziłem, że nie znosisz płaskowyżu — zauważył.

— Och, to było tak dawno. Od tego czasu byłam tam wiele razy. Z ostatniej podróży przywiozłam oślizgacza. To taki pieszczoszek, a poza tym, można się w niego ubrać. Spójrz.

Lekko dotknęła zwierzęcia i zaczęło zmieniać kolory: ukazała się cała gama — od fioletów, kiedy się rozszerzało, do czerwieni, kiedy się kurczyło. W pewnym momencie utworzyła się cała tunika okrywająca Seenę od szyi do kolan.

Gundersen miał wrażenie, że jest tam coś ciemnego, pulsującego jak serce, że to spoczywa tuż nad jej lędźwiami, że przykrywa jej łono — może był to ośrodek nerwowy tego tworu.

— Czemu czujesz do niego odrazę? — zapytała. — Tutaj, połóż tu rękę.

Nie poruszył się. Ujęła go za dłoń i dotknęła nią swego boku. Poczuł chłodną, suchą powierzchnię oślizgacza. Zdziwił się, że nie było to nic lepkiego i oślizgłego. Seena przesunęła jego rękę ku górze, aż spoczęła ona na ciężkiej piersi. Oślizgacz natychmiast się skurczył, pozostawiając pod jego palcami ciepłe i jędrne, nagie ciało. Przez moment pieścił je, ale skrępowany cofnął rękę. Sutki Seeny stwardniały, jej nozdrza rozdęły się.

— Ten oślizgacz jest bardzo interesujący — stwierdził Gundersen. — Ale nie podoba mi się, że jesteś w niego ubrana.

— Doskonale — powiedziała i dotknęła w dole brzucha, tam gdzie znajdowało się jakby serce tego organizmu. Oślizgacz skulił się, spłynął po jej nogach i odpełznął w daleki kąt werandy.

— Teraz lepiej? — zapytała Seena, naga, lśniąca od potu. z wilgotnymi wargami.

Gruboskórność i pospolitość tej próby zbliżenia zaskoczyła go. Ani on, ani ona nie byli nigdy przesadnie wstydliwi, jednak ta świadoma agresywność nie zgadzała się w jego pojęciu z jej charakterem. Co prawda niegdyś byli kochankami, a nawet przez parę miesięcy żyli jak małżeństwo, jednak dwuznaczność ich rozstania powinna była zniszczyć tę intymność. Nawet nie biorąc pod uwagę jej małżeństwa z Kurtzem, sam fakt. że nie widzieli się przez kilka lat. wydawał mu się dostatecznym powodem do bardziej stopniowego powrotu. Uważał, że jej pragnienie poddania mu się już w parę minut po jego niespodziewanym przybyciu jest łamaniem nie tyle zasad moralnych, co estetycznych.

— Włóż coś na siebie — powiedział spokojnie. — Ale nie

oślizgacza. Nie mogę spokojnie rozmawiać, kiedy kusisz mnie swymi wdziękami.

— Biedny konwencjonalny Edmund. No, dobrze. Jadłeś kolację?

— Nie.

— Każę, by nam tu podano. I drinki. Zaraz wrócę.

Weszła do wnętrza domu. Oślizgacz pozostał na werandzie. Podsunął się nieśmiało do Gundersena, jakby proponował, że na chwilę przylgnie do niego. Ten jednak spojrzał na niego w taki sposób, że stworzenie czym prędzej umknęło. Wszedł robot z tacą, na której były dwa złociste cocktaile. Jeden napój podał Gundersenowi, a drugi postawił na poręczy i oddalił się bezszelestnie. Wróciła Seena, ubrana w miękką, szarą koszulową sukienkę, sięgającą poza kolana.

— Lepiej? — zapytała.

Trącili się szklankami, uśmiechnęła się. Podnieśli napój do ust.

— Pamiętałaś, że nie lubię pić przez słomkę.

— Niewiele zapomniałam, Edmundzie.

— Powiedz mi, jak tu się żyje?

— Spokojnie. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że takie może być moje życie. Dużo czytam, pomagam robotom pielęgnować ogród, czasem są tu goście, czasem sama podróżuję. Ale często zdarzają się całe tygodnie, kiedy nie widzę żadnej innej istoty ludzkiej.

— A co z twoim mężem?

— Mijają tygodnie i nie widzę żadnej istoty ludzkiej — powtórzyła Seena.

— Jesteś tu sama? Ty i roboty?

— Zupełnie sama.

— Ale chyba bywają tu dość często inni ludzie z Kompanii?

— Niektórzy tak. Mało nas już zresztą pozostało — oznajmiła Seena. — Sądzę, że mniej niż sto osób. Jakieś sześć osób na Morzu Piasku, Van Beneker w hotelu, cztery lub pięć osób w stacji nad starą rozpadliną i tak dalej — małe grupki Ziemian porozrzucane daleko od siebie. Odbywają się oczywiście spotkania towarzyskie, ale raczej rzadko.

— Czy tego pragnęłaś, kiedy postanowiłaś tutaj zostać?

— zapytał Gundersen.

— Nie wiedziałam, czego pragnęłam, poza tym. że chciałam zostać. Zrobiłabym to jeszcze raz, wiedząc nawet to wszystko, co wiem teraz. Zrobiłabym to samo.

— W stacji na południe stąd — powiedział — widziałem Harolda Dykstrę…

— Nazywa się Henry Dykstra.

— Henry. I kobietę, której nie znałem.

— Pauleen Mazor. Pracowała w urzędzie celnym, gdy była tu Kompania. Henry i Pauleen to moi najbliżsi sąsiedzi. Ale już od lat ich

nie widziałam. Nigdy nie wypuszczam się na południe od wodospadów, a i oni tu nie przyjeżdżają.

— Oni nie żyją, Seeno.

— Och?

— To był koszmar. Pewien sulidor zaprowadził mnie do nich. Stacja była w ruinie: wszędzie pleśń i grzybowate ślimaki, a w nich coś się wylęgało, larwy jakiegoś gąbczastego tworu w kształcie koszyka… który przyczepiony był do ściany i ściekał z niego czarny, tłusty płyn…

— Zdarzają się tu takie rzeczy — spokojnie stwierdziła Seena. — Prędzej czy później, ta planeta usidla każdego, chociaż każdego w inny sposób.

— Dykstra był nieprzytomny, a ta kobieta błagała, by położyć kres jej męczarniom i…

— Powiedziałeś, że byli martwi.

— Nie wtedy, gdy tam przybyłem. Powiedziałem sulidorowi, żeby ich zabił. Nie było żadnej nadziei ocalenia ich. On ich porozłupywał, a ja spaliłem.

— My też musieliśmy to zrobić dla Gia Salamone — powiedziała Seena. — Mieszkał w Fire Point. Pojechał kiedyś na Pustynię Piasku, skaleczył się i do rany dostał mu się jakiś krystaliczny pasożyt. Kiedy Kurtz i Ced Cullen znaleźli go, cały składał się z sześciennych i graniastosłupowych najpiękniejszych tęczowych minerałów, które wyrzynały mu się przez skórę. I wciąż żył. Ale już tylko chwilę. Jeszcze jednego drinka?

— Tak, proszę.

Wezwała robota. Było zupełnie ciemno i wszedł trzeci księżyc.

— Taka jestem szczęśliwa, że się dziś zjawiłeś, Edmundzie — odezwała się cichym, niskim głosem Seena. — Cudowna niespodzianka.

— Kurtza nie ma w domu?

— Nie — odpowiedziała. — Nie ma go i nie wiem, kiedy wróci.

— Jak on się czuje żyjąc tutaj?

— Sądzę, że jest zupełnie szczęśliwy, mówiąc ogólnie. To oczywiście bardzo dziwny człowiek.

— Tak, dziwny — przyznał Gundersen.

— Ma pewne cechy świętości, tak mi się wydaje.

— Byłby to ciemny i zimny święty, Seeno.

— Niektórzy święci tacy są. Nie wszyscy muszą być świętymi Franciszkami z Asyżu.

— Czy okrucieństwo jest pożądanym rysem świętości?

— Kurtz widział w okrucieństwie dynamiczną siłę. Stał się mistrzem okrucieństwa.

— Takim też był Markiz de Sade, ale nikt go nie kanonizował.

— Wiesz, co mam na myśli — zaprotestowała. — Kiedyś rozmawialiśmy o Kurtzu i nazwałeś go upadłym aniołem. To bardzo właściwe określenie. Widziałam go pomiędzy nildorami, jak z nimi tańczył. Przychodziły do niego i dosłownie czciły go, a on rozmawiał z nimi i pieścił je. A równocześnie robił rzeczy, które były dla nich zgubne, ale one to uwielbiały.

— Jakie zgubne rzeczy?

— Mniejsza o to. Nie sądzę, byś to pochwalał… Dawał im… czasem… narkotyki.

— Jad wężów?

— Czasami.

— Gdzie on teraz jest? Znów zabawia się z nildorami?

— Od pewnego czasu jest niezdrów. Wszedł robot i podał kolację. Gundersen skrzywił się na widok dziwnych jarzyn na swoim talerzu.

— Możesz jeść bez obawy — zapewniła Seena. — Uprawiam je sama w warzywniku. Zrobiła się ze mnie ogrodniczka.

— Nie przypominam sobie żadnej z tych jarzyn.

— Pochodzą z płaskowyżu.

— Kiedy pomyślę, jakie obrzydzenie budził w tobie płaskowyż — Gundersen pokręcił głową — jaki wydawał ci się dziwny i odrażający wtedy, gdy musieliśmy tam lądować przymusowo…

— Byłam wtedy bardzo młoda. Kiedy to było, jedenaście lat temu? Wkrótce potem, jak ciebie poznałam. Miałam zaledwie dwadzieścia lat. Na Belzagorze trzeba pokonać to, co cię przeraża, inaczej sam zostaniesz pokonany. Pojechałam znów na płaskowyż. I jeszcze raz, i następny. Przestał być dla mnie obcy i przestał mnie przerażać. A potem go pokochałam. Sprowadziłam stamtąd wiele roślin i zwierząt, aby tu ze mną żyły. Ten obszar tak bardzo różni się od reszty planety — odcięty od wszystkiego, zupełnie inny.

— Jeździłaś tam z Kurtzem?

— Czasami. A czasem z Cedem Cullenem. Ale najczęściej sama.

— Cullen — powiedział Gundersen. — Często go widujesz?

— O, tak. On, Kurtz i ja tworzyliśmy rodzaj „trójkąta". To nieomal mój drugi mąż, w znaczeniu duchowym oczywiście. Fizycznie też, niekiedy, ale to bez znaczenia.

— Gdzie jest teraz Cullen? — zapytał, patrząc uparcie w jej surowe, błyszczące oczy.

Zachmurzyło się. — Na północy. W Krainie Mgieł.

— Co on tam robi?

— Idź i sam go spytaj! — odpowiedziała zniecierpliwiona.

— Tak tylko chcę wiedzieć — Gundersen starał się mówić lekko. — Prawdę mówiąc, sam jadę do Krainy Mgieł, a tu zatrzymałem się po drodze, ze względów sentymentalnych. Podróżuję z pięcioma nildorami, które zdążają na ponowne narodziny. Rozłożyły się na

legowisko gdzieś w zaroślach.

Otworzyła butelkę szarozielonego ziołowego wina i nalała mu.

— Czemu chcesz jechać do Krainy Mgieł? — spytała z wymuszonym uśmiechem.

— Z ciekawości. Myślę, że tymi samymi motywami kierował się Cullen, kiedy tam pojechał.

— Nie sądzę, by jego motywem była ciekawość.

— A cóż innego? Może zechcesz mi wyjaśnić.

— Raczej nie — oświadczyła krótko.

Rozmowa urwała się i zapadło milczenie. Pomyślał, że trudno będzie coś z niej wydobyć. Ten jej nowy spokój mógł doprowadzić do szaleństwa. Mówiła mu tylko to, co uważała za właściwe. Bawiła się nim. Miał wrażenie, że cieszyło ją brzmienie jej własnego ciepłego kontraltu, rozlegającego się w nocnej ciszy. To nie była ta Seena, którą znał. Kochana przez niego dziewczyna była pogodna i silna, a nie przebiegła i skryta. Kiedyś otaczała ją aura niewinności, która teraz zupełnie się rozwiała.

— Wzeszedł czwarty księżyc? — spytał zdumiony.

— Tak. Naturalnie. Czy to takie dziwne?

— Rzadko widuje się cztery, nawet pod tą szerokością.

— Zdarza się przynajmniej cztery razy w ciągu roku. Zaczekaj ze swym zachwytem, bo za chwilę wypłynie piąty.

— To dzisiaj jest ta noc? — Gundersenowi zaparło dech.

— Tak, Noc Pięciu Księżyców.

— Nikt mi nie powiedział!

— Może nie pytałeś?

— Dwa razy ominęła mnie, bo byłem w Fire Point. Jednego roku pływałem po morzu, a raz znajdowałem się w południowym kraju mgieł, wtedy, gdy spadł helikopter. I tak się zawsze jakoś składało. Udało mi się tylko raz, właśnie tutaj, Seeno, dziesięć lat temu, z tobą. Wtedy wydawało się, że wszystko zapowiada się dla nas jak najlepiej. No i żeby właśnie teraz znaleźć się tu przypadkowo!

— Myślałam, że zaaranżowałeś to celowo. Aby uczcić tamtą rocznicę.

— Nie, nie. To czysty przypadek.

— W takim razie szczęśliwy przypadek.

— Kiedy wzejdzie piąty księżyc?

— Za jakąś godzinę.

Obserwował cztery jasne punkty płynące po niebie. Tak długo tu nie był, że zapomniał, w którym miejscu powinien pojawić się piąty księżyc.

Seena znów napełniła mu szklankę. Skończyli już jedzenie.

— Przepraszam cię — powiedziała. — Zaraz wrócę.

Pozostał sam. Patrzył na niebo i starał się pojąć tę dziwnie

odmienioną Seenę, tę tajemniczą kobietę, której ciało stało się jeszcze bardziej godne pożądania, a dusza zmieniła się w kamień. Teraz wiedział, że ten kamień był w niej cały czas: kiedy rozstawali się, na przykład, on postanowił powrócić na Ziemię, a ona absolutnie nie chciała opuścić Belzagoru. Kocham cię, mówiła, i zawsze będę kochała, ale pozostanę tutaj. Dlaczego? Dlaczego? Ponieważ chcę zostać, odpowiedziała mu. Ii została. A on był również uparty i wyjechał bez niej. Spali razem na plaży koło hotelu tej ostatniej nocy przed jego wyjazdem. Czuł ciepło jej ciała jeszcze wtedy, gdy wsiadł na statek, który uniósł go w przestworza. Kochała go i on ją kochał, ale rozstawali się, gdyż on nie widział przyszłości w tym świecie, a ona widziała ją tylko tu. I wyszła za mąż za Kurtza. I zbadała cały nieznany płaskowyż. I mówiła teraz nowym, głębokim głosem; pozwalała, by jakaś ameba otulała jej uda i wzruszyła tylko ramionami na wiadomość, że dwoje Ziemian w pobliżu poniosło potworną śmierć. Czy wciąż była to Seena?

Poprzez ciemność przebijały się głosy nildorów. Gundersen słyszał też gdzieś blisko jakiś obcy dźwięk: zduszone parskanie i chrząkanie. Wydawało mu się, że to płacz z bólu, chociaż była to pewnie tylko imaginacja. Zapewne któreś ze stworzeń Seeny sprowadzonych z płaskowyżu niuchało w ogrodzie, szukając smacznych korzonków. Usłyszał ten głos jeszcze dwa razy.

Czas płynął a Seena nie wracała.

I nagle ujrzał piąty księżyc wschodzący na niebo. Był on wielkości dużej srebrnej monety i tak jasny, że wręcz oślepiał. Cztery pozostałe księżyce zdawały się tańczyć wokół niego. Cienie wokół budynku i w ogrodzie drżały, zmieniały się, a z nieba lały się strumienie zimnego światła. Gundersen uchwycił poręcz werandy i bezgłośnie błagał księżyce, by tak trwały. Wiedział jednak, że za godzinę dwa z nich zajdą i czar zniknie. Gdzie była Seena?

— Edmundzie? — odezwała się nagle, stojąc za nim.

Była znów naga i znowu oślizgacz otulał jej ciało przykrywając uda i wysyłając długie, wąskie wyrostki, które zakrywały jedynie sutki jej dojrzałych piersi. Światło pięciu księżyców sprawiało, że jej opalona skóra błyszczała i lśniła. Teraz nie wydawała mu się ani gruboskórna, ani agresywna. Była w swej nagości doskonała, także i moment był doskonały, bez wahania więc podszedł do niej. Szybko zrzucił ubranie. Położył ręce na jej biodrach, dotykając oślizgacza, a to dziwne stworzenie zrozumiało i posłusznie zsunęło się z jej ciała. Pochyliła się ku niemu, jej pełne piersi kołysały się jak dzwony, pocałował ją, całował wszędzie, i opuścili się na podłogę werandy, na zimne gładkie kamienie.

Oczy miała otwarte, zimniejsze niż podłoga, zimniejsze niż światło księżyców — nawet w chwili, kiedy w nią wchodził.

W jej uściskach jednak nie było chłodu. Ciała ich splotły się i zmagały ze sobą. Jej skóra była jedwabista, a pocałunki głodne. Wszystkie te lata gdzieś odpłynęły i znów był tamten szczęśliwy czas. W momencie najwyższego uniesienia znów usłyszał dziwne chrząknięcie. Zawarł ją w gorącym uścisku zapamiętania i zamknął oczy.

Potem leżeli koło siebie, bez słowa, w blasku księżyców, aż brylantowy piąty księżyc zakończył swą wędrówkę po niebie i Noc Pięciu Księżyców stała się taka, jak każda inna noc.

X

Spał sam w pokoju gościnnym na najwyższej kondygnacji budynku. Zbudził się niespodziewanie wcześnie, patrzył, jak słońce wstawało nad wąwozem, a potem zszedł, by przejść się po ogrodach. Była jeszcze rosa. Zawędrował aż nad brzeg rzeki. Rozglądał się za nildorami, ale nigdzie ich nie było widać. Przez dłuższą chwilę stał nad rzeką, patrząc jak przewalają się ogromne masy wody. Wreszcie wrócił do domu.

W świetle poranka ogród Seeny wydał mu się mniej złowieszczy. Nawet rośliny i zwierzęta pochodzące z płaskowyżu miały wygląd tylko dziwny, ale nie groźny: każda strefa geograficzna na tej planecie posiadała swą własną, typową faunę i florę i to wszystko. Nie było winą stworzeń z płaskowyżu, że człowiek czuł się wśród nich nieswojo.

Na pierwszej werandzie spotkał go robot i zaproponował śniadanie.

— Poczekam na kobietę — oznajmił mu Gundersen.

— Przyjdzie dopiero później.

— Dziwne. Nigdy nie sypiała tak długo.

— Jest z mężczyzną — wyjaśnił robot. — O tej godzinie zawsze jest z nim i pociesza go.

— Z jakim mężczyzną?

— Z mężczyzną Kurtzem. Jej mężem.

— To Kurtz jest tutaj, w tej stacji? — zdumiał się Gundersen.

— Leży chory w swoim pokoju.

A mówiła, że jest gdzieś daleko — myślał Gundersen. Że nie wie, kiedy wróci.

— Czy był w swoim pokoju wczoraj w nocy? — spytał Gundersen.

— Był.

— Kiedy powrócił do domu ze swej ostatniej podróży?

— Rok minie na przesilenie dnia z nocą — odparł robot. — Może powinieneś o to popytać kobietę. Wkrótce będzie z tobą. Czy mam przynieść śniadanie?

— Tak — zdecydował Gundersen.

Seena jednak nie pokazywała się długo. Dopiero po dziesięciu minutach, gdy skończył już soki, owoce i smażoną rybę, pojawiła się na werandzie, otulona przezroczystym białym zwojem, przez który widoczne były kontury jej ciała. Wyglądała na wyspaną, skórę miała gładką i lśniącą, szła żywym krokiem, a jej czarne, bujne włosy targał poranny wiatr. Dziwnie jednak surowy, nieugięty wyraz jej oczu pozostał niezmieniony i kłócił się z niewinnością nowego dnia.

— Robot powiedział mi — odezwał się Gundersen — żebym nie

czekał na ciebie ze śniadaniem. Mówił, że tak wcześnie nie zejdziesz.

— Słusznie. Zwykle nie schodzę o tej godzinie, to prawda. Pójdziemy popływać?

— W rzece?

— Nie, głuptasie! — Zerwała z siebie okrycie i zbiegła po schodach do ogrodu. Gundersen siedział chwilę jak zaklęty, oczarowany rytmicznym ruchem jej ramion, kołysaniem się pośladków. Potem poszedł za nią. Na zakręcie ścieżki, którego dotychczas nie zauważył, skręciła w lewo i zatrzymała się przy kolistym zbiorniku wody, wyżłobionym w skale. Gdy stanął przy niej, skoczyła pięknym łukiem do wody. Kiedy wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza, Gundersen — już nagi — wskoczył do basenu. Woda, nawet w tym ciepłym klimacie, była przeraźliwie zimna.

— Tutaj bije podziemne źródło — wyjaśniła. — Czy to nie cudowne? Jak rytualne oczyszczenie.

Z wody, tuż za nią, wysunęła się długa, szara macka, zakończona mięsistymi szponami. Gundersen nie wiedział, jak ją ostrzec — pokazywał ręką i wydawał krótkie okrzyki przerażenia. Druga macka wyłoniła się z głębiny i zawisła nad nim. Seena odwróciła się i zdumionemu Gundersenowi wydawało się, że pieści jakieś ogromne stworzenie: potem woda zakotłowała się i obie macki zniknęły.

— Co to było?

— Potwór sadzawki — powiedziała z uśmiechem. — Ced Cullen dał mi to w prezencie urodzinowym dwa lata temu. To meduza z płaskowyżu.

— Jakie to ma rozmiary?

— Och, jak wielka ośmiornica. Jest bardzo uczuciowa. Chciałam, żeby Ced sprowadził dla niej małżonka, ale nie zrobił tego i pojechał na północ, chyba więc będę musiała sama tym się zająć, bo ona jest taka samotna.

Wyszła z wody i rozciągnęła się na płycie gładkiej, czarnej skały, by wyschnąć na słońcu. Gundersen pospieszył za nią. Z tego miejsca widział w wodzie oświetlonej promieniami słońca ogromny masywny kształt z wieloma mackami. Urodzinowy prezent dla Seeny.

— Czy możesz mi powiedzieć gdzie, teraz znajdę Ceda? — zapytał.

— W Krainie Mgieł.

— Tyle już wiem, ale to ogromny kraj. W którym miejscu? Przewróciła się na plecy i podgięła kolana. Kropelki wody na jej piersiach migotały tęczowo w słońcu.

— Dlaczego tak bardzo chcesz go odszukać? — odezwała się po dłuższym milczeniu.

— Odbywam sentymentalną podróż, by zobaczyć starych przyjaciół. Ced i ja żyliśmy kiedyś bardzo blisko. Czy to

niewystarczający powód, żeby go odszukać?

— Ale nie jest to powód, żeby go zdradzić. Spojrzał na nią. Zawzięte oczy były zamknięte, pagórki piersi wznosiły się i opadały równomiernie, spokojnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

— Czy to przypadkiem nie nildory wysłały cię za nim?

— Cóż za głupstwa opowiadasz?! — wybuchnął, ale nie brzmiało to przekonywująco nawet dla niego samego.

— Dlaczego musisz udawać? — słowa jej płynęły z głębi nieprzeniknionej pewności siebie. — Nildory chcą go stamtąd wydostać, ale postanowienia traktatu zabraniają im go zabrać. Sulidory nie bardzo chcą się zgodzić na ekstradycję i na pewno żaden z żyjących tutaj Ziemian nie wyda go. Ty, jako obcy, musisz mieć zezwolenie nildorów na podróż do Krainy Mgieł. A ponieważ nie jesteś z tych, co łamią przepisy, na pewno zwróciłeś się o takie zezwolenie. Nildory zaś nie wyświadczają grzeczności za darmo… Mam rację?

— Kto ci to wszystko powiedział?

— Sama do tego doszłam. Wierz mi.

Wyciągnął rękę i dotknął z podziwem jej uda. Skórę miała teraz ciepłą i suchą. Ręka jego spoczywała lekko, a potem przycisnął jędrne ciało. Seena nie reagowała.

— Czy już za późno, żebyśmy zawarli traktat? — zapytał miękko.

— A jakiego rodzaju?

— Pakt o nieagresji. Walczymy od chwili, gdy tu przybyłem. Zrzućmy tę wrogość. Ja różne rzeczy ukrywam przed tobą. a ty przede mną. Na co to się przyda? Czy nie moglibyśmy po prostu pomóc sobie nawzajem? Jesteśmy istotami ludzkimi na świecie, który jest bardziej niesamowity i niebezpieczny niż większość ludzi podejrzewa. Jeśli nie potrafimy udzielić sobie pomocy i wsparcia, to co warte są w ogóle więzi międzyludzkie?

Zaczęła spokojnie recytować:

„O, ukochany, bądźmy sobie wierni.
Ten świat przed nami, jak marzeń kraina —
Świat piękny, nowy i taki bezmierny,
A nie zna przecież pokoju, miłości,
Nie zna radości, ukojenia w bólu,
Nie znajdziesz tutaj światła ni pewności."

Słowa starego poematu wypłynęły z mroku pamięci… Zaczął mówić dalej:

„Strach nas ogarnia, szukamy pomocy,
Bo toczy się walka… "

— walka… walka…?

— *„… okrutna, zażarta…*
Dwie obce armie ścierają się w nocy. "-Dokończyła za niego. — Tak.

Jakie to do ciebie podobne, Edmundzie, w decydującym momencie zapominasz o najważniejszych słowach.

— A więc nie zawrzemy paktu o nieagresji?

— Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. — Odwróciła się od niego, ujęła jego rękę i położyła sobie na piersiach. Musnęła ją wargami. — Masz rację. Graliśmy wobec siebie, ale już z tym koniec. Teraz będziemy mówić tylko prawdę. Ty pierwszy — czy nildory kazały ci sprowadzić Ceda Cullena z Krainy Mgieł?

— Tak — odparł Gundersen. — Był to warunek tej podróży.

— I zgodziłeś się na to?

— Wysunąłem pewne zastrzeżenia i ograniczenia, Seeno: gdyby nie chciał pójść dobrowolnie, nie mam obowiązku go zmuszać. Ale muszę go przynajmniej odszukać. Tyle obiecałem. Proszę cię więc jeszcze raz, żebyś mi powiedziała, gdzie mam go szukać.

— Nie wiem — powiedziała. — Nie mam pojęcia. Może być wszędzie.

— Czy to prawda?

— Niestety prawda — powiedziała i na moment oczy jej straciły zimny i twardy wyraz, a głos zabrzmiał jak głos kobiety, a nie jak wiolonczela.

— Może przynajmniej powiesz mi, czemu uciekł i dlaczego tak im zależy, by go odnaleźć?

— Jakiś rok temu — powiedziała po chwili — udał się na płaskowyż centralny, aby jak zwykle zbierać różne okazy. Miał zamiar zdobyć dla mnie drugą meduzę. Tak mi obiecywał. Najczęściej wybierałam się razem z nim, ale tym razem Kurtz był chory i musiałam zostać. Ced zawędrował na tę część płaskowyżu, na której nigdy dotychczas nie był i spotkał tam grupę nildorów uczestniczących w jakiejś ceremonii religijnej. Wszedł pomiędzy nie i najwidoczniej musiał dokonać profanacji.

— Czy to był rytuał ponownych narodzin? — spytał Gundersen.

— Nie, ponowne narodziny mogą się odbywać tylko w Krainie Mgieł. Było to coś innego, ale, zdaję się, coś równie ważnego. Nildory były wściekłe. Ced ledwo zdołał ujść z życiem. Wrócił tu i powiedział, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie, że nildory ściągają go, bo popełnił jakieś świętokradztwo i musi szukać azylu. Udał się na północ, a nildory goniły go aż do granicy. Od tamtego czasu nic o nim nie słyszałam. Nie mam żadnego kontaktu z Krainą Mgieł. Więcej nic ci nie mogę powiedzieć.

— Nie powiedziałaś mi, jakie to świętokradztwo popełnił

— zauważył Gundersen.

— Nie wiem. Nie wiem, jakie to były obrzędy i nie wiem co zrobił, że je zakłócił. Powtórzyłam ci to, co sam mi powiedział. Wierzysz?

— Wierzę — powiedział i uśmiechnął się. — Teraz zagramy w inną grę i tym razem ja przejmę prowadzenie. Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi, że Kurtz jest w podróży, że nie widziałaś go od dłuższego czasu i że nie wiesz, kiedy wróci. Mówiłaś też, że chorował, ale szybko zmieniłaś temat. Dzisiaj rano robot, który przyniósł mi śniadanie, zawiadomił mnie, że przyjdziesz później, ponieważ Kurtz jest chory i jesteś z nim w jego pokoju, tak jak zwykle. Roboty przecież nie kłamią.

— Ten robot też nie kłamał. Byłam tam.

— Dlaczego?

— By osłonić go przed tobą. Jest w bardzo złym stanie — mówiła Seena — i nie chcę, by go niepokojono. Wiedziałam, że gdybym powiedziała ci, że jest w domu, chciałbyś go zobaczyć. On nie ma dość siły na przyjmowanie gości. Było to niewinne kłamstwo, Edmundzie.

— Co mu jest?

— Nie wiemy na pewno. Widzisz, niewiele udogodnień medycznych pozostało na tej planecie. Mam oczywiście diagnostat, ale tym razem nie dał on wystarczających informacji. Myślę, że mogłabym opisać jego chorobę, jako rodzaj raka. Tylko, że to nie jest rak.

— Możesz mi opisać symptomy tej choroby?

— Na co to się zda? Ciało jego zaczęło się zmieniać. Stał się czymś dziwnym, ohydnym i przerażającym. Nie musisz znać szczegółów. Jeśli uważasz, że to co stało się z Dykstra i Pauleen było straszne, dopiero byłbyś wstrząśnięty do głębi widząc Kurtza. Ale na to ci nie pozwolę. Tak samo muszę chronić ciebie przed nim, jak i jego przed tobą. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli go nie ujrzysz.

Seena usiadła na kamieniu, skrzyżowała nogi i zaczęła rozczesywać mokre, zmierzwione włosy. Gundersen pomyślał, że nigdy nie była tak piękna, jak w tej chwili, przyodziana jedynie w promienie słońca. Była tylko jedna plama na tym obrazie — zimna zawziętość w jej oczach. Czy powstała dlatego, że każdego dnia patrzyła na tę potworną rzecz, którą stał się teraz Kurtz?

— Kurtz został ukarany za swoje grzechy — powiedziała Seena po długiej chwili.

— Czy rzeczywiście w to wierzysz?

— Tak, wierzę — odparła. — Wierzę, że istnieją grzechy i że jest pokuta za grzechy.

— I że gdzieś wysoko na niebie siedzi starzec z siwą brodą i zapisuje każdemu jego złe uczynki — tu cudzołóstwo, tam kłamstwo, tu obżarstwo, a tam pycha? Że rządzi światem?

— Nie mam pojęcia, kto rządzi światem — stwierdziła Seena. — I czy w ogóle ktokolwiek nim rządzi. Zrozum mnie dobrze, Edmundzie: nie usiłuję przenosić średniowiecznej teologii na Belzagor. Nie będę twierdziła, że w całym wszechświecie obowiązują te same

fundamentalne zasady. Mówię po prostu, że tu, na Belzagorze, żyjemy wobec pewnego moralnego absolutu, właściwego dla tej planety i jeżeli ktoś obcy pojawi się na Belzagorze i ten absolut pogwałci, będzie tego żałował. To nie jest nasz świat, nigdy nim nie był i nigdy nie będzie. My, którzy tu żyjemy, jesteśmy w stanie stałego zagrożenia, bo nie rozumiemy panujących zasad.

— Jakie grzechy popełnił Kurtz?

— Cały dzień musiałabym je wyliczać — odparła. — Niektóre grzechy popełnił przeciwko nildorom, a niektóre przeciw własnej duszy.

— Wszyscy mamy na sumieniu grzechy przeciwko nildorom — stwierdził Gundersen.

— W pewnym sensie, tak. Jesteśmy durni i głupi i nie chcemy widzieć ich takimi, jakimi są, i wykorzystujemy je niemiłosiernie. To jest, oczywiście grzech. Grzech, jaki nasi przodkowie popełniali na całej Ziemi na długo przedtem, zanim opanowaliśmy Kosmos. Kurtz jednak miał większe możliwości popełniania grzechów niż reszta z nas — był bowiem większy w swym człowieczeństwie. Aniołowie spadają z bardzo wysoka, kiedy przyjdzie upadek.

— Co robił Kurtz z nildorami? Zabijał je? Krajał na sztuki? Bił?

— To są grzechy przeciwko ich ciałom — powiedziała Seena. — Robił gorzej.

— Co takiego? Powiedz.

— Czy wiesz, co działo się na stacji wężów położonej na południe od lotniska międzyplanetarnego?

— Byłem tam przez parę tygodni z Kurtzem i Salamone — rzekł Gundersen. — Dawno temu, kiedy byłem tu jeszcze „nowy", a ty byłaś małą dziewczynką na Ziemi. Obserwowałem, jak oni obaj wabili węże z dżungli, pobierali ich jad i dawali go do picia nildorom. I sami też pili.

— I co się wtedy działo?

Potrząsnął głową. — Nigdy nie byłem w stanie tego zrozumieć. Gdy kiedyś razem z nimi spróbowałem, miałem wrażenie, że wszyscy trzej zmieniliśmy się w nildory, a trzy z nich zmieniły się w nas. Miałem trąbę, cztery nogi, kły i grzebień. I wszystko wyglądało inaczej, bo patrzyłem oczami nildora. Potem skończyło się i znów byłem we własnym ciele, ale miałem straszne poczucie winy i wstydu. Nie miałem sposobu, by przekonać się, czy to była rzeczywiście metamorfoza cielesna, czy tylko halucynacja.

— Halucynacja — stwierdziła Seena. — To jad sprawił, że otworzyłeś swój umysł i duszę i wniknąłeś w świadomość nildora, a w tym samym czasie nildor wnikał w twoją świadomość. Przez chwilę nildor uważał się za Edmunda Gundersena. To dla nildora ekstatyczne przeżycie.

— A więc na tym polegał grzech Kurtza? Że wprowadzał nildory w ekstazę?

— Jad wężów — wyjaśniała dalej Seena — jest również używany w ceremonii powtórnych narodzin. To co robiliście ty, Kurtz i Salamone w dżungli, to była marna, bardzo marna imitacja ponownych narodzin. Nildory w tym uczestniczyły, ale dla nich to odrodzenie było świętokradztwem i to z wielu powodów. Po pierwsze — odbywało się w niewłaściwym miejscu. Po drugie — nie były dokonane właściwe obrzędy. Po trzecie — celebrantami byli ludzie, a nie sulidory, i w ten sposób cała historia stawała się parodią najświętszego aktu, jaki odbywa się na tej planecie. Dając nildorom jad, Kurtz sprawiał, że uczestniczyły w czymś diabelskim. Dosłownie diabelskim. Mało który nildor potrafi oprzeć się takiej pokusie. Kurtz znajdował przyjemność zarówno w halucynacjach, jakie sprowadzało zażycie jadu, jak i w kuszeniu nildorów. Sądzę, że to kuszenie dawało mu nawet większą rozkosz niż halucynacje. To był jego najcięższy grzech — sprowadzał bowiem na niewinne nildory to, co na tej planecie uważane jest za wieczne potępienie. W ciągu dwudziestu lat na Belzagorze nakłonił podstępnie setki, a może nawet tysiące nildorów do świętokradztwa. Wreszcie obecność jego stała się nie do zniesienia, a jego własna namiętność czynienia zła doprowadziła go do zniszczenia. Teraz leży na górze ani żywy, ani martwy, ale nie stanowi już zagrożenia dla czegokolwiek na Belzagorze.

— Jesteś zdania, że inscenizacja lokalnego odpowiednika Czarnej Mszy doprowadziła Kurtza do takiego stanu, że ukrywasz go nawet przede mną?

— Jestem o tym przekonana — oznajmiła Seena. Wstała, przeciągnęła się zmysłowo i skinęła na Gundersena.

— Chodź, wracajmy już do domu.

Szli nadzy przez ogród, blisko siebie, tak, jakby to był pierwszy dzień stworzenia, a ciepło jej ciała i ciepło słońca budziły jego namiętność. Kiedy byli o kilkanaście metrów od domu odwrócił się do niej i położył rękę na jej piersi. Nie odtrąciła go.

— Powiedz mi najpierw jeszcze jedno — poprosiła.

— Jeśli będę mógł.

— Dlaczego wróciłeś na Belzagor. Ale tak naprawdę. I co ciągnie cię do Krainy Mgieł?

— Jeśli wierzysz w grzech — odpowiedział — musisz też wierzyć w możliwość odkupienia.

— Wierzę.

— No więc, ja też mam grzech na sumieniu. Może nie tak ciężki, jak grzech Kurtza, ale nie daje mi spokoju i wróciłem tu, by za niego odpokutować.

— Czym zgrzeszyłeś?

— Zgrzeszyłem przeciwko nildorom w zwykły, ludzki sposób: współdziałałem w ich zwalczaniu, wynosiłem się ponad nie, nie uznawałem ich inteligencji i ich wewnętrznej złożoności. A zwłaszcza zgrzeszyłem przez to, że przeszkodziłem siedmiu nildorom dotrzeć na czas do miejsca ponownych narodzin. Pamiętasz, kiedy przerwała się tama Monroe i zmusiłem tych siedmiu pielgrzymów do pracy? Nie wiedziałem, że jeśli spóźnią się na ponowne narodziny to stracą swą kolej. Ale gdybym nawet to wiedział, nie przyszłoby mi do głowy, że to ma dla nich aż takie znaczenie. Jeden grzech pociąga za sobą drugi. Wyjechałem stąd z plamą na sumieniu. Ta siódemka nildorów prześladowała mnie w snach. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał wrócić i starać się oczyścić swą duszę.

— Jaki rodzaj pokuty masz na myśli? — zapytała.

Trudno mu było spojrzeć jej w oczy. Opuścił wzrok, ale to było jeszcze gorsze, bo jej nagość wciąż go pobudzała.

— Postanowiłem wreszcie dowiedzieć się — powiedział — co to są powtórne narodziny i uczestniczyć w nich. Chcę zaofiarować się sulidorom jako kandydat do odrodzenia.

— Nie! — krzyknęła.

— Seena, co się stało? Ty…

Drżała. Policzki jej płonęły, rumieniec oblał szyję i piersi. Odsunęła się od niego.

— To szaleństwo — mówiła podniecona. — Ponowne narodziny nie są dla Ziemian. Dlaczego uważasz, że zdołasz za coś odpokutować przyjmując obcą religię, poddając się obrzędowi, o którym nikt z nas nic nie wie…

— Muszę, Seeno.

— Nie bądź szalony.

— To obsesja. Jesteś pierwszą osobą, której to mówię. Nildory, z którymi podróżuję, nie wiedzą o tym. Nie mogę się powstrzymać. Jestem coś winien tej planecie i przybyłem tu, by spełnić swój dług. Muszę tam iść bez względu na konsekwencje.

— Wejdź ze mną — powiedziała matowym, pustyni, mechanicznym głosem.

— Gdzie?

— Chodź.

Poszedł za nią w milczeniu. Poprowadziła go na środkowe piętro budynku, do korytarza gdzie stróżował jeden z robotów. Seena skinęła i ten odsunął się. Przed drzwiami na końcu korytarza zatrzymała się, a fotokomórka zareagowała otwierając je. Seena dała mu znak, aby z nią wszedł.

Usłyszał odgłos chrząkania i prychania, który słyszał już poprzedniego wieczoru. Teraz nie miał wątpliwości, że to zdławiony płacz, pełen bezmiernego bólu.

— W tym pokoju Kurtz spędza teraz życie — powiedziała Seena i odsunęła kotarę przegradzającą wnętrze. — A tak wygląda teraz Kurtz.

— To niemożliwe — wyszeptał Gundersen. — Jak, jak…

— Jak to się stało?

— Tak, jak…

— Z upływem lat zaczynał odczuwać żal za wszystkie nieprawości. Cierpiał bardzo z powodu swej winy i w zeszłym roku postanowił dokonać aktu ekspiacji. Zdecydował się podążyć do Krainy Mgieł i poddać ceremonii powtórnych narodzin. I to właśnie odniesiono mi z powrotem. Tak, Edmundzie, wygląda istota ludzka, która została odrodzona.

XI

To, na co spoglądał Gundersen, z wyglądu przypominało istotę ludzką i może rzeczywiście był to kiedyś Jeff Kurtz. Postać w łóżku wydawała się być absurdalnie wysokim mężczyzną. Czaszka przypominała Kurtza: wysoko sklepiona z wystającymi łukami brwiowymi. Zniknęły jednak gęste czarne brwi i długie, prawie kobiece, rzęsy.

Twarzy poniżej czoła nie można było rozpoznać. Wyglądała tak, jakby wszystko zostało stopione w tyglu i wyciekło. Piękny orli nos Kurtza wyglądał teraz niczym rozdeptany kalosz wyciągnięty w kształt ryja, jakie mają sulidory. Wargi, obwisłe i rozchylone, ukazywały bezzębne dziąsła. Podbródek cofnięty jak u pithecanthropusa, a kości policzkowe płaskie i szerokie zmieniały całkowicie rysy twarzy.

Seena zdjęła przykrycie, by pokazać resztę. Ciało na łóżku było całkowicie pozbawione włosów, wyglądało jak gigantyczny, ugotowany, różowy, podłużny ślimak. Przez wyschniętą pergaminową skórę przezierały żebra i kości. Proporcje ciała były niewłaściwe: talia oddalona nieprawdopodobnie od klatki piersiowej i nogi, choć długie, jednak nie tak jak powinny. Wydawało się, że kostki łączą się z kolanami. Palce u nóg zlewały się i kończyły zwierzęcymi pazurami. Za to palce u rąk, może jako rekompensatę, miały dodatkowe stawy, przez co stały się długie i cienkie jak u pająka: wyginały się i kurczyły w nieregularnym rytmie. Połączenie ramion z tułowiem też było dziwne, chociaż Gundersen zauważył to dopiero, gdy Kurtz obrócił swą lewą rękę o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jego staw ramieniowy musiał być skonstruowany na zasadzie kuli obracającej się w łożysku.

Kurtz rozpaczliwie starał się coś powiedzieć, ale bełkotał tylko jakieś słowa w nieznanym Gundersenowi języku. Coś podobnego do trzyczęściowego jabłka Adama podnosiło się i opadało w jego grdyce. Z wielkim wysiłkiem wygiął ciało, aż skóra napięła się na dziwnie spłaszczonych kościach. W dalszym ciągu starał się mówić. Czasem, wśród tego bełkotu, udawało się rozróżnić jakieś pojedyncze słowo po angielsku albo w języku nildorów.

„Rzeka… śmierć… stracony… zgroza… rzeka… jaskinia… ciepło… zguba… gorąco… katastrofa… czarno… idź… dobrze… strach… urodzony… zgubiony… urodzony…"

— Co on mówi? — spytał Gundersen.

— Nikt tego nie wie. Nawet kiedy rozumiemy poszczególne słowa, to nie mają one żadnego sensu. A przeważnie nawet i słów nie można pojąć. Mówi językiem z tego świata, w którym obecnie przebywa.

— Czy był choć na moment przytomny w czasie, gdy jest tutaj?

— Nigdy całkowicie — powiedziała Seena. — Niekiedy ma otwarte oczy, ale nigdy na nic nie reaguje. Chodź, zobaczysz.

Podeszła do łóżka i uniosła powieki Kurtza. Gundersen zobaczył oczy, które w ogóle nie miały białek. Gałki całe były czarne, błyszczące, z jasnoniebieskimi cętkami. Gundersen poruszał dłonią w jedną i drugą stronę przed tymi oczyma, ale Kurtz nie zwrócił na to uwagi, nawet gdy palce zbliżyły się tuż do jego oczu. Kiedy jednak Gundersen zamierzał się odsunąć, Kurtz podniósł prawą rękę i chwycił go za nadgarstek. Groteskowo wydłużone palce oplotły przegub ręki Gundersena i powoli, ale z ogromną siłą Kurtz przyciągnął go do łóżka. Teraz Kurtz mówił tylko po angielsku. Widać było z jaką straszną męką stara się wydobywać słowa z jakiejś otchłani. Mówił monotonnie i jednostajnie:

— Woda spać śmierć zbawić spać spać ogień miłość woda sen zimno spać zamiar powstać upaść powstać upaść. Po chwili powiedział jeszcze:

— Upadek!

Potem zaczął z siebie wyrzucać różne sylaby bez sensu, a uścisk jego palców na ręce Gundersena rozluźnił się. Pierwsza odezwała się Seena.

— Zdaje się, że chciał nam coś powiedzieć — stwierdziła. — Nigdy nie słyszałam, żeby wypowiedział na raz tyle zrozumiałych słów.

— Ale co chciał powiedzieć?

— Tego nie wiem. Miało to jednak jakieś znaczenie.

Gundersen potaknął. Nieszczęsny, umęczony Kurtz przekazał im swój testament i swoje błogosławieństwo: „Spać zamiar upaść powstać upaść powstać powstać powstać. Upadek". Może nawet miało to jakiś sens.

— I zareagował na twoją obecność — mówiła dalej Seena — Zobaczył ciebie i ujął za rękę! Powiedz coś do niego. Może znów zwróci na ciebie uwagę.

— Jeff? — szepnął Gundersen klękając. — Jeff, pamiętasz mnie? Edmund Gundersen. Wróciłem, Jeff. Słyszysz, co mówię? Jeśli mnie rozumiesz, podnieś znów prawą rękę.

Kurtz jednak nie podniósł ręki. Wydał przyduszony jęk, niski i przerażający. Potem zamknął oczy i znieruchomiał. Milczał. Gundersen wstał i odsunął się.

— Jak długo jest tutaj? — zapytał.

— Prawie pół roku. Kiedy już pogodziłam się z jego śmiercią, dwa sulidory przyniosły go na czymś w rodzaju noszy.

— Czy był już tak zmieniony?

— Tak. No i teraz leży tutaj. A jest bardziej zmieniony niż sobie wyobrażasz — powiedziała Seena. — Wewnątrz ma wszystko nowe i

inne. Nie posiada prawie wcale przewodu pokarmowego. Nie może jeść żadnych stałych pokarmów, podaję mu tylko soki owocowe. Jego serce ma dodatkowe komory, a płuca są dwa razy większe od normalnych. Diagnostat jest bezużyteczny, bo jego ciało nie odpowiada parametrom ciała ludzkiego.

— I stało się to przy ponownych narodzinach?

— Tak, przy ponownych narodzinach. Zażywają wtedy narkotyki i to ich zmienia. Narkotyki te działają też na ludzi. Stosujemy je zresztą i na Ziemi do regeneracji pewnych narządów. Ale tutaj zażywają silniejsze dawki tego jadu i wtedy zmiany w organizmie umykają wszelkiej kontroli. Jeśli tam pójdziesz, to samo stanie się z tobą.

— Skąd wiesz, że to skutek ponownych narodzin?

— Wiem — stwierdziła stanowczo.

— Ale skąd?

— Mówił, że po to tam idzie. I sulidory, które go przyniosły mówiły, że został odrodzony.

— Może kłamały. Może ponowne narodziny to jedna sprawa, i może jest jeszcze coś innego, szkodliwego, co przypadło w udziale Kurtzowi, ponieważ był bardzo zły.

— Sam siebie oszukujesz — upierała się Seena. — Odbywa się tam tylko jeden akt i oto jego rezultat.

— Możliwe, że różni ludzie różnie reagują na to, co się tam dzieje.

— Mówisz głupstwa!

— Mówię poważnie. Może coś wewnętrznego w Kurtzu spowodowało, że się tak zmienił, a ja mogę zmienić się w inny sposób. Może w lepszy?

— Czy chcesz się zmienić, Edmundzie?

— Zaryzykowałbym.

— Możesz przestać być człowiekiem!

— Przez jakiś czas starałem się być człowiekiem. Może nadeszła pora, aby spróbować czegoś innego?

— Nie pozwolę ci tam iść! — Seena była zdesperowana.

— Nie pozwolisz? A jakie masz do mnie prawo?

— Straciłam już Jeffa i jeśli ty tam pójdziesz…

— To?

— No dobrze — zawahała się. — Nie mam sposobu, by cię powstrzymać, ale proszę, nie idź!

— Muszę.

— Jesteś taki sam, jak on! Nadęty ważnością własnych wymyślonych grzechów. Wyobrażasz sobie, że koniecznie musisz za nie odpokutować. To szaleństwo! Czy tego nie rozumiesz? Sam po prostu chcesz siebie zranić i to najbardziej, jak tylko można — szybko

łapała oddech, oczy jej błyszczały. — Posłuchaj mnie — mówiła podniecona. — Jeśli musisz cierpieć, ja ci pomogę. Chcesz bym cię wysmagała biczem? Mam cię kopać? Jeśli musisz być masochistą, to ja będę sadystką. Ale nie chodź do Krainy Mgieł. Nie posuwaj tej zabawy za daleko, Edmundzie.

— Nic nie rozumiesz, Seeno.

— A ty?

— Może zrozumiem, gdy stamtąd wrócę.

— Wrócisz w takim stanie jak on! — krzyknęła i podbiegła do łóżka Kurtza. — Spójrz na niego! Patrz na te nogi! Zobacz jego oczy, usta, jego nos, palce, wszystko! To już nie człowiek. Chcesz leżeć tak jak on — bełkotać niezrozumiale, żyć w stanie dziwacznego pomieszania zmysłów?

Gundersen zastanowił się. Kurtz był rzeczywiście odrażający. Czy odważy się na ryzyko podobnej deformacji?

— Muszę iść — oznajmił z mniejszym jednak przekonaniem niż poprzednio.

— On żyje w piekle — powiedziała Seena. — Ty też tam się znajdziesz.

Podeszła do Gundersena i przytuliła się do niego. Poczuł gorące czubeczki jej piersi muskające mu skórę, dotykały go jej uda. Objęła go kurczowo. Opanował go wielki smutek i żal. Myślał o tym, czym Seena kiedyś była dla niego; o tym, jaka była i jaka się teraz stała i czym musiało być jej życie z tym potworem, o którego musiała się troszczyć. Był przygnieciony wspomnieniem nieodwołalnie straconej przeszłości, ciemną i niepewną chwilą obecną oraz posępną, przerażającą przyszłością. Znów się zawahał. Po chwili jednak łagodnie odsunął ją od siebie.

— Przykro mi — powiedział. — Pojadę tam.

— Dlaczego? Dlaczego? — Łzy spływały jej po policzkach. — Jeśli potrzebna ci jest jakaś religia — mówiła — to wybierz ziemską. Nie ma powodu, żebyś…

— Jest powód — przerwał Gundersen.

Przyciągnął ją do siebie i delikatnie całował powieki, a potem usta. Pocałował miejsce pomiędzy jej piersiami i puścił ją. Podszedł do Kurtza i stał chwilę patrząc na niego. Starał się pogodzić jakoś z dziwaczną metamorfozą tego człowieka. Zauważył teraz coś, czego nie dostrzegł wcześniej: zgrubienia skóry na plecach Kurtza utworzyły jakby czarne małe plakietki wyrastające po obu stronach kręgosłupa. Z pewnością było jeszcze wiele innych, trudno dostrzegalnych zmian. Kurtz otworzył oczy i czarne, lśniące gałki poruszyły się, jakby szukały wzroku Gundersena. Zaczął mówić, ale Gundersen spośród niewyraźnych dźwięków wyłowił jedynie parę słów, które mógł zrozumieć: „Tańczyć… żyć… szukać… umrzeć… u-mrzeć."

Należało już odejść.

Gundersen minął stojącą bez ruchu Seenę i wyszedł z pokoju. Gdy znalazł się na werandzie, zobaczył, że pięć jego nildorów zgromadziło się w ogrodzie.

— Jestem gotów — zawołał. — Możemy ruszać, gdy tylko wezmę rzeczy.

Składał ubranie. Przyszła Seena. Twarz miała bladą.

— Czy masz jakieś zlecenie dla Ceda Cullena, gdybym go znalazł? — spytał Gundersen.

— Nie mam dla niego żadnych poleceń.

— Dobrze. Dziękuję ci za gościnność. To była prawdziwa radość zobaczyć cię znowu, Seeno.

— Następnym razem — powiedziała — nie poznasz mnie. Albo nie będziesz wiedział kim sam jesteś.

— Być może.

Zostawił ją i poszedł do nildorów. Srin'gahar przykląkł i Gundersen wsiadł. Seena stała na werandzie patrząc, jak odchodzili.

Kawalkada posuwała się brzegiem rzeki. Minęli miejsce, gdzie wiele lat temu Kurtz tańczył całą noc z nildorami.

Kurtz… Gundersen znów zobaczył szkliste, niewidzące spojrzenie, wyniosłe czoło, spłaszczoną twarz, wyniszczone ciało, poskręcane nogi, zdeformowane ręce. I przypomniał sobie dawnego Kurtza, tego pełnego wdzięku, przystojnego mężczyznę, wysokiego i smukłego, zamkniętego w sobie. Jakie demony zdołały zmusić Kurtza, by poddał swe ciało i duszę kapłanom sprawującym misterium ponownych narodzin? Jak długo trwało przekształcanie i czy w czasie tego procesu odczuwał ból? Czy ma świadomość tego, w jakim jest teraz stanie? I co właściwie Kurtz powiedział nildorom? Jestem ten Kurtz, który igrał z waszymi duszami, a teraz oddaję wam swoją własną? Gundersen nigdy nie słyszał, by Kurtz mówił inaczej, jak tylko tonem sardonicznej obojętności. Jestem Kurtz, grzesznik, zróbcie ze mną co wam się podoba. Jestem Kurtz, ten który upadł. Jestem Kurtz, potępiony. Gundersen wyobrażał sobie, że Kurtz leży w jakiejś mglistej dolinie na północy, kości ma rozmiękczone wskutek działania eliksiru sulidorów, mięśnie mu zanikają, staje się różową, galaretowatą masą, która ma przybrać nową formę, ma zostać oczyszczona z szatańskich skłonności.

Czy Seena aby nie miała racji, że w jego przypadku to tylko żałosna gra, że dramatyzuje i mając masochistyczne skłonności robi z siebie bohatera jakiegoś tragicznego mitu, że opanowany jest obsesją wyruszenia na tą dziwaczną pielgrzymkę? Jednakże odczuwał przymus prawdziwy, a nie udawany. Pójdę tam, powiedział sobie Gundersen. Nie jestem Kurtzem, ale pójdę, bo muszę iść.

Z oddali dochodził huk wodospadów, cichnący, ale wciąż

potężny. Spadające masy wody odbijały się od skał, dudniły, i wydawało się, że brzmią w tym huku słowa Kurtza. Słowa ostrzeżenia i błogosławieństwa, słowa groźby, proroctwa i przekleństwa: „woda sen śmierć zbawić spać spać ogień miłość woda sen zimno spać zamiar upaść powstać upaść powstać powstać".

„Upadek".

XII

Ziemianie w czasach okupacji Świata Holmana, arbitralnie określili granice tu i tu, i tu, wyznaczając równoleżniki i południki otaczające jakiś region czy sektor. Sam Belzagor nie wiedział nic o południkach i równoleżnikach, ani innych ludzkich miarach i granicach, toteż te linie demarkacyjne istniały już tylko w archiwach Kompanii i w pamięci topniejącej gromadki Ziemian. Była jednak granica, której nikt nie wyznaczał, a wciąż trwała: naturalny przedział pomiędzy tropikami a Krainą Mgieł. Po jednej stronie rozciągała się tropikalna wyżyna, zalana słońcem i urodzajna. Po drugiej zaś, w odległości zaledwie paru kilometrów, kłębiły się chmury tworząc biały północny świat mgieł. Przejście było gwałtowne i dla nowego przybysza nawet przerażające. Można było wyjaśnić je dość prozaicznie przechyleniem osi Belzagora i wpływem tego przechylenia na topnienie polarnych śniegów. Można było mówić naukowo o wielkich pokrywach lodowych wiążących ogromne ilości wilgoci. Można też było mówić o ścieraniu się klimatów i powstawaniu stref marginalnych, które nie były ani gorące, ani zimne, gdyż zawsze wisiał nad nimi całun chmur. Wszystkie te wyjaśnienia nie przygotowywały jednak podróżnika na szok jakiego doznawał przekraczając ów przedział. Na innych planetach jeden klimat przechodził w drugi lub też panował na całym globie. Tutaj trudno było pogodzić się z gwałtownym skokiem od ciepła i słońca do zimnej, ponurej pogody.

Gundersen i towarzyszące mu nildory znajdowali się jeszcze parę kilometrów od przełomu stref, kiedy z zarośli wyszła grupa sulidorów i zatrzymała ich. Byli to strażnicy, bo chociaż nie było formalnej straży granicznej ani żadnej organizacji rządowej czy quasi-rządowej, to jednak sulidory patrolowały te tereny i przesłuchiwały tych, co zamierzali wkroczyć do Krainy Mgieł. Nawet w czasach Kompanii szanowano prawa sulidorów — zbyt wiele wysiłku trzeba by było włożyć aby je znieść, więc Ziemianie, którzy udawali się na posterunki w Krainie Mgieł, zatrzymywali się posłusznie i dopełniali formalności.

Gundersen nie uczestniczył w dyskusji. Nildory i sulidory odeszły na bok, pozostawiając go pogrążonego w kontemplowaniu zwałów białych mgieł na północnym horyzoncie. Były jakieś kłopoty — wysoki, młody sulidor o gładkim futrze wskazał parę razy człowieka i coś perorował. Srin'gahar odpowiadał monosylabami, a sulidor denerwował się coraz bardziej, przestępował z nogi na nogę i gwałtownie zrywał swymi ogromnymi szponami kawałki kory z drzew. Srin'gahar znów się odezwał, coś mu tłumaczył i wreszcie osiągnięto porozumienie. Rozgniewany sulidor odszedł do lasu, a

Srin'gahar skinął na Gundersena. Prowadzeni przez dwa pozostałe sulidory podjęli przerwany marsz na północ.

— O co chodziło? — spytał Gundersen.

— O nic.

— Wydawał się bardzo rozgniewany.

— Nie miało to znaczenia — stwierdził Srin'gahar.

— Nie chciał, bym przekroczył granicę?

— Uważał, że nie powinieneś przez nią przejść — zgodził się Srin'gahar.

— Dlaczego? Przecież mam zezwolenie wielokrotnie narodzonego.

— Powodowała nim osobista niechęć do ciebie, przyjacielu mej podróży. Utrzymywał, że obraziłeś go kiedyś w przeszłości. Zna cię z dawnych czasów.

— To niemożliwe — zaprotestował Gundersen. — Wtedy nie miałem prawie żadnych kontaktów z sulidorami. One nigdy nie opuszczały Krainy Mgieł, a ja tam nie bywałem. Wątpię, czy przez cały czas pobytu na tym świecie zamieniłem kilkanaście słów z sulidorami.

— Ten sulidor nie mylił się pamiętając, że miał z tobą styczność — oznajmił łagodnie Srin'gahar. — Muszę ci powiedzieć, że istnieją wiarygodni świadkowie tego zdarzenia.

— Kiedy? Gdzie?

— Było to dawno temu — powiedział Srin'gahar. Wydawał się zadowolony z tej wymijającej odpowiedzi i nie wdawał się w dalsze szczegóły. Przez parę chwil panowała cisza. Potem Srin'gahar dodał: — Sądzę, że ten sulidor miał powód do urazy, ale powiedzieliśmy mu, że chcesz odpokutować za wszystkie swoje czyny i wreszcie się zgodził. Sulidory są często zacięte i mściwe.

— Co ja mu zrobiłem? — Gundersen domagał się wyjaśnienia.

— Nie ma potrzeby mówić o tych rzeczach — odparł Srin'gahar.

Nildor zamilkł, a Gundersen zaczai się zastanawiać nad sensem tej wypowiedzi. Łamał sobie głowę, ale nie pamiętał, by obraził jakiegokolwiek sulidora nawet nieświadomie. Wreszcie doszedł do wniosku, że Srin'gahar był celowo niejasny w swych słowach i że mógł wyrażać się w przenośniach zbyt subtelnych i obcych, by je pojął umysł Ziemianina. W każdym razie sulidor wycofał swój sprzeciw wobec dalszej podróży Gundersena. Kraina Mgieł była już blisko. Krajobraz zaczynał się zmieniać: drzewa rosły rzadko, były o wiele ciemniejsze, mniejsze i nie miały tyle liści, co drzewa w dżungli. Coraz częściej pojawiały się płachty mgły. Powietrze było ciepłe i czyste, a na niebie jasno świeciło słońce. Panował tu jeszcze łagodny i łaskawy klimat.

Nagle Gundersen poczuł, zapowiadający zmianę aury, powiew mroźnego wiatru z północy. Ścieżka wiodła w dół po pochyłości, a gdy

potem znów wspięła się na wzgórze, Gundersen objął wzrokiem wielki, posępny, bezludny obszar — ziemi niczyjej pomiędzy dżunglą a Krainą Mgieł. Nie rosło tu żadne drzewo ani krzak, ani nawet mech. Był tylko żółty piach i rozrzucone na nim gdzieniegdzie kamienie. Za tą pustą strefą złociła się błyszcząca w słońcu oblodzona skała, wysoka na kilkaset metrów, która na ogromnej przestrzeni tarasowała drogę. W oddali groźnie majaczył szczyt niebotycznej góry, poszarpany, z wystającymi zrębami i półkami skalnymi, bladoróżowy na tle stalowoszarego nieba. Wszystko w tej dalekiej krainie wydawało się nadmiernie wielkie i masywne, wręcz monstrualne.

— Tutaj musisz iść już sam — oświadczył Srin'gahar. — Przykro mi, ale taki jest zwyczaj. Nie mogę nieść cię dalej.

Gundersen zlazł z nildora. Zmiana sposobu podróży nie wydawała mu się niewłaściwa, przeciwnie, uważał, że na miejsce ponownych narodzin powinien dotrzeć o własnych siłach. Czuł się też trochę zażenowany, że tyle setek kilometrów przejechał na grzbiecie Srin'gahara. Jednak już po pięćdziesięciu metrach marszu u boku pięciu nildorów zaczął dyszeć. Krok wprawdzie był wolny i miarowy, ale widocznie powietrze tu było bardziej rozrzedzone. Zmuszał się, by ukryć zmęczenie. Pójdzie dalej. Czuł się pogodny i dziwnie lekki. Uważał, że zdoła opanować bicie serca i pulsowanie w skroniach, tym bardziej, że wiał rześki, chłodny wiatr. Byli w połowie drogi przez pustą strefę, gdy Gundersen dostrzegł, że to co wydawało się litą, białą skałą, było w istocie ścianą gęstej mgły. Wysunięte jej pasma dotykały jego twarzy. Przywiodło mu to na myśl zimne dotknięcie śmierci, welony, trumny, groby i czaszki, ale dziwnie nie były to wyobrażenia niemiłe.

Nagle chmury unoszące się ponad mgłą rozpłynęły się i słońce rozjarzyło najwyższy szczyt odległej góry — ogromną, śnieżną kopułę, a jemu wydało się, że spogląda na niego stamtąd odmieniona, pogodna twarz Kurtza.

Z bieli, obejmującej wszystko przed nimi, wyłoniła się postać olbrzymiego, starego sulidora. To Na-sinisul dotrzymywał przyrzeczenia, że będzie im przewodnikiem. Sulidory, które towarzyszyły im dotychczas, wymieniły parę słów z Na-sinisulem i odeszły z powrotem do dżungli. Na-sinisul dał znak i kawalkada ruszyła naprzód.

Po paru minutach ogarnęła ich mgła.

Gundersen spostrzegł, że nie była tak gęsta jak się wydawało. Prawie cały czas była dość dobra widoczność. Chwilami jednak pojawiały się wiry i wtedy ledwie dostrzegał zielone cielsko Srin'gahara kroczącego obok. Krajobraz był surowy: goła ziemia, trochę głazów, niskie drzewa, zupełnie jak w ziemskiej tundrze.

Nikt się nie odzywał. Marsz trwał już pewnie z godzinę.

Gundersen nie mógł już wyprostować pleców i stopy mu zdrętwiały. Droga wznosiła się niepostrzegalnie w górę, powietrze stawało się coraz rzadsze, a temperatura spadała gwałtowanie, gdy dzień zbliżał się ku końcowi. Koszmarna mgła, bezmierna, spowijająca wszystko, kładła się ciężarem na duszy Gundersena. Miał wrażenia, że wszystkie barwy i ciepło uleciało ze wszechświata.

Szedł naprzód jak maszyna. Czasami puszczał się kłusem, by nie zostać w tyle za nildorami. Na-sinisul narzucił tempo, które nildory wytrzymywały bez trudu, dla Gundersena jednak było ono niemal zabójcze. Wstydził się, że sapie i dyszy, chociaż właściwie nikt nie zwracał na to uwagi. Marzył z rozpaczą o odpoczynku, ale nie mógł się zdobyć na to, by prosić nildory o chwilę postoju: to była przecież ich pielgrzymka, a on sam się do niej wprosił.

Zapadł ponury, przygnębiający zmierzch. Szarość stawała się jeszcze bardziej szara. Anemiczne dotychczas i tak słabo widoczne słońce, zgasło zupełnie. Widzialność była bardzo zła. Zrobiło się przenikliwie zimno. Nagle zaczęło go dręczyć coś, na co dotąd nie zwracał uwagi — oddychanie stało się nieprzyjemne. Powietrze na Belzagorze, nie tylko w Krainie Mgieł, ale we wszystkich regionach, nie odpowiadało normom atmosfery ziemskiej — zawierało trochę więcej azotu, a mniej tlenu. Różnica ta była uchwytna tylko dla bardzo wrażliwego powonienia. Gundersen, przyzwyczajony w ciągu tylu lat służby na Belzagorze, różnicy tej nie odczuwał. Teraz jednak wpadał mu w nozdrza gryzący, metaliczny zapach i wydawało się, że w gardle ma pełno jakiegoś brudu.

Kłopoty z oddychaniem oraz uciążliwość drogi tak zaabsorbowały Gundersena, że nie spostrzegł kiedy pozostał sam.

Nildorów nigdzie nie było widać, zniknął też Na-sinisul. Wszystko tonęło we mgle. Uświadomił sobie, że musiało minąć dobrych kilka minut odkąd stracił z oczu swych towarzyszy. Do tej pory mogli go znacznie wyprzedzić lub pójść inną drogą.

Nie wołał.

Opanowała go nieodparta chęć odpoczynku. Przysiadł w kucki i przyciągnął dłonie do twarzy, potem oparł się rękami o zimny, wilgotny grunt i wciągał głębokimi haustami powietrze. Jak dobrze byłoby położyć się i stracić świadomość. Usiłował jednak wstać, co udało mu się dopiero za trzecim razem.

— Srin'gahar? — wyszeptał. Nie miał siły wzywać pomocy.

W głowie wirowało mu, ruszył jednak naprzód potykając się, ślizgając i wpadając na drzewa. W pewnej chwili ujrzał po lewej stronie coś, co musiało być nildorem i czując nagły przypływ sił pobiegł tam. Kiedy przywarł doń. poczuł, że jest twardy, mokry i lodowaty. Zdał sobie sprawę, że to wielki głaz. Oderwał się od niego i wtem zobaczył szereg masywnych kształtów: mijały go nildory.

— Poczekajcie! — zawołał i chciał je dogonić. Nagle potknął się i upadł lądując na rękach i kolanach w płytkim, ale bardzo zimnym strumieniu. Wyczołgał się na brzeg. Okazało się, że wziął za nildory niskie, rozłożyste drzewa, poruszane wiatrem. No dobrze — pomyślał — zgubiłem się; poczekam tu do rana. Skulił się i usiłował jakoś wycisnąć wodę z przemoczonego ubrania.

Nadeszła noc i ciemność w miejsce szarości. Szukał nad głową księżyców, ale ich nie było. Męczyło go ogromne pragnienie. Próbował doczołgać się z powrotem do strumienia, ale nie mógł go znaleźć. Wargi miał spękane, a palce mu zdrętwiały. Pomimo udręki i strachu odnajdywał w sobie spokój. Powtarzał sobie, że wszystko, co się dzieje, nie jest w istocie niebezpieczne, natomiast w jakiś sposób konieczne.

Płynęły godziny. W pewnej chwili zjawił się Srin'gahar, któremu towarzyszył Na-sinisul.

— Jest tutaj — usłyszał głos nildory.

— Żyje? — spytał Na-sinisul. Głos jego dochodził przez mgłę, jak z innego świata.

— Żyje. Mokry i zimny. Edmund Gundersen, możesz wstać?

— Tak. Nic mi nie jest. — Napełniło go uczucie wstydu. — Szukaliście mnie cały czas?

— Nie — odparł łagodnie Na-sinisul. — Poszliśmy do wsi i tam dyskutowaliśmy na temat twej nieobecności. Nie byliśmy pewni czy zgubiłeś się, czy celowo oddaliłeś się od nas. Potem ja i Srin'gahar wróciliśmy. Miałeś zamiar nas opuścić?

— Zgubiłem się — wyznał Gundersen żałośnie.

Nawet teraz nie pozwolono, by wsiadł na nildora. Wlókł się pomiędzy Srin'gaharem a Na-sinisulem, chwytając się co pewien czas gęstego futra sulidora lub wspierając o gładkie biodro nildora. Wreszcie przez mgłę i ciemność zaczęły przezierać słabe światełka, a potem Gundersen dostrzegł zarys chat w wiosce sulidorów. Nie czekając na zaproszenie, wsunął się do pierwszej z brzegu szopy. Śmierdziało stęchlizną. Z krokwi zwieszały się pęczki suchych kwiatów i wiązki skór zwierzęcych. Kilku siedzących sulidorów spojrzało na niego nie okazując zainteresowania. Gundersen ogrzał się i wysuszył ubranie. Ktoś przyniósł mu miskę słodkiej, gęstej zupy, a później dostał parę kawałków suszonego mięsa. Trudno było je pogryźć, ale mógł je żuć. Miało wspaniały smak. Wielu sulidorów wchodziło i wychodziło. Raz, kiedy płat skóry zasłaniający wejście pozostał odchylony, zobaczył nildory siedzące przed chatą. Maleńkie zwierzątko, o dzikim pyszczku, białe jak śnieg, przysunęło się do niego i spoglądało pogardliwie. Jakaś bestia z północy, którą sulidory sprowadziły sobie zapewne do zabawy — myślał. Stworzenie szarpnęło za wciąż wilgotną odzież Gundersena i wydało głos podobny

do chichotu. Poruszyło uszkami, w których sterczały kępki włosków i ostrymi, maleńkimi pazurkami badało ciekawie rękaw. Długi, chwytny ogonek zwijał się i rozwijał. Potem nagle skoczyło Gundersenowi na kolana, chwyciło łapkami jego rękę i wpiło ząbki w ciało. Ugryzienie nie było bardziej bolesne, niż ukąszenie komara, ale Gundersen obawiał się, że może się wywiązać jakaś obrzydliwa infekcja. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, by spędzić stworzonko. Spadła na nie natomiast łapa któregoś z sulidorów i rzuciła je przez szerokość izby w kąt. Na-sinisul przysiadł koło Gundersena.

— Czy munzor mocno cię ugryzł? — spytał.

— Nie bardzo. Czy to niebezpieczne?

— Nie, nic ci się nie stanie — odrzekł sulidor. — Ukarzemy to zwierzątko.

— Och, nie róbcie tego. Ono się tylko bawiło.

— Musi się nauczyć, że gość to świętość — stwierdził stanowczo Na-sinisul. Pochylił się bliżej. Gundersen poczuł rybi oddech sulidora i zobaczył wielkie kły w jego paszczy.

— Wioska będzie cię gościła, póki nie nabierzesz sił, by iść dalej. Ja muszę zaraz wyruszyć z nildorami na Górę Ponownych Narodzin.

— Czy to ta wielka, czerwona góra na północy?

— Tak. Ich czas jest już bliski, mój również. Przeprowadzę ich przez ceremonię ponownych narodzin, a potem przyjdzie kolej na mnie.

— Sulidory też się odradzają?

— A czy może być inaczej? — zdziwił się Na-sinisul.

— Nie mam pojęcia. Tak mało wiem o wszystkim.

— Gdyby sulidory się nie odradzały — wyjaśnił Na-sinisul — jakże nildory mogłyby narodzić się ponownie? Jedno złączone jest nierozerwalnie z drugim.

— W jaki sposób?

— Gdyby nie było dnia. nie byłoby i nocy.

Gundersenowi nie wydawało się to zbyt jasne i starał się wydobyć z Na-sinisula bliższe szczegóły, ale ten nie chciał już na ten temat mówić. Zainteresowało go natomiast co innego.

— Mówiono mi — pytał z kolei sulidor — że przybyłeś do naszego kraju, by pomówić z człowiekiem z twego własnego narodu, z człowiekiem Cullenem. Czy to prawda?

— Tak. Jest to w każdym razie jeden z powodów, dla których tu jestem.

— Ten człowiek Cullen żyje w trzeciej wiosce stąd na północ, a pierwszej na zachód. Został powiadomiony o twoim przybyciu i wzywa cię. Sulidor z tej wsi poprowadzi cię do niego, gdy będziesz gotów do drogi.

— Mogę wyjść jutro z rana — zdecydował Gundersen.

— Najpierw muszę ci coś oznajmić. Człowiek Cullen szukał wśród nas schronienia, jest więc święty. Nie ma mowy byś mógł go zabrać z naszego kraju i przekazać nildorom.

— Pragnę tylko z nim pomówić.

— To jest możliwe. Ale twój układ z nildorami jest nam znany. Musisz pamiętać, że wypełnić go możesz tylko łamiąc naszą gościnność.

Gundersen nie odpowiedział. Jakże mógł obiecywać cokolwiek Na-sinisulowi, nie będąc równocześnie wiarołomnym wobec wielokrotnie narodzonego Vol'himyora? W duszy powtarzał sobie, że będzie się trzymał pierwotnego postanowienia: pomówi z Cedrikiem Cullenem i dopiero potem zdecyduje, co ma robić. Zaniepokoiło go jednak, że sulidory wiedziały już, w jakim celu poszukiwał Cullena.

Na-sinisul pozostawił go. Gundersen usiłował zasnąć i udało mu się na chwilę zapaść w niespokojną drzemkę. Całą noc jednak migotały w chacie płomienie lamp, sulidory kręciły się hałaśliwie, zaś nildory przed chatą długo o czymś debatowały. Raz Gundersen przebudził się i spostrzegł, że mały, kłapouchy munzor siedzi mu na piersiach i skrzeczy. Później trzy sulidory powiesiły okrwawiony kadłub jakiegoś zwierzęcia koło miejsca, gdzie leżał skulony. Przez chwilę słyszał, jak odrywały kawałki mięsa, ale wkrótce znów zapadł w krótki sen. Gdy wstał ranek zimny i ponury, Gundersen czuł się bardziej zmęczony, niż gdyby w ogóle nie spał.

Dano mu śniadanie. Dwa młode sulidory, Se-holomir i Yi-gartigok, oznajmiły, że zostały wybrane jako jego eskorta do wioski, w której mieszkał Cullen. Na-sinisul i pięć nildorów kończyło przygotowania do drogi na Górę Odrodzenia. Gundersen pożegnał towarzyszy swej dotychczasowej podróży.

— Życzę wam radości z ponownych narodzin — powiedział.

Wkrótce potem podjął swą własną wędrówkę. Jego nowi przewodnicy byli milczący i pełni rezerwy. Odpowiadało mu to nawet, bo nie miał ochoty na rozmowę przemierzając ten nieprzyjemny kraj. Chciał sobie pewne rzeczy przemyśleć. Nie miał pewności co zrobi, gdy zobaczy Cullena. Jego pierwotny plan, by poddać się odrodzeniu, plan, który — wydawało się — miał tak szlachetne pobudki, teraz wyglądał na czysty idiotyzm. I to nie tylko dlatego, że widział Kurtza. Teraz zdawało mu się to nienaturalne: wdzierać się w święte obrządki obcego gatunku. Udać się na Górę Odrodzenia — tak. Zaspokoić swoją ciekawość — tak. Ale poddać się ponownym narodzinom? Po raz pierwszy jego pewność zachwiała się. Zaczął podejrzewać, że w końcowym momencie wycofa się i nie będzie odrodzony.

Nadgraniczna tundra ustępowała teraz terenom zalesionym. Ale drzewa były inne niż w dżungli, gdzie chcąc przystosować się do warunków stawały się pokręconymi, skarlałym krzakami. Tu rosły

prawdziwe drzewa północy. Pnie miały grube i wyniosłe, pokryte karbowaną korą, gałązki natomiast delikatne, z igiełkowatymi liśćmi. Górne konary spowijała mgła. Na odsłoniętych przestrzeniach grunt pokryty był śniegiem, chociaż na tej półkuli zbliżało się już lato. Północny wiatr napędził kłębiaste, ołowiane chmury i rozszalała się gradowa burza. Sulidory nie uznały tego za przeszkodę w marszu i Gundersen rad nie rad szedł z nimi.

Mgła przerzedzała się, za to w górze unosiły się zwały gęstych chmur, zakrywając całe niebo. Po dwóch dniach podróży krajobraz zmienił się znowu — goła ziemia, gołe gałęzie drzew, wilgoć i przejmujący chłód. Gundersen dostrzegał nawet swoiste piękno w tej surowości otoczenia. Budziło się w nim nieznane uczucie zachwytu, gdy wełniaste zwoje mgły płynęły jak duchy nad szerokim, szarym strumieniem, gdy kudłate bestie przemykały po szklistych taflach lodu, gdy w panującą ciszę wdzierał się chrapliwy, ostry krzyk lub kiedy za zakrętem ścieżki ukazywała się biała, zimowa, niezmierzona pustka. Wszystko wydawało mu się nieskalanie czyste i nowe.

Czwartego dnia Se-holomir oznajmił, że wioska, do której zdążają leży już za następnym wzgórzem.

XIII

Było to dość okazałe osiedle: czterdzieści lub więcej chat ustawionych w dwa rzędy. Z jednej strony otaczał je wysokopienny las, z drugiej rozlewało się szeroko jezioro. Gundersen zbliżał się do wsi ścieżką pomiędzy drzewami. W powietrzu unosiły się z wolna opadające płatki śniegu. Mgła wzniosła się wysoko i tworzyła jednolitą, szarą powłokę.

— Człowiek Cullen? — spytał Gundersen.

Cullen leżał w chacie nad jeziorem. Dwa sulidory strzegące wejścia odsunęły się na polecenie Yi-gartigoka, dwa inne stały w nogach barłogu z gałęzi i skór, na którym spoczywał Cullen.

— Przyszedłeś po mnie, Gundy? — odezwał się Cullen. — No to, bracie, spóźniłeś się.

Złociste włosy Cullena posiwiały i posklejały się w strąki, miejscami przezierała łysa czaszka. Łagodne niegdyś, bladozielone oczy stały się mętne i apatyczne, białka pożółkły i poprzecinane były chorobliwymi, krwawymi kreskami. Z twarzy została skóra i kości. Przykryty był jakąś derką, pod nią rysowało się wychudzone ciało. Z dawnego Cullena niewiele pozostało: tylko melodyjny, przyjemny głos i pogodny uśmiech, teraz groteskowo rażący na wyniszczonej twarzy. Wyglądał na stuletniego starca.

— Od jak dawna jesteś w takim stanie? — dopytywał się Gundersen.

— Dwa miesiące, może trzy. Sam nie wiem. tutaj czas przecieka przez palce. Ale dla mnie nie ma już powrotu. Zostanę tutaj. Do końca. Do końca.

Gundersen ukląkł koło barłogu chorego.

— Masz bóle? Może coś ci dać?

— Nic mnie nie boli — powiedział Cullen. — Niepotrzebne narkotyki. To już koniec.

— Co ci jest? — spytał Gundersen, myśląc o Dykstrze i jego kobiecie zżeranych przez jakieś larwy, leżących w gnoju. Myślał o Kurtzu udręczonym i zmienionym. Przypomniał sobie, co mówiła Seena o Gio Salamone przekształconym w kryształy.

— Czy to jakaś miejscowa choroba? Tutaj coś chwyciłeś?

— Nic egzotycznego — odparł Cullen — gniję od środka. To stary nieprzyjaciel, Gundy, rak. Rak jelit. Kleszcze raka rozrywają mi kiszki.

— Musisz bardzo cierpieć.

— Nie — odpowiedział Cullen. — Ten rak pełza powoli. Tu skubnie, tam skubnie. Ubywa mnie każdego dnia. Czasem myślę, że już nic ze mnie nie zostało. Dzisiaj mam lepszy dzień.

— Słuchaj — zaczął Gundersen — w ciągu tygodnia mogę cię

przetransportować do domu Seeny. Na pewno ma cały zestaw leków i oczywiście środki przeciwrakowe. Choroba nie zaszła tak daleko, byśmy nie mogli jej powstrzymać, jeśli będziemy działać szybko. A potem wsadzimy cię na statek i poślemy na Ziemię, gdzie cię całkowicie wyleczą.

— Nie. Nie ma o czym mówić.

— Nie gadaj głupstw! Nie żyjemy w średniowieczu, Ced. Przypadek raka nie jest powodem, by człowiek kładł się w brudnej chałupie i czekał na śmierć. Sulidory przygotują dla ciebie nosze. Załatwię to w ciągu pięciu minut. I potem…

— Nie zdołałbym nigdy dotrzeć do Seeny i dobrze o tym wiesz — powiedział miękko Cullen. — Nildory zabrałyby mnie w momencie, w którym przekroczyłbym granicę Krainy Mgieł. Musisz o tym wiedzieć.

— No…

— Nie mam siły na udawanie. Wiesz przecież, że jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem na tej planecie, prawda?

— Chyba tak.

— Zostałeś wysłany, żeby mnie im dostarczyć?

— Nildory prosiły, żebym cię sprowadził — przyznał Gundersen. — Musiałem się zgodzić, aby otrzymać zezwolenie na przybycie tutaj.

— Naturalnie — powiedział z goryczą Cullen.

— Postawiłem jednak warunek, że nie sprowadzę cię, jeśli nie będziesz chciał iść dobrowolnie — dodał Gundersen. — Wysunąłem też inne zastrzeżenia. Słuchaj Ced, nie jestem Judaszem. Podróż tę podjąłem z osobistych powodów i to, że cię odwiedziłem jest sprawą całkowicie uboczną. Ale chcą ci pomóc. Zgódź się, żebym zabrał cię do Seeny. Będziesz poddany leczeniu i…

— Powiedziałem ci — przerwał Cullen — że nildory złapią mnie przy pierwszej okazji.

— Nawet gdyby wiedziały, że jesteś śmiertelnie chory i zabieram cię na kurację?

— Zwłaszcza wtedy. Gdybym umierał, chciałyby ocalić mą dusze. Nie mam ochoty sprawić im tej satysfakcji, Gundy. Zostanę tutaj, tu gdzie jestem bezpieczny, poza ich zasięgiem, i będę czekał, aż rak mnie wykończy. To już teraz niedługo. Dwa dni, trzy, tydzień, a może nawet dziś. Jestem wdzięczny, że chciałeś mnie ratować, ale nie pójdę.

— A jeśli otrzymam od nildorów obietnicę, że zostawią cię w spokoju, póki nie będziesz w stanie poddać się…

— Nie pójdę. Musiałbym użyć siły. A to wykracza poza warunki przyrzeczenia, jakie złożyłeś nildorom, prawda?

— Cullen uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższej chwili.

— Tam, w kącie jest jeszcze jedna butelka wina. Bądź dobrym kolegą.

Gundersen poszedł ją przynieść. Musiał przejść koło kilku sulidorów. Rozmowa z Cullenem tak go pochłonęła, była taka prywatna, że zapomniał o sulidorach, których było pełno w chacie. Wziął wino i zaniósł choremu. Ręka Cullena drżała, ale zdołał się napić, potem podał butelkę Gundersenowi, który nie był w stanie mu odmówić. Wino było ciepłe i słodkie.

— A więc nie będziesz starał się zabrać mnie z tej wioski, zgoda? — nalegał Cullen. — Wiem, że nie myślisz serio, aby przekazać mnie nildorom, ale może uważasz, że w ten sposób uratujesz mi życie. Nie rób tego, bo skutek byłby ten sam — tak czy inaczej dostałbym się w ręce nildorów. Zostanę tutaj. Zgoda?

Gundersen milczał przez chwilę. — Niech ci będzie — powiedział wreszcie.

Cullen odetchnął z ulgą. — Szkoda, że straciłem tyle energii by cię przekonać — westchnął. — Mamy sobie jeszcze tyle do powiedzenia, a nie mam już siły.

— Odpocznij sobie teraz, przyjdę później.

— Nie. Zostań. Rozmawiaj ze mną. Powiedz mi, gdzie byłeś przez te wszystkie lata, dlaczego tu wróciłeś, kogo widziałeś, co robiłeś? Opowiedz mi wszystko. Odpocznę, jak będę cię słuchał. A potem… potem…

Głos Cullena załamał się. Gundersenowi zdawało się, że stracił przytomność albo może zasnął. Oczy miał zamknięte, oddychał powoli, z trudem. Gundersen zamilkł, czuł się skrępowany. Zaczął chodzić po chałupie, oglądał skóry zwierząt zawieszone na ścianach, proste sprzęty, resztki jedzenia. Sulidory nie zwracały na niego uwagi. Było ich w chacie osiem. Trzymały się z dala od umierającego, a jednak cały czas na niego baczyły. Gundersena z każda chwilą coraz bardziej onieśmielała obecność tych ogromnych, dwunogich bestii, tych koszmarnych stworzeń z kłami i pazurami, z grubym ogonem i długimi ryjami, które wchodziły i wychodziły i poruszały się tak, jakby on w ogóle nie istniał. Wypił jeszcze trochę wina, chociaż ani jego smak, ani zapach nie były przyjemne.

— Opowiadaj mi, czekam — odezwał się Cullen, mając wciąż zamknięte oczy.

Gundersen zaczął mówić. Mówił o ośmiu latach, które spędził na Ziemi, o niepokoju, jaki go tam opanował, o trudnej do określenia chęci powrotu na Belzagor, o potrzebie znalezienia jakiegoś nowego sposobu na życie. Opowiadał o swej wędrówce przez lasy do siedliska nildorów nad jeziorem, o tym jak tańczył pomiędzy nimi i jak wymuszono na nim obietnicę, że sprowadzi Cullena. Mówił o Dykstrze i jego kobiecie znalezionych w ruinach stacji. Powiedział mu też, że był z Seena w Noc Pięciu Księżyców. Powiedział o Kurtzu i o tym, jak został zmieniony wskutek ponownych narodzin. I mówił o swojej

pielgrzymce do Krainy Mgieł.

Trzy razy myślał, że Cullen zasnął, a raz wydawało mu się, że chory w ogóle nie oddycha. Jednak gdy przestawał mówić, Cullen dawał jakiś słaby znak — krzywił usta, poruszał leciutko końcami palców — by Gundersen nie przerywał opowieści. W końcu, kiedy nie miał już nic więcej do powiedzenia, stał przez dłuższą chwilę w milczeniu i czekał, czy Cullen uczyni jakiś znak.

— No i…? — wyszeptał wreszcie chory.

— No i znalazłem się tutaj.

— A stąd dokąd się udajesz?

— Na Górę Odrodzenia — odpowiedział Gundersen spokojnie.

Cullen otworzył oczy. Skinął, by podnieść mu poduszki i usiadł pochylony do przodu.

— Dlaczego chcesz tam iść? — zapytał.

— Chcę się przekonać, czym są ponowne narodziny.

— Widziałeś Kurtza?

— Widziałem.

— On też chciał się tego dowiedzieć — mówił z wysiłkiem Cullen. — Znał szczegóły techniczne, ale chciał dotrzeć do treści wewnętrznej. Samemu przeżyć. To oczywiście nie była tylko zwykła ciekawość. Kurtz miał pewne kłopoty natury duchowej. Chodziło mu po głowie, żeby złożyć siebie w ofierze, bo wmówił sobie, że musi odpokutować za całe swoje życie. Słusznie zresztą. Zupełnie słusznie. No i poszedł ponownie się narodzić. Sulidory zgodziły się. Oto człowiek! Widziałem go, zanim odszedłem na północ.

— Przez pewien czas myślałem, że też mógłbym się ponownie narodzić — Gundersen wypowiedział te słowa na pół świadomie. — Z tych samych powodów: mieszanina ciekawości i poczucia winy. Ale zarzuciłem ten pomysł. Owszem, udam się na tamtą górę, żeby zobaczyć, co oni robią, ale nie sądzę, bym sam poddał się tym rytuałom.

— Dlatego, że widziałeś jak wygląda Kurtz?

— Częściowo. A także i dlatego, że mój pierwotny plan wydał mi się jakiś, no… wymyślny. Niespontaniczny. Akt wyboru intelektualnego, a nie akt wiary. Nie można udać się tam i oczekiwać ponownych narodzin, mając do tego zimne, naukowe podejście. Trzeba odczuwać nieprzeparty przymus wewnętrzny.

— Tak jak to czuł Kurtz?

— Właśnie tak.

— A ty tego nie odczuwasz?

— Już sam nie wiem — odpowiedział Gundersen. — Sądziłem, że również i ja czuję ten przymus, powiedziałem o tym Seenie. Teraz jednak, gdy znalazłem się w pobliżu tej góry, cała ta historia zaczyna mi się wydawać wydumana.

— Może po prostu obleciał cię strach? Gundersen wzruszył ramionami. — Kurtz rzeczywiście nie stanowił pięknego widoku — powiedział.

— Są dobre ponowne narodziny i bywają złe — wyjaśnił Cullen. — Jego były złe. Przypuszczam, że zależy to od jakości duszy i oczywiście od wielu innych czynników. Napijemy się jeszcze wina?

Gundersen sięgnął po flaszkę. Cullen, któremu wróciło chyba trochę sił, pociągnął dużego łyka.

— A ty przeszedłeś ponowne narodziny? — spytał Gundersen.

— Ja? Nie. Nigdy mnie to nawet nie kusiło. Ale niejedno o tym wiem. Kurtz nie był pierwszym z nas, który się temu poddał. Przed nim było przynajmniej dwunastu.

Cullen wymienił parę nazwisk, wszystkie ludzi z Kompanii, którzy figurowali na liście zmarłych w czasie pełnienia obowiązków w terenie. Gundersen znał paru z nich osobiście, o innych tylko słyszał, gdyż przybyli na Świat Holmana znacznie wcześniej niż on i Cullen.

— I jeszcze inni — mówił Cullen. — Kurtz wyszukał ich nazwiska w raportach, a nildory opowiedziały mu ich dzieje. Żaden z nich nigdy nie powrócił z Krainy Mgieł. Czterech czy pięciu zwrócono w podobnym stanie, w jakim znajduje się Kurtz — zamienionych w potworki.

— A reszta?

— Może zostali przemienieni w archanioły. Informacje nildorów były niejasne. Mówiły o jakimś transcendentalnym wtopieniu we wszechświat, o ewolucji prowadzącej do następnego stopnia wcielenia, o podniosłym wzniesieniu się w górę — takie tam rzeczy. Pewne jest to, że nigdy już nie pojawili się na terytorium Kompanii. Kurtz miał rację, że czeka go coś podobnego. Niestety jednak, Kurtz był Kurtzem: w połowie aniołem i w połowie demonem i tak też został odrodzony. I takiego Kurtza teraz pielęgnuje Seena. Szkoda, że straciłeś to swoje pragnienie, Gundy. Może akurat tobie udałoby się ponowne narodzenie. Czy możesz zawołać Hor-tenebora? Trzeba mi trochę świeżego powietrza, jeśli mamy dalej rozmawiać. To ten sulidor, który opiera się o ścianę. On się mną opiekuje i wyniesie na dwór moje stare gnaty.

— Przed chwilą padał śnieg, Ced.

— To i dobrze. Czy umierający człowiek nie powinien popatrzeć na śnieg? — spytał Cullen. — Tu, przed tą chatą, jest najpiękniejszy widok na świecie. Chcę go jeszcze zobaczyć. Zawołaj Hor-tenebora.

Sulidor wziął w ramiona skurczone, kruche ciało chorego, wyniósł przed chatę i usadowił twarzą do jeziora w czymś podobnym do kołyski. Gundersen poszedł za nimi. Na wioskę opadła gęsta mgła, kryjąc najbliższe nawet chaty. Samo jednak jezioro pod kopułę szarawego nieba, było dobrze widoczne. Nad stalową powierzchnią

wody unosiły się pojedyncze pasma mlecznej mgły. Powietrze było zimne, przejmujące, ale Cullen, okryty jakąś skórą zwierzęcą nie odczuwał chyba chłodu. Wyciągnął rękę i patrzył z zachwytem, jak dziecko, gdy spadały na nią płatki śniegu.

— Odpowiesz mi na jedno pytanie? — odezwał się wreszcie Gundersen.

— O ile będę mógł.

— Co takiego zrobiłeś, że nildory aż tak się rozsierdziły?

— Nie powiedziały, gdy wysyłały cię po mnie?

— Nie — odparł Gundersen. — Mówiły, że jak będziesz chciał, to sam mi powiesz i że dla nich nie ma znaczenia, czy wiem, czy nie. Seena też nie wiedziała, a mnie samemu nic nie przychodziło do głowy. Nie należałeś do takich, którzy torturowaliby albo zabijali inteligentne stworzenia. Nie zabawiałbyś się też w taki sposób, jak Kurtz, jadem wężów. On zresztą robił to przez całe lata, a przecież nie starali się dostać go w swoje ręce. Co więc mogłeś zrobić, co spowodowało aż takie…

— Grzech Akteona — powiedział Cullen.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Popełniłem grzech Akteona, ale tylko przez przypadek. Według greckiego mitu Akteon, który był myśliwym, zaszedł kąpiącą się Dianę i zobaczył to, czego nie powinien. Diana zamieniła go w jelenia i został rozszarpany przez własne psy.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z…

Cullen nabrał głęboko powietrza. — Czy byłeś kiedyś na Płaskowyżu Centralnym? — zapytał cicho, ale wyraźnie. — Tak, no tak, oczywiście byłeś. Pamiętam, musieliście tam przymusowo lądować — ty i Seena w drodze powrotnej do Fire Point po urlopie na wybrzeżu. Byliście w tarapatach, baliście się dzikich zwierząt i wtedy Seena nabrała wstrętu do tego płaskowyżu. Tak było, prawda? A więc wiesz, jakie to dziwne, straszne, tajemnicze miejsce, odizolowane od reszty planety i nawet nildory niechętnie tam chodzą. No dobrze. Ja zacząłem odbywać tam wędrówki w jakiś rok lub dwa po zrzeczeniu się przez nas praw. Tam był mój azyl. Interesowały mnie zwierzęta żyjące na płaskowyżu, owady, rośliny, wszystko. Nawet powietrze miało tam specjalny smak — było słodkie i czyste. Odbyłem parę podróży na płaskowyż. Zbierałem tam różne okazy. Przywiozłem Seenie parę dziwolągów, które jej się spodobały i polubiła je, nim zdała sobie sprawę, że pochodzą z płaskowyżu. I tak stopniowo pomogłem jej pokonać irracjonalny strach i niechęć. Zaczęliśmy bywać tam razem, czasem również z Kurtzem. Na stacji przy Wodospadach Shangri-la jest sporo okazów flory i fauny z płaskowyżu, może zauważyłeś, co? Zgromadziliśmy je wspólnie. Płaskowyż stał się dla mnie takim samym miejscem, jak każde inne:

nic nadprzyrodzonego, nic niesamowitego, po prostu dzikie ostępy. Były to okolice, w które udawałem się, kiedy czułem się wewnętrznie rozbity, wyczerpany czy zniechęcony.

Jakiś rok temu, może mniej niż rok — kontynuował — udałem się na płaskowyż, Kurtz wrócił właśnie po ponownych narodzinach i Seena była strasznie zgnębiona tym, co się z nim stało. Chciałem ofiarować jej jakiś prezent, jakieś stworzenie, które by ją ucieszyło. Tym razem wybrałem się bardziej na południowy — zachód od miejsca, gdzie zwykle lądowałem, tam gdzie łączą się dwie rzeki. Nigdy tam jeszcze nie byłem. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, były kompletnie poobgryzane krzewy. Nildory! Mnóstwo nildorów! Ogromny obszar, cały wypasiony! Bardzo mnie to zaciekawiło. Czasem widywałem jakiegoś samotnego nildora na płaskowyżu, ale nigdy nie widziałem całego stada. Zacząłem iść wzdłuż tej linii zniszczenia. Biegła coraz dalej i dalej przez las niczym blizna — połamane gałęzie, stratowane jak zwykle poszycie. Zapadła noc, rozbiłem obozowisko i wydawało mi się, że z ciemności dochodzi odgłos bębnienia. To było głupie: przecież nildory nie używają bębnów. Po chwili zdałem sobie sprawę, że słyszę jak tańczą, jak tupią i właśnie to dudnienie niosło się po lesie. Dochodziły też inne dźwięki: jakieś piski, beczenie, ryki przerażonych zwierząt. Musiałem zobaczyć, co się dzieje. Zwinąłem więc obóz i zacząłem się skradać przez dżunglę. Hałas stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie dotarłem do skraju lasu i sawanny ciągnącej się w dół ku rzece. Tu, na otwartej przestrzeni, znajdowało się chyba z pięćset nildorów. Na niebie świeciły trzy księżyce i wszystko dobrze widziałem. Gundy, czy dasz wiarę, że one się wymalowały!? Jak dzikusy! Wyglądały na jakieś koszmarne zjawy. Na polanie były trzy zagłębienia, jakby sadzawki. Jedna wypełniona jakimś czerwonym mułem, a dwie — gałęziami, liśćmi i jagodami, które nildory tak stratowały, że wyciekł z nich barwny sok — w jednej był czarny, a w drugiej — siny. Obserwowałem, jak nildory wchodziły do tych zagłębień i tarzały się; najpierw w tym czerwonym mule i wyłaziły zupełnie szkarłatne, a potem nabierały trąbą barwnika z drugich sadzawek i malowały się w pasy czarne i niebieskie. Barbarzyński widok! Kiedy już się udekorowały, zaczynały biec, dosłownie pędziły, na miejsce, gdzie odbywały się tańce i zaraz zaczynały tupać w rytmie na cztery — wiesz, tak: bum, bum, bum, bum. Ale teraz było to nieskończenie bardziej dzikie i przerażające niż zwykle — armia nildorów na ścieżce wojennej. Tupały mocno nogami, kiwały wielkimi łbami, podnosiły trąby, ryczały, ryły kłami ziemię, skakały, śpiewały i wachlowały uszami. Przerażające, Gundy, wierz mi. I te ich wymalowane cielska oświetlone blaskiem księżyców. — Nie wychodząc z gęstego lasu — opowiadał dalej chory — przesunąłem się bardziej na zachód, żeby

mieć lepszy widok. Dalej, za tańczącymi, zobaczyłem coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Przestrzeń większa trzy albo cztery razy od tej całej wioski ogrodzona była balami. Nildory same nie były w stanie tego wykonać — mogły powyrywać drzewa i poprzenosić je trąbami, ale potrzebowały pomocy sulidorów, żeby je odpowiednio poukładać i zrobić z nich płot. Wewnątrz zagrody znajdowały się zwierzęta żyjące na płaskowyżu. Setki zwierząt różnych gatunków i wielkości: ogromne, z szyjami jak żyrafy, i podobnie do nosorożców, i płochliwe jak gazele, i jeszcze dziesiątki innych, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Wszystkie stłoczone razem. Z pewnością myśliwi-sulidory musieli za dnia przetrząsnąć zarośla i zgonić całą tę menażerię. Zwierzęta były niespokojne i przerażone. Ja również. Skuliłem się w ciemnościach i czekałem. Wreszcie tańczące nildory rozpoczęły obrzędy rytualne. Zaczęły coś wykrzykiwać i w końcu zorientowałem się, o co chodzi. Czy wiesz kim były te wymalowane bestie? Byli to grzesznicy, nildory, które utraciły łaskę! Było to miejsce pokuty i uroczystość oczyszczenia. Każdy nildor, który splamił się w ciągu roku, musiał tu przyjść i oczyścić się. Gundy, czy wiesz jakie to grzechy popełniały? Piły jad, który dawał im Kurtz! Stara zabawa na stacji wężów — dać się napić nildorom, samemu pociągnąć łyk i czekać, aż się pojawią halucynacje. Te wszystkie nildory zostały sprowadzone przez Kurtza z drogi cnoty. Ich dusze zostały zbrukane. Ziemski diabeł odnalazł ich czułe miejsce. Wiedział, jakiej pokusie nie zdołają się oprzeć. No i znalazły się tu, żeby się oczyścić. Płaskowyż centralny to czyściec nildorów. Nie mieszkają tam, bo to miejsce potrzebne im do obrządków. Tańczyły, Gundy, godzinami, ale to jeszcze nie był właściwy rytuał pokuty. To było dopiero preludium. Tańczyły godzinami tak, że mnie kręciło się w głowie od patrzenia: czerwone cielska, czarne paski, tupotanie nóg. A potem, kiedy zaszły księżyce i nadchodził świt, zaczęła się właściwa ceremonia. Patrzyłem i wtedy dopiero miałem możność wejrzenia w prawdziwą, ciemną duszę nildorów. Dwa stare nildory zbliżyły się do zagrody i zaczęły kopać w bramę. Kiedy wejście miało już jakieś dziesięć metrów szerokości, odsunęły się, a uwięzione zwierzęta zaczęły w popłochu wybiegać na równinę. Zwierzęta były przerażone całym tym hałasem, tańcami i tym, że były uwięzione. Biegały wkoło nie wiedząc dokąd uciekać. Wtedy nildory zaatakowały je. Wyobrażasz sobie? Tratowały, nadziewały na kły, chwytały trąbami i waliły o drzewa. Zrobiło mi się niedobrze. Jaką potworną śmiercionośną maszyną może być taki nildor: ten ciężar, kły, trąba, te ogromne nogi — w dzikim szale mordowania, pozbawiony wszelkich hamulców! Niektórym zwierzętom udało się oczywiście zbiec, większość jednak nie uniknęła okrutnego losu. Wszędzie zmiażdżone ciała, rzeki krwi. Z lasu wychodziły drapieżniki by ucztować, choć jeszcze trwało zabijanie.

Oto jak pokutują nildory: grzech za grzech. W ten sposób oczyszczają się. To właśnie na tym płaskowyżu, Gundy. rozładowują swą agresję. Odrzucają wszelkie hamulce i ujawnia się tkwiące w nich bestialstwo. Nigdy w życiu nie czułem takiego przerażenia, jak wtedy, gdy oczyszczały swoje dusze. Wiesz, jaki miałem zawsze szacunek dla nildorów. I wciąż jeszcze mam. Ale zobaczyć coś takiego, taką masakrę, obraz piekła — Gundy, zdrętwiałem z rozpaczy. Nie wydawało się, by to mordowanie cieszyło nildory, ale też nie wahały się przed zabijaniem i zabijały, bo po prostu trzeba było to robić, bo taka była forma ceremonii i nie zastanawiały się nad tym bardziej, niż Sokrates nad jagnięciem składanym Zeusowi w ofierze. Horror, doprawdy horror. Patrzyłem, jak nildory niszczyły życie ze względu na dobro swych dusz i czułem, że otwarła się pode mną jakaś zapadnia i że znalazłem się w innym świecie, którego istnienia nawet nie podejrzewałem. Potem nadszedł świt — mówił dalej Cullen. — Wstało słońce, ciepłe, złote promienie padały na stratowanie zwłoki. Nildory leżały spokojnie pośród tego pobojowiska, odpoczywały, ukojone, oczyszczone, wolne od wewnętrznego wzburzenia. Wokół rozlewał się się zdumiewający spokój. Stoczyły walkę ze swymi demonami i zwyciężyły. Przeszły przez nocny koszmar i były — nie wiem jak, ale rzeczywiście były — oczyszczone, pozbawione zmazy. Nie potrafię powiedzieć, jak można osiągnąć zbawienie poprzez przemoc i zniszczenie. Obce jest to moim poglądom i twoim pewnie też. Kurtz jednak to pojmował. Wybrał tę samą drogę, co nildory. Brnął w zło coraz głębiej i głębiej, radował się zepsuciem, chwalił znieprawieniem, a mimo to w końcu był w stanie osądzić się, uznać niegodnym i oderwać od tej ciemności, którą odkrył w sobie. I dlatego poszedł szukać odrodzenia i przez to wykazał, że anioł będący w nim jest jeszcze żywy. Tę kwestię będziesz sam musiał w sobie przetrawić, Gundy. Ja ci w tym pomóc nie jestem w stanie. Mogę ci tylko przekazać, co widziałem tamtego ranka, o wschodzie słońca na brzegu morza krwi. Spojrzałem w otchłań. Dane mi było uchylić zasłonę i zobaczyłem, dokąd poszedł Kurtz, dokąd idą te wszystkie nildory i dokąd, być może, pójdziesz i ty. Ja nie mogłem.

— O mało co, byliby mnie wtedy schwytali — głos chorego człowieka był coraz słabszy. — Wpadli na mój trop, poczuli mój zapach. Gdy byli opanowani tym szaleństwem, nie mogli jak sądzę, nic zauważyć, tym bardziej, że cuchnęły setki zwierząt w zagrodzie. Ale potem zaczęli niuchać: trąby podnosiły się do góry i poruszały się niczym peryskopy. W powietrzu unosił się odór świętokradztwa, smród szpiegującego bluźnierczo Ziemianina. Pięć, dziesięć minut pociągały nozdrzami, a ja stałem w krzakach jak sparaliżowany tym, co widziałem i nie zdawałem sobie sprawy, że łapią właśnie mój zapach. Potem nagle rozjaśniło mi się w głowie. Odwróciłem się i

zacząłem umykać przez las, a one puściły się za mną. Dziesiątki. Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ściga cię w dżungli stado wściekłych nildorów? Starałem się wybierać wąskie przejścia, w które one nie mogły się zmieścić, prześlizgiwałem się wśród drzew, krzewów i kamieni. I biegłem, biegłem, pędziłem, aż upadłem nieprzytomny w gąszczu i zwymiotowałem. Chciałem odpocząć, ale usłyszałem, że są na moim tropie i znów biegłem. Znalazłem się nad bagnem, wskoczyłem mając nadzieję, że stracą ślad. Kryłem się między trzcinami, brnąłem w błocie, ale nildory otoczyły cały teren. Wiemy, że tam jesteś — wołały do mnie. Wychodź. Wyjdź. Przebaczamy ci, chcemy cię tylko oczyścić. Tłumaczyły mi wszystko, nawet rozsądnie. Niechcący — och, oczywiście, niechcący, mówiły dyplomatycznie — widziałem ceremonię, której nikt poza nildorami nie miał prawa oglądać i teraz jest konieczne, aby wytrzeć to z mej pamięci. Można tego dokonać prostymi technicznymi środkami, których nie warto nawet opisywać. Miały pewnie na myśli narkotyki. Nie zgadzałem się, nic nie odpowiedziałem. Mówiły dalej, zapewniając mnie, że nie żywią urazy, że zdają sobie sprawę, iż nie miałem zamiaru podpatrywać ich tajemniczych obrządków, ale ponieważ widziałem je, należy podjąć odpowiednie kroki — i tak dalej. Zacząłem czołgać się w dół strumienia, oddychając przez trzcinę. Kiedy wychynąłem na powierzchnię, nildory wciąż wolały mnie i były coraz bardziej złe. Denerwowało je, że nie chciałem wyjść. Nie ganiły mnie za podglądanie, ale miały mi za złe, że nie zgadzam się na oczyszczenie. Właśnie to była moja prawdziwa zbrodnia — nie to, że kryłem się w krzakach i szpiegowałem je, ale że nie chciałem poddać się oczyszczeniu. Cały dzień przesiedziałem w strumieniu, a gdy zapadł zmrok wylazłem i złapałem sygnał kierunkowy mojego transportera, który jak się okazało, był oddalony o jakieś pół kilometra. Obawiałem się, że nildory będą go pilnowały, ale nie. Wsiadłem i koło północy wylądowałem u Seeny. Wiedziałem, że mam niewiele czasu. Nildory będą ścigały mnie po całym kontynencie. Azylu mogły mi udzielić tylko sulidory. Są one zazdrosne o sprawowanie władzy na Belzagorze. I tak przybyłem do tej wsi. Zwiedzałem Krainę Mgieł, aż pewnego dnia poczułem raka w swych jelitach i zdałem sobie sprawę, że to już koniec. Od tamtej chwili czekam na koniec, a jest on już bliski. Zamilkł.

— Dlaczego nie chcesz zaryzykować powrotu? — odezwał się po chwili Gundersen. — Cokolwiek przecież chciałyby ci zrobić nildory, nie może być równie okropne, jak siedzenie na progu chałupy sulidorów i czekanie na śmierć!

Cullen nic nie odpowiedział.

— Jeśli nawet dadzą ci narkotyk niszczący pamięć — mówił dalej Gundersen, — to czy nie lepiej stracić część wspomnień niż całą

przyszłość? Gdybyś tylko zechciał wrócić, Ced, i pozwolił byśmy zajęli się twoim leczeniem…

— Kłopot z tobą, Gundy, nie rozumujesz zbyt logicznie — powiedział Cullen. — A przecież mądry z ciebie i rozsądny facet! Jest tam jeszcze jedna butelka wina. Może zechciałbyś ją przynieść?

Gundersen przeszedł koło skulonego sulidora i wszedł do chaty, po wino. Chwilę błądził w ciemności szukając butelki i wtedy przyszło mu na myśl rozwiązanie sytuacji Cullena: po prostu sprowadzi mu lekarstwo! Przerwie, przynajmniej chwilowo, swą podróż na Górę Ponownych Narodzin i uda się do Wodospadów Shangri-la, żeby przywieźć lek antyrakowy. Może nie będzie jeszcze za późno. Gundersen mówił sobie, że zajście między Cullenem a nildorami to nie jego sprawa i że swoją umowę z nildorem uważa za anulowaną. Powiedziałem przecież — perswadował sobie — że sprowadzę Cullena tylko za jego zgodą, a on najwyraźniej dobrowolnie nie pójdzie. Teraz więc moim zdaniem jest uratować mu życie. Potem będę mógł wyruszyć w góry.

Znalazł wino i zabrał je.

Cullen leżał w swej kołysce. Podbródek oparty miał na piersi, oczy zamknięte, oddychał słabo, jakby długi monolog bardzo go wyczerpał. Gundersen nie chciał go niepokoić, postawił wino i odszedł. Spacerował ponad godzinę, rozmyślał, ale nie doszedł do żadnych nowych wniosków.

Kiedy wrócił, Cullen leżał tak jak poprzednio, nie ruszał się.

— Śpi jeszcze? — zapytał sulidorów.

— Zapadł w bardzo długi sen — odparł jeden z nich.

XIV

Mgła zgęstniała. Ze wszystkich drzew, z każdego dachu spadały krople wilgoci. Nad brzegiem ołowianego jeziora Gundersen spalił miotaczem płomieni wynędzniałe zwłoki Cullena. Sulidory przyglądały się w uroczystym milczeniu. W chacie znajdowało się parę drobiazgów zmarłego. Gundersen przejrzał je sądząc, że może znajdzie jakiś dziennik lub pamiętnik. Było jednak tylko parę zardzewiałych narzędzi, pudło z wyschniętymi owadami i jaszczurkami oraz trochę spłowiałej garderoby.

Sulidory przyniosły mu zimny obiad, który zjadł siedząc na drewnianej kołysce przed chatą Cullena. Zrobiło się ciemno, wszedł więc do wnętrza, by położyć się spać. Se-holomir i Yi-gartigok stanęli na straży przed wejściem, choć ich o to nie prosił. Zaraz zasnął.

Rano wstał, spakował plecak i dał sulidorom znak, że rusza w drogę. Se-holomir i Yi-gartigok podeszli do niego.

— Dokąd teraz pójdziesz? — spytał jeden z nich.

— Na północ.

— Czy mamy iść z tobą?

— Pójdę sam — odpowiedział Gundersen.

Przed nim była trudna droga, może nawet niebezpieczna, ale możliwa do pokonania. Wiedział, że w napotkanych wioskach sulidorów znajdzie gościnę, miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał z niej korzystać. Był eskortowany dostatecznie długo, najpierw przez Srin'gahara, potem przez różne sulidory. Uważał, iż powinien zakończyć tę pielgrzymkę bez przewodnika.

Wyruszył w dwie godziny po wschodzie słońca.

Zapowiadał się ładny dzień. Powietrze było chłodne i czyste, mgła podniosła się wysoko, widoczność była dobra. Przeszedł przez las na tyłach wsi i znalazł się na dość wysokim wzgórzu. Z jego szczytów mógł objąć wzrokiem cały krajobraz: surowy, porośnięty lasami, poprzecinany rzekami, strumieniami, z płachtami jezior. Zdołał nawet dostrzec szczyt Góry Odrodzenia — różowy wierzchołek na północnym horyzoncie wydawał się tak bliski, że tylko wyciągnąć rękę, tylko rozprostować palce i można go dotknąć. A te wszystkie rozpadliny, wzgórza i zbocza, które oddzielały go od celu, nie wydawały się żadną przeszkodą — mógł ją pokonać kilkoma szybkimi skokami. Ciało jego rwało się do tego wysiłku: serce biło mu równo, wzrok miał ostry, nogi niosły go lekko. Czuł, jak rośnie mu dusza, jak ogarnia go niepowstrzymana chęć życia. Fantomy, które przez tyle lat go tumaniły, teraz gdzieś uleciały. W tym kraju chłodu, śniegu i mgły poczuł się wypalony, oczyszczony, zahartowany, gotów przyjąć wszystko, co musi być zaakceptowane. Napełniła go jakaś dziwna

energia. Nie przeszkadzało mu ani rozrzedzone powietrze, ani zimno, ani ponurość i posępność otaczającego go krajobrazu. Poranek był niezwykle jasny, poprzez wysoko płynące mgły przedzierały się promienie słońca, złocąc drzewa i gołą ziemię. Gundersen szedł uparcie naprzód.

Około południa mgła zgęstniała i widoczność stała się bardzo ograniczona. Gundersen widział tylko na odległość ośmiu, dziesięciu metrów. Ogromne drzewa stanowiły obecnie poważną przeszkodę: ich wystające, poskręcane korzenie i przypory były prawdziwą pułapką dla nieuważnego wędrowca. Gundersen starał się iść bardzo ostrożnie. Potem wkroczył na teren gdzie wielkie, spłaszczone na wierzchu głazy sterczały z ziemi, jeden za drugim, tworząc oślizgłe stopnie prowadzące do nieznanej krainy. Czołgał się po nich, macając na oślep, nie wiedząc, czy przy końcu nie czeka go upadek ani z jakiej wysokości. Czasami musiał skakać, a każdy taki skok był aktem wiary. Zaczynało go ogarniać zmęczenie, kolana i uda były coraz mniej sprawne, ale umysł miał jasny i nie opuszczało go uczucie zachwytu.

Na posiłek rozłożył się koło małego, idealnie okrągłego jeziorka o lśniącej jak lustro tafli wody, otoczonego smukłymi drzewami spowitymi mgłą. Rozkoszował się urokiem tego miejsca, doskonale odizolowanego od wszelkich niepokojów świata, i swoją samotnością. Mógł tutaj odetchnąć z ulgą po napięciu podróży, po tylu tygodniach wędrowania z nildorami i sulidorami w ciągłej obawie, że może je obrazić i nie uzyskać przebaczenia. Nie chciało mu się stamtąd odchodzić.

Gdy już zbierał swe rzeczy, w jego odosobnienie wdarł się jakiś niemiły dźwięk: buczenie maszyny gdzieś wysoko w górze. Osłonił oczy przed blaskiem i dojrzał lecący pod chmurami transportowiec. Mały pojazd o ściętym nosie krążył, jakby czegoś szukając. Czyżby mnie? — zastanawiał się Gundersen. Odruchowo skulił się przy pniu najbliższego drzewa, chociaż wiedział, że pilot nie mógł go zobaczyć. Po chwili pojazd odleciał i zniknął we mgle. Ale czar tego popołudnia rozwiał się, a mechaniczne, okropne dudnienie zakłóciło świeżo odnaleziony spokój.

Po godzinie marszu przez wysokopienny las Gundersen napotkał trzy sulidory, pierwsze od rozstania z Yi-gartigokiem i Se-holomirem. Nie miał pewności, jak przebiegnie spotkanie i czy pozwolą mu iść dalej swobodnie. Ta trójka była najwyraźniej myśliwymi, powracającymi do pobliskiej wioski. Dwa z nich niosły uwiązane do tyki jakieś zabite, czworonożne, trawożerne zwierzę. Miało ono aksamitną, czarną sierść i długie zakrzywione rogi. Gundersen poczuł intensywny skurcz strachu na widok zbliżających się do niego trzech gigantycznych stworzeń, ale strach ten szybko minął. Sulidory przecież, pomimo dzikiego wyglądu, nie były groźne. Mogły

oczywiście powalić go jednym uderzeniem łapy, ale po co? Nie miały większego powodu, by go zaatakować niż on, by je spalić miotaczem.

— Czy wędrowiec ma dobrą podróż? — spytał sulidor — przywódca, ten, który nie niósł zdobyczy. Mówił spokojnym grzecznym tonem w języku nildorów.

— Wędrowiec podróżuje bez przygód — odparł Gundersen i zaimprowizował ze swej strony pozdrowienia: — Czy las jest życzliwy dla myśliwych?

— Jak widzisz, myśliwym powiodło się. Jeśli twa droga prowadzi w stronę naszej wioski, zapraszamy cię. byś podzielił z nami upolowaną zwierzynę.

— Zmierzam ku Górze Odrodzenia.

— Nasza wieś leży więc na twej drodze. Pójdziesz z nami?

Gundersen przyjął zaproszenie, zwłaszcza, że zbliżała się noc i zaczynał wiać ostry, lodowaty wiatr. Wioska sulidorów była mała, leżała o godzinę drogi na północ, u podnóża stromej skały. Mieszkańcy byli uprzejmi, chociaż pełni rezerwy, ale w sposób całkowicie pozbawiony wrogości. Wyznaczyli mu kąt w chacie, dali jeść i pić i zostawili w spokoju. Nie traktowali go jak członka pogardzanej rasy dawnych zdobywców, obcego i niepotrzebnego, ale jak zwykłego podróżnika, potrzebującego schronienia. Sulidory nie miały oczywiście takich powodów do urazy, jak nildory, ponieważ nigdy nie były niewolnikami Kompanii. Gundersen jednak wyobrażał sobie zawsze, że duszą w sobie wściekłość i ta ich życzliwa uprzejmość była dla niego jakimś zaskoczeniem. Zaczynał podejrzewać, że dotychczasowe wyobrażenie o nich było projekcją jego własnych win. Rano przyniesiono mu wodę, owoce i ryby, a potem ich opuścił. Drugi dzień samotnej wędrówki nie przyniósł mu tyle radości, co pierwszy. Było zimno, wilgotno, często padał śnieg i cały prawie czas wisiała nisko gęsta mgła. Stracił cenne godziny poranne, bo dostał się w pułapkę bez wyjścia — po prawej i lewej stronie ciągnęły się pasma gór, a przed nim, niespodziewanie, pojawiło się wielkie, niemożliwe do przebycia jezioro. Musiał więc ominąć je kierując się na zachód i nadłożył wiele drogi. Widok otulonej w mgłę Góry Ponownych Narodzin przyciągał go nieodparcie. Przez dwie godziny po południu miał złudzenie, że nadrobił poranne opóźnienie, ale okazało się, że drogę zamyka mu znów szeroka rwąca rzeka. Nie miał odwagi jej przepłynąć, bo prąd na pewno zniósłby go. Przez następną godzinę lub dłużej, szedł w górę rzeki, aż natrafił na bród. Rzeka była tu co prawda szeroka, ale widać było mieliznę. W korycie leżały poza tym naniesione głazy łączące oba brzegi. Parę z nich sterczało nad powierzchnię, inne były zanurzone, ale widoczne. Gundersen rozpoczął przeprawę. Skakał z jednego głazu na drugi i nieomal jedną trzecią drogi przebył prawie suchą nogą. Potem nagle wpadł po szyję

do wody, ślizgał się, szukał po omacku. Spowijała go coraz gęściejsza mgła, dając poczucie absolutnej samotności w całym wszechświecie — przed nim i za nim kłębiły się białe tumany. Nie widział żadnych drzew, ani brzegu, ani nawet leżących przed nim głazów. Starał się wszystkimi siłami utrzymać na nogach i nie zbaczać z drogi. W pewnej chwili potknął się i znów wylądował w rzece. Zaczął go znosić prąd i stracił orientację, nie mógł się podnieść. Skoncentrował całą energię, by przywrzeć do jakiegoś kamienia i po paru minutach zdołał wstać na nogi. Zataczając się i dysząc dotarł do głazu, który wznosił się nad wodą. Ukląkł na nim. Był przemoczony i trząsł się z zimna. Minęło kilka minut nim mógł podjąć dalszą drogę. Wymacał przed sobą inny głaz wystający z wody, potem drugi i następny. Teraz było łatwo — posuwał się naprzód nie mocząc nóg. Przyspieszył kroku, pokonał dalszych parę głazów. W pewnym momencie mgła rozstąpiła się i mógł rzucić okiem na brzeg.

Coś mu się nie zgadzało. Zawahał się, czy iść dalej zanim się nie upewni, czy wszystko jest w porządku. Ostrożnie schylił się i zanurzył lewą rękę w wodzie. W otwartą dłoń uderzył go prąd płynący z prawej strony. Był zaskoczony. Pomyślał, że może zmęczenie i zimno pomieszało mu w głowie. Kilkakrotnie rozważał sytuację topograficzną i za każdym razem dochodził do tego samego, zatrważającego wniosku: jeśli przekraczam rzekę w kierunku północnym, a ona płynie z zachodu na wschód, to powinienem czuć prąd płynący z lewej strony. Zdał sobie sprawę, że usiłując wydostać się z wody musiał się obrócić i od tej chwili z najwyższym wysiłkiem wracał z powrotem na południowy brzeg rzeki.

Zaczął wątpić we własny sąd. Miał ochotę zaczekać tu, na tym kamieniu, aż przerzedzi się mgła i będzie mógł iść dalej, ale potem pomyślał, że może tak czekać całą noc albo dłużej. Nagle przypomniał sobie, że przecież ma przy sobie kompas. Nastawił go i okazało się, że jego wnioski dotyczące kierunku prądu były słuszne. Ruszył więc z powrotem przez rzekę i wkrótce doszedł do miejsca, gdzie skąpał się w wodzie. Dalszą drogę przebył tym razem bez większych trudności.

Na brzegu zdjął ubranie i wysuszył je przy pomocy małego płomienia miotacza. Zapadła już noc. Z przyjemnością przyjąłby zaproszenie do jakiejś wioski sulidorów, ale żaden gościnny gospodarz nie pojawił się. Musiał więc przespać się skulony pod krzakiem.

Następny dzień był cieplejszy i mniej mglisty. Gundersen ruszył w drogę pełen obaw, czy znów nie zatrzyma go jakaś nieprzewidziana przeszkoda. Kraj tutaj był nierówny, pofałdowany. Gundersen pokonując jedno wzniesienie za drugim piął się coraz wyżej, ponieważ cały teren wznosił się ku rozległej wyżynie, na której dominowała Góra Ponownych Narodzin.

Wczesnym popołudniem dostrzegł, że biegnące ze wschodu na

zachód fałdy jakby skręciły i powstały bruzdy skierowane z południa na północ. Otwierały się one na szeroką, kolistą łąkę, porośniętą trawą, ale bez drzew. Pasły się tam w ogromnych stadach wielkie zwierzęta północy, których nazw Gundersen nawet nie znał.

Znowu usłyszał buczący odgłos nadlatującej maszyny.

Transporter, który pojawił się poprzedniego dnia, powracał i przelatywał zupełnie nisko, tuż nad głową. Gundersen rzucił się na ziemię i miał nadzieję, że go nie zauważą. Zwierzęta wokół niego kręciły się, ale nie uciekały. Pojazd podszedł do lądowania o jakieś tysiąc metrów na północ. Pomyślał, że to pewnie Seena wyruszyła chcąc go odnaleźć, zanim odda się w ręce sulidorów na Górze Ponownych Narodzin. Mylił się jednak. Z maszyny zaczęli wysiadać turyści Van Benekera.

Gundersen podczołgał się za pagórek porośnięty podobnymi do ostów roślinami i tam ukrył się. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że mógłby spotkać ich teraz, w tym stadium swojej pielgrzymki, teraz kiedy był już oczyszczony z wielu cech osobowości Gundersena.

Obserwował turystów.

Podchodzili do zwierząt, fotografowali je, a nawet ośmielali się dotykać te, które wydawały im się bardziej łagodne. Gundersen słyszał ich głosy i śmiechy rażąco brzmiące w panującej wokół ciszy. Słyszał też, górujący nad rozmowami, głos Van Benekera. który coś wyjaśniał. Te istoty ludzkie poruszające się po łące wydawały się Gundersenowi równie obce jak sulidory. A może nawet bardziej. Zdawał sobie sprawę, że w ciągu tych paru mglistych, zimnych dni samotnej wędrówki zaszły w nim zmiany, których sam jeszcze nie pojmował. Czuł, że uwolnił swojego ducha od nadmiaru obciążeń, że stał się człowiekiem pod każdym względem prostszym, naturalniejszym, a jednak bardziej złożonym.

Godzinę, a może dłużej, wciąż w ukryciu czekał, aż turyści przestaną interesować się łąką i wrócą do maszyny. Co dalej? Czy Van Beneker zabierze ich na północ, by mogli podpatrzeć, co dzieje się na Górze Odrodzenia? Nie. Nie. To niemożliwe. Van Beneker, jak każdy przyzwoity Ziemianin, miał stracha przed tą całą historią z ponownymi narodzinami i nie śmiałby zapuścić się w te tajemnicze okolice.

A jednak transporter poleciał na północ.

Gundersen w rozpaczy zaczął wołać, by zawrócił. Mały, błyszczący pojazd, jakby go słuchał, zatoczył koło nabierając wysokości. Pewnie Van Beneker starał się po prostu chwycić tylny wiatr. Gundersen odetchnął z ulgą i ruszył naprzód, strasząc zwierzęta głośnymi okrzykami radości.

Wydawało się, że teraz już wszystkie przeszkody pozostały za nim. Gundersen przeszedł przez dolinę, bez trudu poradził sobie z

ośnieżoną półką, przebrnął przez płytki potok, skrócił sobie drogę idąc przez las na przełaj. Wpadł w jednostajny rytm wędrówki, nie zwracał uwagi na zimno, mgłę, konieczność pokonywania wzniesień czy zmęczenie. Był w świetnej formie. Kiedy spał, spał zdrowo i mocno; kiedy poszukiwał jedzenia, znajdował to, co było odpowiednie; kiedy postanowił pokonać jakąś odległość, pokonywał ją. Spokój emanujący z otoczenia skłaniał go do dokonywania rzeczy niezwykłych. Sam siebie wystawiał na próbę, sprawdzając granice swej wytrzymałości, dochodząc do nich i przekraczając je przy najbliższej sposobności.

Na tym etapie swej podróży był całkowicie samotny. Czasami tylko widywał ślady sulidorów na zamarzniętym śniegu. Transporter już nie powrócił. Sny też miał spokojne. Zjawa Kurtza, która męczyła go ostatnio, zniknęła.

Nie miał pojęcia, ile dni minęło od śmierci Ceda Cullena. Nie czuł niecierpliwości ani znużenia, ani pragnienia, by to wszystko już się skończyło. Było więc dla niego pewną niespodzianką, kiedy znalazł się na gładkim występie skalnym, szerokim na blisko trzydzieści metrów, obrzeżonym ścianą lodowatych sopli; spojrzał w górę i uświadomił sobie, że zaczął wchodzić na Górę Ponownych Narodzin.

XV

Z daleka wydawało się, że góra strzela z mglistej równiny jedną potężną bryłą. Ale teraz, kiedy Gundersen znalazł się u jej podnóża spostrzegł, że składa się ona jakby z podestów z różowego kamienia spiętrzonych jeden nad drugim.

Wejście było łatwe. Pomiędzy skałami biegła kręta ścieżka najwyraźniej naturalnego pochodzenia, która pozwalała Gundersenowi piąć się pod górę. Na drodze leżały kupy łajna nildorów dowodzące, że znajdował się na właściwej trasie.

Wspinał się więc w równym tempie. Było zimno, ale rześko. Na tej wysokości obłoki mgły były postrzępione i nie ograniczały widoczności. Obejrzał się wstecz i zobaczył daleko w dole równinę.

Zastanawiał się, kiedy go zatrzyma jakiś sulidor. Było to przecież najświętsze miejsce na tej planecie. Czyżby nie stały tu żadne straże? Czy nikt go nie pochwyci, nie będzie przesłuchiwał, nie każe zawracać?

Po dwóch godzinach wspinaczki doszedł do miejsca, z którego nie było widać wierzchołka góry, a droga zakręcała w prawo i niknęła za masywem górskim. Zza zakrętu wyszły trzy sulidory. Obrzuciły go obojętnym wzrokiem i oddaliły się nie poświęcając mu specjalnej uwagi — jakby było rzeczą całkiem normalną, że Ziemianin wstępuje na Górę Odrodzenia.

Albo, pomyślał Gundersen czując się nieswojo, jakby właśnie jego tu oczekiwano.

Po pewnym czasie droga znów zaczęła się wznosić. Tutaj nawisy skalne tworzyły jakby częściowy dach, który jednak nie stanowił żadnej ochrony. Gnieżdżące się wyżej munzory chichocząc zrzucały kamyki, płaty mchu i jeszcze gorsze rzeczy. Czy to małpy? Czy gryzonie? W każdym razie zakłócały bluźnierczo uroczystą powagę wspaniałego szczytu. Huśtały się na swych chwytnych ogonach, strzygły owłosionymi uszami, pluły, śmiały się. Co chciały powiedzieć? „Umykaj stąd przybyszu z Ziemi, to nie miejsce dla ciebie!" Albo może: „Porzućcie nadzieję ci, którzy tu wstępujecie!".

Gundersen rozłożył się na noc pod skalną półką. Parę razy jakiś munzor skrobnął go ostrymi pazurkami po twarzy. Raz zbudził się, gdyż wydawało mu się, że z przepaści dochodzi rozpaczliwe łkanie kobiety. Podszedł na skraj występu i zobaczył, że w dole szaleje burza śnieżna. Płaczu już więcej nie usłyszał. Zasnął znów i spał snem narkotycznym, aż zbudziły go promienie wschodzącego słońca.

Umył się w lodowatym strumieniu i podjął wędrówkę. W trzeciej godzinie wspinaczki minął grupę pięciu nildorów wlokących się na swe ponowne narodziny. Nie były zielone, ale różowo-szare i należały

do pokrewnej rasy nildorów ze wschodniej półkuli. Skóra ich była sztywna i popękana, a trąby — grubsze i dłuższe niż u nildorów z zachodu — zwisały bezwładnie. Nildory były wyczerpane. Nie znając sposobu przepłynięcia oceanu musiały wyruszyć drogą lądową poprzez wysuszone Morze Piasku.

— Niech radość opromieni wasze ponowne narodziny! — zawołał mijając je.

— Niech twa podróż przebiega spokojnie — odpowiedział mu jeden z nich.

One również nie widziały nic niewłaściwego w jego obecności. Ale on sam nie mógł pozbyć się myśli, że jest intruzem, że wdarł się tu na siłę. Oczekiwał, że lada chwila pojawi się jakiś strażnik góry i zabroni mu iść dalej.

Ponad nim, wyżej o dwa lub trzy okrążenia ścieżki, coś się działo. Widać było dwa nildory i z dziesięć sulidorów stojących u wejścia do jakieś czarnej rozpadliny w skalnej ścianie. Mógł je dostrzec wychylając się niebezpiecznie z samej krawędzi ścieżki. Z tej pieczary wyłonił się trzeci nildor, a kilka sulidorów weszło do środka. Jakiś przystanek w drodze do miejsca ponownych narodzin — pomyślał.

Ścieżka otaczała pętlą sterczącą grań i droga przedłużała się. Zapadł już zmierzch, a pieczara, do której zdążał, była wciąż na wyższym poziomie. Dotarł do niej, gdy zrobiło się już zupełnie ciemno.

Mgła otuliła wszystko dokoła. Znajdował się pewnie w połowie drogi do szczytu. Tutaj ścieżka rozszerzała się tworząc plac pokryty łupkami jasnego kamienia. W zagłębieniu skalnej ściany Gundersen zobaczył czarny otwór w kształcie odwróconego V, który prowadził do jakiejś pieczary. Po lewej stronie wejścia leżały dwa śpiące nildory, a po prawej rozprawiało o czymś pięć sulidorów.

Gundersen usadowił się za pokaźnym głazem, skąd niedostrzeżony mógł obserwować wejście do jaskini. Sulidory weszły do środka i przez jakąś godzinę nic się nie działo.

Potem zobaczył, że wyszły, zbudziły jednego z nildorów i wprowadziły go do jaskini. Minęła druga godzina nim przyszły po następnego. Gundersen był sam. Mógł teraz zajrzeć do jaskini, ale wahał się niezdecydowany, przejęty dreszczem. Trudno mu było oddychać, nic nie widział, bo wszystko przesłaniała mgła. Chciał odzyskać choć trochę tej pewności siebie, jaką odczuwał pierwszego dnia po śmierci Cullena, kiedy wyruszył w tę ciężką samotną wędrówkę. Wreszcie, z wielkim wysiłkiem, wziął się w garść i w końcu się zdecydował.

Wszedł do pieczary.

Wokół panowała ciemność. Przy wejściu nie było widać ani nildorów, ani sulidorów. Ostrożnie posuwał się naprzód. Jaskinia była

zimna, ale sucha. Zaryzykował — zapalił mały płomień miotacza i wówczas zobaczył, że stoi na środku ogromnej komnaty, której sklepienie niknęło w mroku. Na wprost widział wylot korytarza. Przejście było wystarczająco szerokie dla Gundersena, ale nildory musiały się przez nie przeciskać z niemałym trudem.

Skierował w stronę tego przejścia. Zgasił miotacz i posuwał się w głąb po omacku dotykając ścian. Korytarz zakręcał ostro w lewo, a po dwudziestu krokach równie ostro w prawo. Za drugim zakrętem powitało Gundersena słabe światło, które sączyło się z fosforyzujących tworów grzybowatych na suficie. Poczuł ulgę. a równocześnie zaniepokoił się, że ktoś może go zauważyć. Korytarz ciągnął się w nieskończoność w głąb góry, a po obu jego stronach znajdowały się dalsze komnaty i przejścia.

Posunął się naprzód i zajrzał do najbliższej z tych komnat. Znajdowało się w niej coś wielkiego, dziwnego, ale wyraźnie żywego. Na podłodze na gołych kamieniach spoczywała masa różowego mięsa, bezkształtna i spokojna. Gundersen wypatrzył krótkie, grube odnóża i zakręcony ogon. Nie widział głowy ani innych charakterystycznych szczegółów pozwalających zakwalifikować to coś do jakiegoś znanego gatunku. Mógł to być nildor, choć nie wydawał się dostatecznie duży. Gundersen obserwował to i zobaczył, że w pewnej chwili nabrzmiało biorąc oddech, a potem to obrzmienie powoli opadło. Następny wdech i wydech nastąpił za parę minut. Gundersen poszedł dalej.

W kolejnej sali znalazł podobną kupę nieuformowanego mięsa. W trzeciej — to samo. Sąsiednia komnata zajęta była przez sulidora leżącego w dziwnej pozycji: na plecach ze sztywno wyciągniętymi do góry łapami. W następnej też był sulidor, w takiej samej pozycji, a uderzające było, iż nie miał futra — leżał zupełnie nagi i pod gładką, szarą skórą rysowały mu się wyraźnie wszystkie mięśnie. Idąc dalej Gundersen napotkał coś jeszcze bardziej dziwacznego: miało to grzebień, kły i trąbę nildora, ale kształty i potężne łapy sulidora. Cóż to za koszmarny potworek? Gundersen stał przez dłuższą chwilę patrząc zdumiony i zastanawiał się, w jaki sposób głowa nildora mogła zostać złączona z ciałem sulidora. Zdawał sobie sprawę, że nie może to być wynik naturalnego skojarzenia. Ten śpiący stwór ma po prostu cechy obu gatunków, a więc? Jakaś hybryda? Mieszanka genetyczna?

Nie miał pojęcia. Teraz jednak już wiedział, że to nie jest stacja przystankowa na drodze do miejsca ponownych narodzin. Tu właśnie odbywały się ponowne narodziny.

W dali, z bocznego korytarza wyłoniły się jakieś istoty i przeszły przez główną komnatę. Były to dwa sulidory i nildor. Gundersen przywarł do ściany i pozostał bez ruchu, dopóki się nie oddaliły i nie Zniknęły w dalszym pomieszczeniu. Potem podjął znowu swoją

wędrówkę.

Widział same cuda. W tym miejscu nie obowiązywały żadne bariery.

Tu oto leżała gąbczasta masa różowego mięsa z jedną jedyną rozpoznawalną cechą — długim ogonem sulidora. Tam znajdował się sulidor pozbawiony futra, a łapy były skrócone i grube — przypominały nogi nildora. Tułów również stawał się ciężki i gruby. Tu znów leżał kawał surowego mięsa niepodobny ani do nildora, ani do sulidora, ale żywy, czekający na twórczą dłoń rzeźbiarza. A tutaj zgromadzono trąby, grzebienie, kły, szpony, łapy i ogony. Leżały płaty futra oraz gładkiej skóry, nieuformowane kawały mięsa.

Wydawało się, iż nie obowiązywały tu żadne prawa biologii. A nie była to też zabawa w inżynierię genetyczną. Gundersen wiedział, że na Ziemi każdy zdolny technik zręcznymi ukłuciami igły i wprowadzeniem odpowiednich leków potrafi przemodelować plazmę — mógł spowodować, że wielbłądzica urodzi hipopotama albo wiewiórka — kota, a nawet kobieta wyda na świat sulidora. Tutaj jednak działo się coś zupełnie innego.

Gundersen wiedział, że na Ziemi można skłonić każdą żywą komórkę, by grała rolę zapłodnionego jajeczka, dzieliła się, rosła i przekształcała w pełny organizm. Jad z Belzagora był jednym z katalizatorów w takich procesach. Ale tu działo się coś zgoła odmiennego.

Tutaj — uświadomił sobie Gundersen — dokonywała się transmutacja gatunków. Tu nie ulegały obróbce komórki rozrodcze, ale dorosły organizm. Teraz zrozumiał uwagę Na-sinisula, gdy zapytał, czy sulidory również podlegają ponownym narodzinom: „Gdyby nie było dnia, jakże mogłaby być noc"? Właśnie tak: nildor w sulidora, sulidor w nildora. Gundersen doznał szoku, zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć się o ścianę. Nie widział we wszechświecie żadnego punktu oparcia. Co było prawdziwe? Co było trwałe?

Zastanawiał się, co na tej górze działo się niegdyś z Kurtzem.

Wszedł do komory, w której leżało jakieś stworzenie podlegające metamorfozie, mniejsze od nildora, a większe niż sulidor. Miało zęby, a nie kły, trąbę zamiast ryja i pokryte było futrem. Nie miało szponów, tylko łapy z grubymi poduszkami, ale ciało ukształtowane tak, że mogło chodzić w postawie wyprostowanej.

— Kim jesteś? — wyszeptał Gundersen. — Kim jesteś? Kim byłeś? Dokąd zmierzasz?

Ponowne narodziny. Jeden cykl następuje po drugim. Nildory podejmujące pod wewnętrznym przymusem pielgrzymkę na północ, wkraczają do tych jaskiń i stają się… sulidorami? Czy to możliwe?

Jeżeli to prawda, myślał Gundersen, to rzeczywiście nie wiemy nic o tej planecie. A to… jest prawda!

Zaczął biegać jak szalony z jednego pomieszczenia do drugiego, nie dbając już o to, że może zostać zauważony. Każda komora potwierdzała jego przypuszczenie. Widział nildory i sulidory w różnych fazach metamorfozy. Niektóre były nieomal całkowicie nildorami, niektóre bezsprzecznie sulidorami. ale większość znajdowała się w takim stanie, że trudno było powiedzieć, w jakim ostatecznym kierunku zmierzają. Wszystkie spały, nie poruszały się. W tych zimnych ciemnych komnatach przemiana przechodziła jak sen.

Gundersen dotarł do końca korytarza. Oparł dłonie o zimny kamień. Potem odwrócił się bez tchu, zlany potem, i wszedł do ostatniej komnaty.

Znajdował się w niej sulidor. Nie spał jeszcze. Trzy węże z tropików delikatnie oplatały go swymi splotami. Sulidor był ogromny, posiwiały ze starości i prezentował się niezmiernie godnie.

— Na-sinisul? — spytał Gundersen

— Wiedzieliśmy, że nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał tu przyjść, Edmundzie Gundersenie.

— Nigdy nie wyobrażałem sobie… Nie rozumiałem…

— Gundersen przerwał i starał się opanować. — Wybacz mi — powiedział już spokojniej — jeśli mimo woli stałem się intruzem. Czy może przeszkodziłem ci w rozpoczęciu ponownych narodzin?

— Mam jeszcze parę dni — odparł sulidor. — Teraz przygotowuję komnatę.

— I wyjdziesz z niej jako nildor?

— Tak — oświadczył Na-sinisul.

— Życie płynie tu cyklicznie: sulidor w nildora, nildor w sulidora, sulidor w…

— Tak. Wciąż na nowo. Odrodzenie po odrodzeniu.

— A więc wszystkie nildory spędzają część życia jako sulidory, a wszystkie sulidory jako nildory?

— Tak. Wszystkie.

Jak to się zaczęło — zastanawiał się Gundersen. W jaki sposób połączyły się losy tych dwóch jakże różnych gatunków? Jak to się stało, że cała populacja zgodziła się poddać takiej metamorfozie? Nie mógł tego zupełnie pojąć. Ale wiedział teraz, dlaczego nigdy nie widział dziecka nildora lub sulidora.

— Czy na tym świecie — zapytał — rodzi się potomstwo nildorów lub sulidorów?

— Tylko wtedy, jeśli trzeba zastąpić tych, którzy już nie mogą się odrodzić. Nie zdarza się to często. Wielkość naszej populacji jest stała.

— Stała, a jednak wciąż zmieniająca się.

— Wzór tych zmian daje się przewidzieć — oznajmił Na-sinisul. — Gdy się stąd wyłonię, będę Fi'gontorem dziewiątych narodzin. Moi pobratymcy już trzydzieści obrotów czekają na mnie, ale pewne

okoliczności wymagały, bym pozostał dłużej wśród lasów i mgły.

— Czy narodziny już po raz dziewiąty są rzeczą niezwykłą?

— zainteresował się Gundersen.

— Są wśród nas tacy, którzy byli tu już piętnaście razy. Są i tacy, którzy czekają nawet sto obrotów, nim zostaną wezwani po raz pierwszy. Nie wiadomo kiedy nadejdzie wezwanie. A dla tych, którzy na to zasługują, życie nie ma końca.

— Nie ma… końca…?

— Czemu miałoby się kończyć? — zdziwił się Na-sinisul.

— Na tej górze zostajemy oczyszczeni z zatrucia latami, a w innymi miejscu oczyszczamy się z trucizny grzechów.

— To się dzieje na płaskowyżu centralnym.

— Widzę, że rozmawiałeś z człowiekiem Cullenem.

— Tak — przyznał Gundersen. — Tuż przed jego śmiercią.

— Wiedziałem, że jego życie dobiegło końca — powiedział Na-sinisul. — Tutaj wiadomości docierają szybko.

— Gdzie znajdują się Srin'gahar i Luu'khamin, i inni, z którymi podróżowałem — spytał Gundersen.

— Są tutaj, w komnatach niedaleko stąd.

— Już się odradzają?

— Tak, od paru dni. Wkrótce staną się sulidorami i będą żyć na północy, aż zostaną wezwani, by ponownie przybrać kształty nildorów. Odnawiamy swoje dusze dzięki temu, że wkraczamy w nowe życie.

— Czy będąc sulidorem pamiętasz swoje poprzednie życie jako nildora? — chciał wiedzieć Gundersen.

— Oczywiście! Jaką wartość może mieć doświadczenie, o którym się zapomni? Gromadzimy mądrość. Nasze poznanie prawdy jest głębsze dzięki temu, że widzimy wszechświat raz oczami nildora, a raz sulidora. Obie formy istnienia różnią się od siebie nie tylko ciałem. Ponowne narodziny są wejściem w nowy świat, a nie jedynie w nowe życie.

— A jeśli ktoś — z wahaniem zapytał Gundersen — nie jest z tej planety, czy może przejść ponowne narodziny? Co się wtedy dzieje? Jakie zmiany zachodzą?

— Widziałeś Kurtza?

— Widziałem — odpowiedział Gundersen. — Ale nie mam pojęcia co się z nim stało.

— Kurtz stał się prawdziwym Kurtzem — oznajmił sulidor.

— Wasz gatunek nie podlega prawdziwej transformacji, ponieważ nie posiadacie gatunku uzupełniającego. Zmieniacie się, owszem, ale jedynie w granicach własnego potencjału; wyzwalacie te siły, które już w was istnieją. Kurtz, kiedy spał, wybrał dla siebie nową formę — nikt mu jej nie narzucał. Nie jest łatwo wytłumaczyć to słowami,

Edmundzie Gundersenie.

— Gdybym więc ja ponownie się narodził, nie musiałbym koniecznie zmieniać się w coś takiego jak Kurtz?

— Nie. Chyba, że twoja dusza jest taka sama jak dusza Kurtza, co jednak nie jest możliwe.

— Czym w takim razie mógłbym się stać?

— Tego nikt nie wie. Jeśli chcesz przekonać się, co mogą ci przynieść ponowne narodziny, musisz po prostu narodzić się po raz drugi.

— Ale czy będzie mi wolno? — upewnił się Gundersen.

— Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem ci — mówił Na-sinisul spokojnie i poważnie — że nikt na tym świecie nie będzie cię powstrzymywał od zrobienia czegokolwiek. Nie zatrzymano cię, gdy wstępowałeś na Górę Odrodzenia, nie byłeś powstrzymywany, kiedy badałeś komnaty. Powtórne narodziny nie zostaną ci odmówione, jeśli czujesz potrzebę, by ich doświadczyć.

Gundersen powiedział natychmiast, zdecydowanie i wyraźnie:

— Chcę się ponownie narodzić.

XVI

W milczeniu, bez zdziwienia, Na-sinisul prowadzi go do pustej komnaty i wskazuje gestem, by zdjął ubranie. Gundersen rozbiera się. Trochę niezręcznie zmaga się z suwakami i zapinkami. Na polecenie sulidora kładzie się na podłodze, tak jak inni kandydaci do ponownych narodzin. Kamień jest tak zimny, że Gundersen aż drętwieje, kiedy dotyka go gołym ciałem. Na-sinisul wychodzi. Gundersen patrzy na jarzące się wysoko sklepienie. Komnata jest na tyle duża że może swobodnie pomieścić nildora. Gundersenowi leżącemu na podłodze wydaje się ogromna.

Na-sinisul powraca niosąc czarkę wydrążoną w kawałku drewna. Podaje Gundersenowi. W naczyniu jest bladoniebieski płyn.

— Pij — mówi łagodnie sulidor.

Gundersen pije. Płyn ma słodki smak, jak ocukrzona woda. Jest to coś, czego już kiedyś spróbował, wie kiedy to było: na stacji wężów, przed laty. To jest ten zakazany jad. Opróżnia naczynie i Na-sinisul pozostawia go samego.

Dwa sulidory, których Gundersen nie zna, wchodzą do komnaty. Klękają po jego obu stronach i zaczynają cicho monotonnie śpiewać. Jest to pieśń rytualna. Gundersen nic nie rozumie. Masują i głaszczą jego ciało, a ich łapy z potwornymi, teraz ukrytymi szponami są dziwnie miękkie, jak łapki kota. Jest napięty, lecz to napięcie stopniowo opada. Czuje, że narkotyk zaczyna działać: ma trudności z oddychaniem, głowa staje się ciężka, zamazują się obrazy. Na-sinisul jest znów w pomieszczeniu, choć Gundersen nie zauważył, jak wchodził. Znów trzyma czarkę.

— Pij — mówi i Gundersen pije.

Jest to zupełnie inny płyn, a może tylko inny destylat tego samego jadu: gorzki, z posmakiem dymu i popiołu. Zmusza się, by wypić go do dna, bo Na-sinisul czeka cierpliwie, w milczeniu, póki Gundersen nie skończy. Stary sulidor znów wychodzi. Przy wyjściu z sali odwraca się i coś mówi, ale jego słowa nie dochodzą do Gundersena.

— Co powiedziałeś? — pyta Ziemianin. — Co? Co? — jego własne słowa są ciężkie jak ołów i ma wrażenie, że spadają na podłogę.

Gundersen słyszy szum, jakby woda wlewała się do jego celi. Oczy ma zamknięte, ale czuje, że wokół niego gromadzi się wilgoć. To jednak nie woda, ale jakaś gęściejsza ciecz. Rodzaj żelatyny być może. Już jest w niej zanurzony na parę centymetrów, a poziom jej wciąż się podnosi. Jest chłodna, ale nie zimna i w przyjemny sposób izoluje go od kamiennej podłogi. Czuje słaby zapach goździków i kleistą

konsystencję cieczy. Sulidory w dalszym ciągu coś nucą. Czuje, że do ust wsuwa mu się cienka rurka i przez jej wąski otwór wcieka jakaś substancja gęsta i oleista. Żelatyny sięga mu już do żuchwy; jest to miłe. Ochlapuje mu podbródek. Rurka zostaje wyjęta z jego ust w chwili, gdy płyn zaczyna zalewać mu wargi. — Czy będę mógł oddychać? — pyta, i choć sulidor odpowiada mu w tajemniczym języku, Gundersen uspokaja się.

Cały jest oblepiony żelatyną. Pokrywa ona podłogę komnaty na wysokość metra. Przenika przez nią blade światło. Gundersen wie, że jej powierzchnia jest gładka, bez żadnych załamań i doskonale przylega do ścian komnaty — stał się poczwarką. Już nic więcej nie dostanie do picia. Będzie tu leżał aż narodzi się ponownie.

Teraz już wie, że trzeba umrzeć, by zostać odrodzonym. Nadchodzi śmierć i obejmuje go. Gundersen łagodnie zapada w czarną otchłań. Czułe są objęcia śmierci. Gundersen unosi się w drżącej nicości, jakby został zawieszony w czarnej pustce. Przenikają go promienie purpurowego i szkarłatnego światła. Przeszywają go jak metalowe włócznie. Kołysze się. Wiruje. Unosi…

Raz jeszcze spotyka śmierć i zmaga się z nią. Zostaje pokonany. Ciało jego rozpada się w drzazgi i jasny deszcz cząstek Gundersena rozprasza się w przestrzeni.

Cząstki te szukają się nawzajem. Krążą wokół siebie. Tańczą. Łapią się. Przyjmują postać Edmunda Gundersena, ale ten nowy Gundersen lśni jak czyste, przejrzyste szkło. Błyszczy, przezroczysty człowiek przez którego bez przeszkód przenika światło wspaniałego słońca pulsującego jak serce wszechświata. Z piersi Gundersena rozchodzą się promienie, jego ciało rozświetla galaktyki.

Emanują z niego kolorowe smugi i łączą go ze wszystkimi we wszechświecie, którzy posiadają g'rakh.

Jest cząstką biologicznej mądrości kosmosu.

Zestraja swą duszę ze wszystkim co jest i co musi być.

Nie posiada granic.

Może sięgnąć do każdej duszy i dotknąć jej.

Sięga do duszy Na-sinisula, a sulidor dopuszcza go i pozdrawia. Sięga do Srin'gahara, do Vol'himyora wielokrotnie narodzonego, do Luu-khamina, Se-holomira, Yi-gartigoka, do każdego z nildorów i sulidorów, którzy leżą w jaskiniach poddawani metamorfozie, do mieszkańców mglistych lasów i do mieszkańców pracujących w dżungli i do tych, co tańczą w szalonym zapamiętaniu na odległym płaskowyżu, do wszystkich innych na Belzagorze obdarzonych g'rakh.

Teraz zbliża się do tego, co nie było ani nildorem, ani sulidorem, lecz uśpioną duszą, o barwie, brzmieniu i budowie niepodobnej do innych. To dusza kogoś zrodzonego na Ziemi. Dusza Seeny. Zwraca się do niej łagodnie, woła: „Zbudź się, zbudź, kocham cię, przyszedłem po

ciebie". Nie budzi się. Woła do niej: „Jestem odnowiony, jestem odrodzony, przepełniony miłością. Połącz się ze mną, bądź częścią mnie. Seena? Seena?". Ona nie odpowiada.

Widzi innych Ziemian. Posiadają g'rakh, lecz to nie wystarcza. Dusze ich są ślepe i nieme. Tu — Van Beneker. Tutaj — turyści. Tu, samotni mieszkańcy posterunków w dżungli. A to wypalona szara pustka — tu przebywa dusza Cedrika Cullena.

Nie jest w stanie dosięgnąć żadnej z tych dusz.

Przez mgłę prześwieca blask jakiejś duszy. To Kurtz. Zbliża się do niego. Kurtz nie śpi.

„Teraz jesteś wśród nas", mówi Kurtz, a Gundersen odpowiada: „Tak, teraz wreszcie tu jestem". Dusza otwiera się przed duszą i Gundersen spogląda w dół, w ciemność, która jest Kurtzem, w przerażające wnętrze, gdzie kłębią się czarne potwory. Figury te łączą się ze sobą chaotycznie, rozprężają się i zanikają. Sięga wzrokiem dalej, przebija to czarne pulsujące rojowisko i dostrzega bardzo jasne, zimne światło dochodzące z większej głębi i wtedy Kurtz odzywa się: „Widzisz? Czy widzisz? Czy jestem potworem? Mam w sobie dobroć."

„Nie jesteś potworem" — stwierdza Gundersen.

„Ale cierpię" — odpowiada Kurtz.

„Za swoje grzechy" — oświadcza Gundersen.

„Kiedy skończy się moje cierpienie?" Gundersen odpowiada, że nie wie, że nie on jest tym, który kładzie kres takim rzeczom.

„Pozwól mi wrócić, niech się dopełni moje odrodzenie" — jęczy Kurtz.

Gundersen nie wie, co na to odpowiedzieć i rozgląda się za innymi g'rakh, żeby naradzić się z Na-sinisulem, naradzić się z Vol'himyorem, z tymi, którzy są wielokrotnie narodzeni. A oni zbierają się, gromadzą, mówią jednym głosem, głosem grzmiącym mówią Gundersenowi, że odrodzenie Kurtza już się przecież dokonało.

Gundersen powtarza to Kurtzowi, ale Kurtz już sam słyszał,

„Żałuj mnie!" — woła do Gundersena z bezdennej przepaści. „Żałuj mnie, bo to piekło. Jestem w piekle."

Gundersen powtarza: „Żal mi cię. Żal mi cię. Żal mi cię…" Płacze z żalu nad Kurtzem. Poprzez kosmos płyną strugi brylantowych łez i na tej słonej rzece płynie Gundersen. Ogląda świat ten i tamten, wędruje między mgławicami, przemierza chmury pyłu kosmicznego, unosi się nad dziwnymi słońcami.

Nie jest sam. Jest z nim Na-sinisul i Srin'gahar, i Vol'himyor, i wszyscy inni. Czuje harmonię pomiędzy wszystkimi g'rakh. Po raz pierwszy dostrzega więzy łączące g'rakh z g'rakh. On, leżący w jakiejś fazie ponownych narodzin, jest w kontakcie z nimi wszystkimi. W każdej chwili, w każdym momencie wszystkie dusze na tej planecie obcują ze sobą. Widzi jasność wszystkich g'rakh i napełnia go to

nabożną czcią i pokorą.

Pojmuje teraz złożoność tych podwójnych istot, rytm ich egzystencji, niekończące się następowanie jednego cyklu odrodzenia i nowego trwania — po drugim, a nade wszystko ten związek pomiędzy nimi, tę jedność. Odczuwa dojmująco własne odizolowanie od innych ludzi, widzi, jakie mury dzielą człowieka od człowieka, zdaje sobie sprawę, że każdy z nich jest więźniem zamkniętym we własnej osobowości. I już wie, co znaczy żyć pomiędzy takimi, którzy nauczyli się z tego więzienia uwalniać.

Ta świadomość miażdży go. Myśli: zrobiliśmy z nich niewolników, nazwaliśmy bestiami, a oni przez cały czas byli ze sobą zespoleni, umysły ich rozmawiały ze sobą bez słów, z duszy do duszy przekazywali sobie muzykę. My byliśmy samotni, a oni nie i zamiast klęknąć przed nimi i błagać, by pozwolili nam uczestniczyć w tym cudzie, my zmuszaliśmy ich do pracy.

Gundersen płacze z żalu nad Gundersenem.

Na-sinisul odzywa się: „To nie czas na smutek". I Srin'gahar mówi: „Co było minęło." I Vol'himyor dodaje: „Przez to, że żałujesz, dostępujesz odkupienia." I potem wszyscy mówią razem, jednym głosem i on rozumie. Rozumie.

Teraz Gundersen rozumie wszystko.

Przepełnia go radość, że przybył tutaj, że przebył próbę i że jest wyzwolony. Duszę ma otwartą, jest odrodzony.

Zniża się i łączy ponownie ze swym ciałem. Znów ma świadomość, że leży w krzepnącej żelatynie, na zimnej podłodze, w ciemnej komnacie przyległej do długiego korytarza, we wnętrzu różowo-czerwonej góry na dziwnym, obcym świecie.

Słyszy bicie potężnych dzwonów.

Czuje, jak cała planeta drży i obraca się wokół swej osi.

Widzi tańczące języki ognia.

Dotyka rdzenia Góry Ponownych Narodzin.

Rozpoznaje słowa hymnu, który śpiewają sulidory i śpiewa razem z nimi.

Rośnie. Kurczy się. Płonie. Drży. Podlega przemianie.

„Tak" — mówi jakiś niski, mocny głos. — „Wyłoń się. Czas nadszedł."

„Powstań. Powstań."

Oczy Gundersena otwierają się. Jest oszołomiony falą wirujących kolorów. Upływa chwila nim zdolny jest coś zobaczyć. Jakiś sulidor stoi u wejścia do komory.

— Jestem Ti-munilee — mówi sulidor. — Jesteś ponownie narodzony.

— Znam cię — powiada Gundersen. — Ale nie pod tym imieniem. Kim jesteś?

— Chodź, sam się przekonaj — zaprasza sulidor. Gundersen wstaje i podchodzi.

— Znałem cię jako nildora Srin'gahara — oznajmia.

XVII

Gundersen wsparł się na ramieniu sulidora i krocząc jeszcze niepewnie opuścił komnatę ponownych narodzin.

— Czy zostałem zmieniony? — zapytał w ciemnym korytarzu.

— Tak, bardzo — odparł Ti-munilee.

— Jak? W jaki sposób?

Gundersen uniósł rękę i przyjrzał się jej — pięć palców, jak przedtem. Spojrzał w dół na swe nagie ciało i też nie dostrzegł żadnych zmian. Poczuł jakby zawód: może w tej komnacie nic się nie dokonało? Nogi, stopy, uda, brzuch — wszystko takie samo, jak było.

— Wcale się nie zmieniłem — powiedział.

— Zmieniłeś się.

— Gdzie te zmiany?

— Zmiany są wewnątrz — odpowiedział Srin'gahar. — Spójrz na siebie moimi oczami, a zobaczysz, kim jesteś.

Gundersen wyciągnął rękę do sulidora. Zobaczył siebie. Było to jego dawne ciało, ale jakby rozświetlone od środka. Jakby otoczone poświatą, promieniejące…

— Jesteś zadowolony? — spytał Ti-munilee.

— Tak — odrzekł Gundersen.

Poszedł powoli w stronę skraju polany rozciągającej się u wejścia do jaskini. Czuł koło siebie obecność nildorów i sulidorów, chociaż widział jedynie Ti-munilee. Wiedział, że dusza starego Na-sinisula znajduje się w pieczarze i przechodzi ostatnie stadia ponownych narodzin. Miał łączność z duszą Vol'himyora będącego daleko na południu. Dotknął leciutko duszy cierpiącego Kurtza. Odczuł nagle ze zdumieniem, że dusze innych Ziemian, wolne jak jego własna, otwarte ku niemu, krążą w pobliżu.

— Kim jesteście? — zapytał.

A one odpowiedziały:

„Nie jesteś pierwszym spośród nas, który nie zmienił swej powłoki po ponownych narodzeniach."

Tak, przypominał sobie. Cullen mówił, że byli inni, niektórzy zostali zmienieni w potwory, o innych, po prostu więcej nie słyszano.

— Gdzie jesteście? — chciał wiedzieć. Odpowiedziały mu, ale nie zrozumiał, ponieważ powiedziały, że zostawiły swe ciała.

— Czy ja także pozostawiłem swe ciało? — spytał.

Odpowiedziały mu, że nie, że wciąż jest we własnym ciele, gdyż to właśnie wybrał, a one wybrały co innego. Potem oddaliły się od niego.

— Czy czujesz zmiany? — zapytał Ti-munilee.

— Zmiany są we mnie — odpowiedział.

— Tak, teraz osiągnąłeś pokój.

W radosnym zdumieniu zdał sobie sprawę, że właśnie tak jest. Obawy, konflikty, napięcia gdzieś się ulotniły. Zniknęło poczucie winy, opuścił go smutek, odeszła samotność.

— Czy wiesz, kim byłem — spytał Ti-munilee — kiedy byłem Srin'gaharem? Zwróć swą duszę ku mnie. Gundersen otworzył swą duszę i po chwili powiedział:

— Byłeś jednym z tych siedmiu nildorów, którym nie pozwoliłem udać się na miejsce ponownych narodzin. Wiele lat temu.

— Tak.

— A jednak nosiłeś mnie na swym grzbiecie przez całą drogę, aż do Krainy Mgieł.

— Nadszedł znów mój czas i byłem szczęśliwy — oznajmił Ti-munilee. — Wybaczyłem ci. Czy pamiętasz, że gdy wkraczaliśmy do Krainy Mgieł na granicy pojawił się pewien sulidor? Był zły na ciebie.

— Pamiętam — powiedział Gundersen.

— On też był jednym z tamtej siódemki. To ten, którego przypiekłeś płomieniem. Dokonały się wreszcie jego ponowne narodziny, ale wciąż cię nienawidził. Teraz już nie. Jutro, gdy będziesz gotów, zwróć się ku niemu, a on ci przebaczy. Uczynisz to?

— Uczynię — obiecał Gundersen. — Ale czy naprawdę mi wybaczy?

— Jesteś ponownie narodzony. Czemu nie miałby ci przebaczyć — tłumaczył Sulidor. — Dokąd teraz pójdziesz? — spytał po chwili. .

— Na południe. Pomagać mym braciom. Tym, którzy będą chcieli się otworzyć.

— Czy mogę towarzyszyć ci w tej podróży?

— Znasz odpowiedź.

Daleko, daleko, ciemna dusza Kurtza poruszyła się i zaczęła pulsować. Poczekaj, rzekł do niej Gundersen, poczekaj — już wkrótce przestaniesz cierpieć.

Podmuch mroźnego wiatru uderzył w zbocze góry. Mieniące się płatki śniegu zawirowały przed twarzą Gundersena. Uśmiechnął się — nigdy dotychczas nie czuł się tak wolny, tak lekki, tak młody. Jaśniała mu w duszy wizja przemienionej ludzkości. Jestem emisariuszem, pomyślał. Jestem zmartwychwstaniem i życiem. Jestem światłością świata: ci, którzy pójdą za mną, nie będą chodzić w ciemności, ale będą mieli światło życia.

— Czy możemy już iść? — zwrócił się do Ti-munilee.

— Jestem gotów, jeśli i ty jesteś gotowy.

— Więc chodźmy.

— Chodźmy — powiedział sulidor i zaczęli razem zstępować po smaganym wiatrem zboczu góry.

O AUTORZE

Robert Silverberg (piszący także pod pseudonimami: Walker Chapman, Ivar Jorgenson, Calvin M. Knox, David Osborn, Robert Randall, Lee Sebastian a także Don Eliot — pod tym ostatnim pseudonimem pisał książki z pogranicza erotyki i pornografii) jest niezwykle płodnym pisarzem. Urodzony 15 stycznia 1935 roku, pobierał nauki na *Columbia University,* gdzie uzyskał stopień magistra w 1956 roku. W tym samym roku poślubia Barbarę H. Brown — fizyka z wykształcenia. Pisze opowiadania i powieści s-f i fantasy. Opublikował także wiele książek popularno-naukowych (głównie z zakresu archeologii oraz książki dla dzieci), był także uznany autorem antologii jak i wydawcą czasopism.

Czterokrotnie nagrodzony *Hugo* (w 1956 roku dla najlepiej się zapowiadającego pisarza s-f, w 1969 roku za opowiadanie *„Skrzydła nocy",* w 1987 roku za *Gilgamesh in the Outback* i w 1990 za nowelę *Enter a Solder, Later: Enter Another).* Trzykrotnie otrzymał *Nebulę* za najlepsze opowiadanie (w 1969 za *Passengers,* w 1971 za *Good News from the Vatican,* w 1974 za *Born with the Dead),* dwa razy za najlepszą powieść (1971 za *Czas Przemian,* w 1985 za *Sailing to Byzantium).* Ponadto nagrodzony nagrodą *Jupitera* (w 1973 za opowiadanie *Feast of St. Dionysus), Prix Apollo* (w 1976 roku) oraz nagrodę *Locusa* (w 1981).

Całą twórczość Roberta Silverberga można podzielić na cztery wyraźne okresy.

I. 1955-1960

Jest to okres od debiutu pisarza (powieścią dla dzieci, *Revolt on the Alpha C,* 1955) do końca lat pięćdziesiątych. Faza ta charakteryzuje się ujawnieniem wielkiego talentu młodego pisarza choć nie potwierdzonego jeszcze dobrymi książkami. Pod pseudonimem Robert Randall wraz z Randallem publikuje cykl *Nidor.* Większość książek w tym okresie to typowe „produkcyjniaki" jak np. *Stepsons of Terra* (1958) czy *Planet Killers* (1959). W okresie tym pozytywnie wyróżniają się tylko niektóre opowiadania takie jak np. mroczne *Road to Nightfall czy* zabawne *Translation Error.*

II. 1960-1968

Koniec lat pięćdziesiątych przynosi spadek zainteresowania czytelników literaturą s-f. Spadają nakłady książek, likwidowane są czasopisma. Na to zjawisko Silverberg reaguje przeprofilowaniem swej twórczości — zaczyna pisać książki popularno-naukowe i półpornograficzne. Debiutem popularyzatorskim Silverberga jest książka dla dzieci *Treasures Beneath the Sea* (1960), która od razu zdobyła uznanie krytyków. Inne książki Silverberga z tego okresu, warte szczególnego uznania, to: *Lost Cities and Vanished Civilization* (dla dzieci, 1962), *Empires in the Dust* (1963). Publikuje książki z zakresu archeologii, geografii, historii i historii myśli (np. rzecz o dawnej nauce chińskiej), biografie sławnych ludzi (np. o Sokratesie), biologii, astronomii i inne.

III. 1967-1979

Powrót Silverberga do literatury fantastycznej był równie efektowny co niespodziewany. Na prośbę Harlana Ellisona pisze opowiadanie *Flies* do antologii *Dangerous Visions* (1967). Jest to antologia, której znaczenie trudno dla literatury s-f przecenić. W opowiadaniu *Flies* Silverberg wraca do swych obsesyjnych problemów, do motywów przewodnich prawie wszystkich jego powieści, to jest do psychicznego kanibalizmu i wampiryzmu. Tematy te najczęściej umieszcza na tle analizy relacji międzyludzkich i najogólniej rzecz ujmując sprowadzają się one do opisu wzajemnego psychicznego pożerania się ludzi, do „wysysania" z siebie sił witalnych, do wzajemnego samozniszczenia siebie.

Treścią opowiadania *Flies* jest historia astronauty Cassida przywróconego do życia przez Obcych, którzy wyposażając go w absolutną zdolność empatii, w umiejętność wczuwania się i rozumienia innych ludzi. Jednak ta nadludzka zdolność prowadzi jedynie do tragedii i cierpienia. Podobny temat — psychicznego wampiryzmu — podejmowany jest w powieści *Ciernie (Thorns,* 1967) czy w nagrodzonym *Nebulą* opowiadaniu *Passengers* (1969), gdzie Silverberg opisuje opanowanie umysłu ludzkiego przez pasożyty zwane Pasażerami. Przesiadają się one z jednego umysłu do drugiego tak jak podróżujący pociągami. Ludzie w ich rękach to jedynie pozbawione wolnej woli marionetki. Problem determinizmu w działaniu człowieka podejmowany jest także w takich powieściach jak: *The Stochastic Man* (1975) i *Shadrach in the Furnace* (1976). W tym właśnie okresie pisze także powieść

W dół, do ziemi (1971) — książkę o przemianie psychicznej Ziemianina w trakcie ceremonii religijnej Obcych oraz *Czas Przemian*

(A Time of Changes, 1971 — nagrodzona *Nebulą),* powieść przez wielu błędnie odczytana jako apologetyka używania narkotyków, jest to bowiem studium związku z drugim człowiekiem po wpływem narkotyku.

Niewątpliwie dwie książki Roberta Silverberga przełamały granice getta s-f i trafiły do szerszego grona czytelników. Są to dwie jego powieści: *The Book of Skulls* (1972) — historia studenta, który odnajduje manuskrypt obiecujący osiągnięcie nieśmiertelności oraz *Dying Inside* (1972) — rzecz o telepacie, który stopniowo traci swe paranormalne zdolności postrzegania świata. Jest to kapitalne studium starzenia się, tracenia, przemiany i wyobcowania. Większość krytyków podziela pogląd, że *Dying Inside* jest szczytowym osiągnięciem Roberta Silverberga.

IV. od 1980 do chwili obecnej

W 1979 roku rozeszła się wśród fanów s-f plotka, że Robert Silverberg pracuje nad „wielką" książką. Jak się rok później okazało, był to pierwszy tom cyklu o planecie Majipor, fantasy rozmachem zbliżona do *Diuny* Herberta. Pierwszym tomem cyklu jest powieść *Lord Valentine's Castle* (1980), drugim — bardziej filozoficznym i mitotwórczym — *Majipoor Chronicles* (1982) oraz trzecim — będącym kulminacją cyklu jak i losów głównego bohatera — V*alentine Pontifex* (1983).

Ostatnią jego książką jest *The Face of the Waters,* a w trakcie pisania znajdują się dwie następne: *The Wall* i *Child of Time* (są to tytuły robocze).

Obok treści psychologiczno-filozoficznych cechą charakterystyczną pisarstwa Silverberga jest przejrzystość i jasność stylu, olbrzymia sprawność warsztatu literackiego oraz bezbłędne wyczucie gustów czytelnika.

Tadeusz Zysk